Luty. — 1858.

O UMIEJĘTNOŚCI W ROSYI.

(Z memoryału hr. Józefa de Maistre).

Memoryał poufny hr. Józefa de Maistre z r. 1811 przedłożony Cesarzowi Alexandrowi I, a którego kopię posiadamy, składa się, jak już wiadomo czytelnikom naszym, z czterech rozdziałów, z dodatku (*appendice*) i konkluzyi.

Pierwszy rozdział, pod tytułem: *O wolności*, traktujący kwestyę usamowolnienia włościan w Rosyi, podaliśmy w oryginale i w tłómaczeniu przed dwoma laty w tém samém piśmie i na tém samém miejscu [1]. W chwili kiedy de Maistre pisał memoryał, nieuznawał on jeszcze za stósowne, aby znosić można nie-

[1]) Dodatek Tom I. str. 91.

wolę w Rosyi. Przeciwnie, wszelkie usiłowania w téj mierze uważał za pełne niebezpieczeństw. Dla tego też w »Konkluzyi« memoryału, gdzie zbierając wszystko co powiedział, stawia w zwięzłych wyrazach zasady zachowawcze dla Rosyi, polecając je ludziom mądrym, którzy się niepowodują czczemi teoryami, ale idą za rozsądkiem i doświadczeniem, czytamy:

I. Powstrzymywać usamowolnienie, zamiast podniecać je jakąbądź ustawą, bo wszelka ustawa wydana byłaby w tém znaczeniu zabijającą: i równocześnie usuwać wszelkiemi sposobami nadużycia, mogące stać się przyczyną, żeby lud zbytecznie sobie usamowolnienia nie życzył.

II. Nie wynagradzać nigdy usamowolnienia, jako czynu moralnie dobrego i politycznie użytecznego ze strony Szlachty.

III. Nie nadawać nigdy Szlachectwa tylko tam, gdzie własność ziemska połączona jest z zasługą: nieuszlachcać nawet nigdy zasługi bez nadania jéj własności, lub bez wprowadzenia jéj na koléj prawego bogactwa. Lecz przedewszystkiem i nadewszystko, nie udzielać nigdy dyplomów szlacheckich kupiectwu, dopóki jest kupiectwem i cały swój majątek ma tylko w biórku. [2]).

---

[2]) Berło panującego to nie łokieć, a tron jego to nie paka towarów. Wołano bezprzestannie w przeszłym wieku: *Handel! Handel!* Ależ handel nie potrzebuje nic prócz pieniędzy: niechże nam więc resztę zostawi. (Przypisek de Maistra).

Takie były rady de Maistra, których się trzymać polecał Rosyi, dopóki chwila nie nadejdzie, aby przystąpić do dzieła usamowolnienia włościan. Ktokolwiek przypatrywał się polityce wewnętrznéj rządu rosyjskiego w tym przedmiocie, przekonać się mógł łatwo, jak mało odstąpiono od tych zasad zachowawczych. Lecz przewidziana przez de Maistra chwila, nastąpiła dzisiaj, i nastąpiła tak jak ją przewidywał. Posiada ona cechy i warunki jakie jéj wskazał. Wypłynęła z natury rzeczy i w skutek nieprzewidzianych okoliczności. Życzenia wszystkich stron spotkały się z sobą. Wtedy, mówi de Maistre, panujący winien sprzyjać ruchowi, ale go niepodniecać. Że tak a nie inaczéj czyni ukaz z d. 2 grudnia r. z. wydany przez Alexandra II; że w ukazie tym i okólnikach mu towarzyszących zasady a nawet rady de Maistra, i środki przez niego podane, znalazły nietylko uznanie, ale bardzo wybitne zastósowanie, staraliśmy się wykazać w osobnéj rozprawie w zeszłym miesiącu [3]).

Społeczność atoli nie jest abstrakcyą, ani téż reformy w niéj można abstrakcyjnie przeprowadzać. Niema téż nikogo w Europie, coby nie był przekonanym, że reforma włościańska wywoła koniecznie inne zmiany, jako to w wychowaniu, w prawodawstwie, w administracyi, słowem, że przeobrażenie społeczne Rosyi nie może być częściowe, ale musi być ogólne. To też zanim jeszcze ogłoszonym został ukaz z 2go grudnia, objawiały się już symptomata reform w ró-

---

[3]) Dodatek T. IX. str. 163.

żnych gałęziach organizacyi państwa rosyjskiego, a zwłaszcza w gałęzi wychowania publicznego czyli w Akademiach.

Znać że i ten przedmiot zajmował umysł wzniosły Cesarza Aleksandra I, skoro hr. de Maistre drugi rozdział swego memoryału *Umiejętności* poświęcił. Przekonawszy się, jak dalece rady jego w kwestyi usamowolnienia włościan uwzględnione przez rząd rosyjski zostały, sądzimy, iż nie będzie bez zajęcia i pożytku przypatrzyć się bliżéj, jakie rozwija myśli o umiejętności i jaki w tym względzie kierunek Panującemu w Rosyi zaleca.

Podajemy więc ów drugi rozdział memoryału w dosłownéin o ile tylko można było tłómaczeniu.

O Umiejętności.

Smiało powiedzieć można o umiejętnościach to co jeden z największych pisarzy w starożytności powiedział o metalach szlachetnych: że niewiadomo czy nam je dały Nieba w swojéj dobroci czy w gniewie (Tacyt, o obyczajach Germanów V.)

Gdyby przyszło wytoczyć formalną skargę przeciwko Umiejętności i wyszczególnić to co jéj zawdzięczamy od

trzech wieków, począwszy od Reformacyi i Wojny trzydziestoletniéj aż do Rewolucyi francuzkiéj, która jest bezpośrednim wypływem filozofii, otrzymanoby obraz nadzwyczaj ponury; lecz wypada skracać, a zawsze w obawie, by niepowiedzieć za wiele.

Nieuchronne wady towarzyszące Umiejętności we wszystkich krajach i miejscach, robią człowieka niezdatnym do życia czynnego, które jest prawdziwém jego powołaniem, wbijają go w bezmierną pychę; upajają sobą samym i własnemi jego ideami, robią go nieprzyjacielem wszelkiéj karności, buntownikiem przeciw wszelkiemu prawu i wszelkiéj instytucyi, i wrodzonym stronnikiem wszelkiéj nowości.

Umiejętność dąży więc koniecznie do zabicia ducha publicznego i do szkodzenia społeczności. Złe tu wskazane pojawia się bezwątpienia w różnym stopniu—jest go *mniej lub więcéj*; lecz całkiem go nieuniknie, i zawsze będzie go tylko *mniéj lub więcej*.

Bakon czuł dobrze tę prawdę, kiedy wyrzekł owe pamiętne słowa: że religia jest aromatem który broni Umiejętność od zgnilizny. Jest ona w rzeczysaméj z natury swojéj podległa zepsuciu i zawsze potrzebuje pewnego pierwiastku, któryby w niéj tę dążność tamował.

Umiejętność w ścisłém znaczeniu, to jest, wszystko to co się podciąga pod ogólną nazwę umiejętności przyrodzonych, ma w sobie zresztą pod każdym względem tę główną wadę, że zabija najpierwszą ze wszystkich umiejętności, sztukę rządzenia. Mąż stanu nie kształci się na akademiach. Wszyscy wielcy ministrowie począwszy od Sugera aż do Richeliego nie zajmowali się nigdy ani fizyką ani matematyką. Duch nauk przyrodzonych wyklucza nawet sztukę rządzenia, która jest odrębnym talentem.

Nie zwrócono może dosyć uwagi na to, że naród najsławniejszy i najpotężniejszy w starożytności, który naj-

bardziéj zajaśniał swoją polityką i sztuką wojenną, pozostał zupełnie obcym duchowi Umiejętności a nawet sztuk pięknych. Rzymianie nie posiadali ani malarzy, ani rzeźbiarzy, ani matematyków i astronomów itd. a największy ich poeta zrzekł się nawet téj chwały w sposób jak najuroczystszy:

Gładzéj drudzy kuć będą z miedzi rysy twarzy.
Łatwiéj się im i posąg z marmuru wydarzy.
Lepiéj spraw bronić będą, obrót niebios zważą
I zręczniéj (wierzę) cyrklem wschód gwiazd wyobrażą.
Ty sam rozkazuj ludom, mężny Rzymianinie!
Pomnij, że przez tę sztukę twe państwo zasłynie.
Twoja rzecz jest warunki do pokoju robić.
Przebaczać ukorzonym, a zuchwałych pobić.

(Wirg. Xięga VI. tłum. J. Przyb.)

A jednakowoż sława Rzymian w świecie, jest dostateczną; i każdy naród mógłby na niéj poprzestać. Rzymianie mieli ten rzadki rozsądek: kupowali w Grecyi za pieniądze talenta na których im zbywało, a pogardzali tymi którzy im takowe przynosili. Mówili śmiejąc się: Zgłodniały Grek do nieba, jeśli każesz, pójdzie. (*Graeculus esuriens in coelum jusseris ibit.* Mart.) Gdyby chcieli byli ich naśladować, wystawiliby się na śmieszność; byli wielkiemi bo niemi pogardzali.

Kto się rzuca w Umiejętność musi ją dosięgnąć, inaczéj ściągnie największe nieszczęście. Ani myśleć aby się na tem skończyło, że się zamiaru zaniecha. Usiłowania w téj mierze, jeżeli są płonne zostawiają po sobie wszystkie złe strony Umiejętności, próżniactwo, zarozumiałość, zuchwalstwo w zdaniu a słabość w czynie, niekarność, niedowiarstwo itd.

Przeszkody jakie nas dzielą od Umiejętności, przyrównać można do głębokiego rowu któryby nas odgradzał od pięknego pałacu. Prawo chce, że go trzeba przebyć o własnéj sile. Szczęśliwy ten bezwątpienia kto jest dość rześkim aby obiema nogami na drugim stanął brzegu, a szczęśliwym jest dwojako: raz dla rozkoszy, jaką doznaje, drugi raz dla oklasków które w okół siebie słyszy. Lecz ten co się rzucił nie mając sił dostatecznych nie ujdzie na sucho, choćby się téż i spokojnie chciał cofnąć. Wpadnie w rów, a jeśli nieutonie, to go wygwizdają.

Czy Rosyanie są stworzeni do Umiejętności — lub nie? Czy są tu podobni do Rzymian — czy do Greków? Jest to pytanie, którego jeszcze w téj chwili rozwiązać nie można, a nad którém można równie dobrze rozprawiać za jak i przeciw; lecz źródłem wszystkich powodów któreby przemawiały *przeciw* jest to nieszczęście że naród fałszywą szedł drogą. Wtedy im daléj się idzie, tém się bardziéj oddala od celu; aby go dopiąć, trzeba wrócić.

W skutek jakiegoż to niesłychanego zaślepienia, jakiegoż niewytłomaczonego zaczarowania, naród wielki tak znakomity wrodzoną sobie przenikliwością, mógł się omamić tak dalece, żeby chcieć się sprzeciwić prawom całego świata? Rosyanie chcą wszystkiego dokonać w jednym dniu: to ani sposób. Aby dojść do Umiejętności *pełzać* trzeba, a nie *lecieć*. Powzięli oni dwie zarówno zgubne myśli: pierwszą, aby równocześnie postępować w literaturze i w naukach; drugą, — aby z tem jeszcze połączyć nauczanie wszystkich umiejętności.

Najlepsze to, co już doświadczone, mówił Bossuet. Owóż doświadczono w Europie od epoki odrodzenia się nauk, że pierwsze lata młodości poświęcają się zbadaniu autorów greckich i łacińskich, albowiem ażeby *czuć*

a potem *naśladować* to co piękne, należy tak w literaturze jak i w sztuce radzić się starożytności. A to badanie uczy nietylko dobrze mówić, ale i dobrze myślić; czytając bowiem pisarzy starożytnych, uczy się nietylko tego co najwymowniej napisano, ale i tego co najmądrzéj pomyślano. Dodawszy do tych studyów arcydzieła nowoczesne tak już liczne, a pierwsze lata młodości należycie będą użyte.

Następują potem niejakie początki loiki i fizyki, poczem dopiero młodzież obierała sobie zawód, oddając się każdy téj umiejętności, jaka mu potrzebną będzie do stanu któremu się poświęca. Galileusz uczył się matematyki, Perau [4]) Teologii a Black [5]) Chemii. Lecz nie pomyślano o tém, aby się uczyć razem wszystkich umiejętności, tak aby ksiądz musiał być matematykiem a senator chemikiem.

Niedogodności spotykane na téj fałszywéj drodze, a które się na pierwszy rzut oka przedstawiają (z tych śmieszność jest najmniejszą) — niczem są w porównaniu okropnych nieszczęść zagrażających Rosyi, a zbliżających się szybko pod płaszczem umiejętności: rozdział ten jedną ich tylko część wykłada, druga odkłada się do rozdziału o *Illuminizmie*. Lecz nie ma chwi-

---

[4]) Perau (Gabriel L. Calabre), ksiądz, urodził się w r. 1700 we Francyi w Semur en Auxois, umarł w r. 1767. — Prowadził daléj dzieło: *Żywoty ludzi sławnych we Francyi* od 13 do 23 tomu. Wydał także kilka innych dzieł teologicznych. (P. R.).

[5]) Black (Józef), urodzony w Bordeaux roku 1728 z rodziców Szkotów, umarł w r. 1799. Odznaczył się jako professor medycyny i chemii w Glasgowie. Umiejętność zawdzięcza mu kilka ważnych wynalazków. Odkrył pierwszy istnienie kwasu węglowego, który nazywa *aër fixus* i wykazał obecność jego w alkaliach, w wapnie i magnezyi. Jemu także winna chemia znajomość *caloris latentis*. W r. 1803 ogłoszono jego *Wykład Chemii* w 2ch tomach in 8vo. (Przyp. Red.)

li do stracenia, a jeżeli zdrowy zmysł rosyjski nie wysili się, aby usunąć niebezpieczeństwo, sam panujący pierwszy wciągnięty będzie na drogę, o któréj końcu bez przerażenia rozmyślać nie podobna.

Umiejętność nadyma: ten co to wyrzekł, utworzył nietylko wyrażenie kościelne: jest to myśl bardzo filozoficzna, któréj panujący nigdy zapominać nie powinni.

Pierworodném dzieckiem umiejętności jest pycha. — Pycha ta jest ogromną i nigdzie nie chce zajmować drugiego miejsca; szczególniéj cierpi coś do szlachty, która ją razi, i wszędzie stara się ją spychać, bo szlachta rządzi a to ona chce rządzić.

Rzecz dziwna, że Umiejętność powtarzając ciągle, wmówiła (może nawet w panujących) że się bez niéj w rządach nie obejdzie, gdy tymczasem jest ona właśnie najistotniej do rządów niezdolna, a Fryderyk II bardzo trafnie powiedział: *że gdyby chciał zgubić jaki kraj, rządyby jego filozofom powierzył.*

On sam najlepszym był téj prawdy dowodem, albowiem wszystko co w nim dobrego charakterowi swemu zawdzięczał, a wszystko to co go zrobiło nieprzyjacielem rodu ludzkiego, winien był filozofii.

Gdyby Umiejętność koniecznie potrzebną była do rządzenia, cóżby się stało z panującymi, którzy nie mają czasu oddawać się umiejętnościom, a zawiniliby bardzo gdyby się poświęcali naukom. Najwyższą umiejętnością jest sztuka rządzenia ludźmi, a téj dzięki Bogu, nie uczy się w Akademiach. Najwięksi monarchowie tacy jak Henryk IV, Ludwik XIV i t. d., znani byli z wytwornego rozsądku, obcego wszelkiéj umiejętności, a przecież wszystkie wspierali. I tak zapewne czynić należy: Umiejętność bowiem wielką jest społeczeństwa ozdobą; lecz należy ją postawić, otoczyć poważaniem i opieką na właściwém dla niéj miejscu, które jest drugiém miejscem. Pierwsze miejsce należy szlachcie, któ-

réj z prawa służą wysokie dostojeństwa (wyjąwszy rzadkich przypadków wskazanych przez szczególną zasługę). —

We Francyi w XVII wieku, Szlachta przyciągała do siebie Uczonych, których uświetniała tym sposobem dla dobra Państwa. W XVIII zeszła do nich, zamiast ich przyciągnąć do siebie. Cóż się stało? Szlachta upadła a z nią Panujący.

Ludzie stanu w tym kraju powinniby wziąść to pod dojrzałą rozwagę dopóki nie za późno; Umiejętność nie może nigdy zepchnąć Szlachty i zająć jéj miejsca, żeby natychmiast Państwo nie popadło w okropne konwulsye, i aby system rządowy nie uległ wstrząśnieniu i zmianie, co zawsze narazi Dom panujący na gróżne niebezpieczeństwo. Prawda że system *czynów* przyjęty w Rosyi, zmniejsza to niebezpieczeństwo. Mniejszém ono byłoby w Rosyi, aniżeli w krajach, gdzie prawa Szlachty rodowéj są mocniejsze i wyłączniejsze; jednakowoż zawsze to będzie straszne zadanie.

Umiejętność naraża więc ciągle Państwo, usiłując zawsze wynosić na urzęda ludzi nieznanych, bez imienia i bez majątku; albowiem gdy Umiejętność przystępną jest dla wszystkich, pycha niższych klas w Państwie, chwyci się zawsze tego sposobu, aby się wynieść; a tego właśnie obawiać się wypada. Jeżeli bowiem, Umiejętność *sama jedna*, odłączona od szlachectwa i majątków ziemskich, zbyt przeważnie wprowadzi się na posady administracyjne, rewolucya zdaje się być nieuniknioną.

Tu ludzie powierzchownie rzeczy biorący zawołają; *Ale dla czegóż stawiać talentowi zapory? cóż wspólnego mają urodzenie i bogactwa z zasługą?* itd. itd.

Otóż jak mylą pozory, zwodnicze prawie zawsze w polityce! Idąc za tem samem rozumowaniem dałoby się również dobrze udowodnić, że monarchia dziedziczna jest

niedorzecznością a elekcya jest nierównie wyższą. Powiedzianoby podobnież: *Cóż zasługa ma wspólnego z dziedzicznością? czy można zdolność rządzenia przekazać w sukcesyi, jak dom lub ziemię? Cóż niedorzeczniejszego nad taki system, który może osadzić na tronie dziécię, szaleńca lub Nerona? I przeciwnie, cóż rozumniejszego nad taki system który dąży do tego, aby zawsze najgodniejszy nu tronie zasiadał?*

Wszyscy prawdziwi filozofowie, wszyscy prawdziwi politycy i prawodawcy, którym istotnie samym przysługuje miano wielkich ludźmi, zgadzają się na to, że urzędy w ogóle, powinny być powierzone Szlachectwu i Bogactwu. Sam tylko właściciel ziemski jest rzeczywiście obywatelem; należy się bezwątpienia wszystkim innym ludziom sprawiedliwość, opieka i wolność we wszystkich ich czynnościach prawych: lecz powinni dać się prowadzić. Szlachcic, człowiek majętny, człowiek z dostateczną przez literaturę i umiejętności moralne ogładą, ma to wszystko czego potrzeba aby rządzić. Zbyt nawet literatury to rzecz niebezpieczna, a nauki przyrodzone szkodliwsze są jeszcze dla człowieka stanu. Nieudolność uczonego w styczności z ludźmi, w poznawaniu ich i prowadzeniu, powszechnie jest znaną.

Przejdźmy do równie ważnéj i niezaprzeczonéj prawdy, jakkolwiek do dziś dnia nie dosyć się może nad nią zastanawiano.

Stan wojskowy, szczególniej tak urządzony jak jest w Rosyi, wyklucza Umiejętność, tak jak koło nie zgadza się z kwadratem.

Już samo poddanie się którego na wstępie wymaga służba w niższych stopniach, chociażby nie trwała długo, wdraża w młodzieńca wstręt niewytłómaczony i nieprzełamany do wszystkiego co się tylko *Umiejętnością* nazywa. Myśli jego inny biorą kierunek; nie będzie się

nawet kusił o zdobycze umysłowe: stan któremu się poświęca czyni go w tym względzie istotnie bezwładnym.

Nie dość jeszcze na tem. Uznano powszechnie (a tylko szarlatani zbijać będą to zdanie) że przyzwoite wykształcenie, nie mówiąc już oparte na *umiejętności*, ale po prostu na *literaturze*, jeśli ma być gruntowniejsze, nie może się ukończyć przed ośmnastym rokiem życia. Lecz ojciec familii, który odda syna na tak długą naukę, ujrzy mnóstwo młodzieży wstępującéj do wojska w 14stym lub 15stym roku, tak że w nagrodę starań łożonych na wychowanie swego syna, ujrzy że go wszyscy tamci prześcignęli.

Żaden ojciec nie będzie pozbawiony rozsądku, aby naukę swego syna miał tak drogo okupywać.

Wreszcie, mnóstwo jest ludzi których usposobienie oddala zupełnie od Umiejętności; a również tylu jest innych, których brak talentu zupełnie tak samo od Umiejętności usuwa. Czyż dl tego pozbawieni być mają zaszczytu walczenia za swego Monarchę i za swoję ojczyznę? Byłoby to zwalić do szczętu wszystkie przyjęte wyobrażenia.

Rząd przeto nie ma prawa kłaść Umiejętności za warunek konieczny do wejścia w służbę wojskową; która przecież w każdym kraju (zwłaszcza monarchicznym) jest powołaniem naturalnem całéj szlachty. Wypadałoby przynajmniej poprzednio, zmienić przyjęte zwyczaje, nieprzyjmować tak młodo do wojska, poświęcać bardzo mało czasu na ćwiczenia wojskowe itd. w obawie aby się nie narazić na zarzut Bakona, który mówi: *że jest to solecyzmem władzy chcieć celu a niechcieć do tego środków.*

Jeżeli w dzisiejszem położeniu rzeczy, rozporządzenie jakowe przepisze tę lub inną naukę jako konieczny warunek do otrzymania pewnego stopnia lub urzędu, do

dawnego złego doda nowe, to jest, ustanowi *taryfę na świadectwa.*

Powiedział ktoś bardzo dowcipnie i słusznie, *że Umiejętność podobną jest do ognia, który jest użyteczny, byle go utrzymywać w różnych ogniskach, gdzie służyć winien na wszelakie potrzeby ludzkie, ale jest okropnym niszczycielem skoro go się rozrzuci.* Umiejętność ograniczona jest dobrem — zbyt rozpowszechniona jest trucizną.

Ta jedna uwàga, powinna jak się zdaje zupełnie zaspokoić rząd rosyjski w przedmiocie Umiejętności: to jest, że w obecnym stanie rzeczy, gdy wszystkie narody zostają z sobą w styczności za pośrednictwem druku, Umiejętność uważaną być może jako ogień od którego Rosyanie zapalić się muszą jeżeli w Rosyanach jest żywioł palny, i *o tyle*, o ile jest palny.

Bełkotaliśmy kilka wieków w szkołach, zanim duch Umiejętności rozwinął się między nami. Nie widać powodu, czemuby Rosyanin chciał dojść do tego samego w jednej chwili. Ma on zdolności wrodzone, przenikliwość, wielką miłość sławy i piękny język. Posiada wszystkie obce języki, wszystkie książki, wszystkie narzędzia naukowe; czegóż mu przytem potrzeba? Jednéj tylko rzeczy — *czekać.* Umiejętność jest to uczciwa kobieta, która się nie poddaje sile; oddaje się, lecz trzeba ją zaślubić i starać się o nią usilnie.

Jakże powstały wielkie Akademie w Europie? Na przykład w Bononii, we Florencyi, Paryżu, Londynie itd.? Prywatni ludzie, uczeni i gorliwi o postęp nauk, zbierali się dla narady w przedmiocie swych badań; ogłaszali następnie swoje pamiętniki, a Panujący ostrzeżony głosem powszechnéj pochwały, nadawał im dyplomy ustanawiające zakład legalny. Lecz nigdy tym Panującym ani nawet na myśl nie byłoby przyszło, zakładać Akademie (to jest stawiać gmachy) zanim się znaleźli uczeni. Dzieła Eulera są tak obce dla Rosyi, jak-

gdyby w Filadelfii wydawane były [6]). Nikt niema zamiaru utrzymywać, że należy spalić istniejące Akademie. Zachowaj je Boże, skoro już stoją! Mówi się tu tylko że Umiejętność przybędzie sama, skoro czas jej przyjdzie, i drogami zupełnie nieprzewidzianemi. Dodać tu wolno, że nie możnaby gorzej użyć milionów, jak używając je na to, aby tę chwilę gwałtownie sprowadzić; skutek bowiem nieunikniony byłby ten, żeby się opóźniła.

Na tem się kończy drugi rozdział memoryału, a w »Konkluzyi« sprowadza hr. de Maistre zasady w nim podane do następującéj rady, która idzie po trzech pierwszych na wstępie przytoczonych:

IV. Ograniczyć podobnież Umiejętność różnemi sposobami; jako to:

---

[6]) Euler (Leonard) sławny matematyk, urodzony w Bazylei 1707 uczeń Bernouillich, z którymi udał się do Rosyi w r. 1727, gdzie w Petersburgu został profesorem matematyki. W r. 1741 zamieszkał w Berlinie, lecz w 1775 r. wrócił do Rosyi i tam umarł r. 1783. Stracił wzrok w 59 roku życia, co nieprzeszkodziło, aby się dalej równie gorliwie naukom nie poświęcał. Był członkiem Akademii Petersburskiej, Berlińskiéj, współpracownikiem Akademii paryzkiej, pobierał pensyą od Prus i Rosyi. Posunął w wielu względach umiejętności matematyczne. Niespracowany ten uczony wydał mnóstwo dzieł, a z tych największą liczbę w Petersburgu. Starszy syn jego Jan-Albert urodzony w Petersburgu r. 1734, był tamże profesorem Fizyki. Młodszy Karol, um. 1803 r. był lekarzem cesarskim w tejże stolicy. (P. R.).

1sze Oświadczając, iż nie jest w ogólności koniecznie potrzebną do jakiegokolwiek urzędu cywilnego lub wojskowego;

2re Wymagając wiadomości istotnie tylko potrzebnych do pewnego stanu, jako to: matematyki dla inżyniera itp.

3cie Znosząc wszelki wykład publiczny takich przedmiotów naukowych, które pozostawić można dobréj woli i środkom każdego prywatnego człowieka, jakiemi są: historya, jeografia, meta fizyka, estetyka, polityka, handlowość itd. [7]);

4te Nie sprzyjając żadnym sposobem rozprzestrzenianiu umiejętności w najniższych klasach ludu, i utrudniając nawet, bez okazania tego, wszelkie przedsięwzięcia tego rodzaju, któreby gorliwość nieświadoma lub szkodliwa wymyślеć mogła.

Zdaje się że dość rzucić okiem na rady powyższe; porównać je znów z kierunkiem jaki rząd rosyjski zachowywał w przedmiocie wychowania publicznego, organizacyi Szkół, Uniwersytetów i Akademij, wreszcie wykształcenia umiejętnego jakiego wymagały najwyższe stopnie i najświetniejsze w tem państwie karyery, aby odpowiedzieć można śmiało, że zasady de Maistra w wielkiem były dotąd w Rosyi poszanowaniu. Ostatnie nawet symptomata w przedmiocie umiejętności, jako to założenie nie Uniwersytetu lecz Akademii medycznéj w Warszawie, potwierdzają to zda-

---

[7]) Stawia się tu zasadę prawdziwie *ekonomiczną i polityczną*, lecz bez zamiaru wypowiedzenia czegoś rozstrzygającego lub przesadzonego. Rządy winne może coś uczynić dla szaleństwa wieku: jednakowoż czynić winny tyle aby je uspokoić lecz nigdy tyle aby mu sprzyjać. (Przypisek de Maistra).

nie, i są nowym dowodem, jak nawet do dziś dnia mało od dawnego systematu odstąpiono, i jak trudno lub niebezpiecznie w Rosyi od niego odstąpić. To co w r. 1811 za jedynie praktyczne dla Rosyi w sferze umiejętności de Maistre uważał, opierając się na głębokiéj znajomości charakteru mieszkańców i na organizacyi spółecznéj tego państwa, od tego po latach pięćdziesięciu niechętnie ludziom stanu rosyjskim odstępować przychodzi.

Wszelako rady te na polu umiejętności odpowiadały radom na polu wolności. Podobnie jak nie uważał de Maistre, aby wówczas nadeszła już chwila do zniesienia niewoli, tak też nie widział wtedy stósownéj pory do reform rozpowszechniających umiejętność. Rady podawał w harmonii ze stanem rzeczy, jaki miał przed sobą, i z tem co mu się najlepszem w ówczesnem położeniu Rosyi wydawało.

Dzisiaj, biorąc nawet za skazówkę memoryał, nadeszła chwila dla pierwszej reformy. Usamowolnienie chłopów w Rosyi już rozpoczęte. Czy nadeszła chwila i na drugą?... Trudno osądzić. »Czekać należy, mówi de Maistre, i pierwej mieć uczonych zanim budować akademie«... Lecz rozbiór na nicby się nie przydał. W tem właśnie niebezpieczeństwo reform spółecznych, że jedna pociąga za sobą drugą. Taka ich natura, taka nieunikniona kolej. Rosya zatrzymać się nie może i na tej drodze, choćby nawet grunt nie był lepiéj niż za czasów de Maistra doprawny, chociażby nawet większe jej jeszcze dzisiaj niż w ówczas niebezpieczeństwo od zbytniego rozpowszechnie-

nia umiejętności zagrażało. A łatwo być może, że tak jest nie inaczéj. Bo kiedyż łatwiejszy, a oraz szkodliwszy wpływ umiejętności fałszywej, jak w chwili ogólnego rozprzężenia w jakiem się organizacya Rosyi znajduje? Kiedyż łatwiejszy wpływ półmędrków jak w chwili przeobrażeń spółecznych i ogólnego wzburzenia umysłów?... Dodać należy, że właśnie systemat uważany przez de Maistra za zbawienną niejako kotwicę w burzy którą prąd umiejętności szkodliwie podniecony wywołać może, systemat przyjęty *czynow*, został, jak donoszą, ukazem cesarskim nieodwołalnie zniesiony... *Alea jacta est!*

W obec owéj konieczności przyjdzie zapewnie opuścić nieco z owych surowych rad de Maistra. Przyjdzie, jak sam powiada, uczynić coś dla »szaleństwa wieku«. Lecz jak dodaje »tyle tylko aby je uspokoić«. Ukaz Cesarski z 2 grudnia ustąpił także nieco z rad de Maistra co do usamowolnienia włościan, ale widzieliśmy, że o ile tylko można było, zachował zasady. Między zasadami a radami de Maistra, niema, ściśle mówiąc, tej różnicy, jaka jest między teoryą i praktyką, bo i jedne i drugie zastósować można. Ale pierwsze są zawsze syntetycznemi, drugie analitycznemi; pierwsze są premissą, drugie następstwem.

Stanowisko de Maistra z którego ocenia Umiejętność, równie jest wzniosłe jak to z którego w pierwszym rozdziale sądził o Wolności. Mówiąc o umiejętności nie odwołuje się na »oświatę«, jak pisząc o wolności nie powoływał się na »cywilizacyę »lub postęp«. Rozprawia tylko o rzeczach z których i sobie i czy-

telnikowi należytą, jasną i dokładną sprawę zdać umie. Nie potępia bynajmniéj umiejętności, a tem mniéj nauki, której znajduje za mało w żywiole rosyjskim, i żąda więcéj takowéj, aby do umiejętności dojść można. Ale chce aby umiejętność była prawdziwą i wskazuje na niebezpieczeństwa fałszywej. Obawia się niedojrzałej uczoności, zbytniej naukowości, pyszałkowego półmędrctwa, zgoła tych wszystkich umiejętnych blichtrów z których złożony ołtarz przed którym tak zwana cywilizacya dziś tak chętnie bije czołem. Przeczuł de Maistre owe bałwochwalstwo umiejętności, któremu wiek dzisiejszy tak gorąco hołduje. Bałwochwalstwo to nurzające się z jednéj strony w racyonalizmie, z drugiéj w panteizmie, a spływające zawsze w końcu w niedowiarstwo, ma swoją ulubioną, powiedzieć można pogańską formułę: »umiejętność dla umiejętności! sztuka dla sztuki!« Jenialny »prorok przeszłości« posłyszał to niebezpieczne dla społeczeństwa echo które się ciągle teraz powtarza. To też z całą mocą wiary, przekonania, rozumu i nauki, oświadcza wraz z Bakonem: »że religia jest aromatem który broni umiejętność od zgnilizny.« W czwartym rozdziale swego memoryału obszerny poświęca wywód téj prawdzie, że niema prawdziwéj umiejętności bez religii, że jedynie prawdziwa religia jest jéj podstawą i cechą. W tej też zasadzie upatruje właśnie największe dla Rosyi niebezpieczeństwo to jest, w poddawaniu się zbytniemu wpływowi umiejętności, któréj brakuje tam owego zachowawczego czynnika; podobnie jak w przedmiocie »o wolności« ubolewał nad

brakiem siły religijnej dla poskromienia i utrzymania żądz rozburzonych dziełem usamowolnienia włościan.

Lecz stanowisko de Maistra nie jest tylko religijne, jest ono zarazem spółeczne i polityczne. Umiejętność jest w spółeczeństwie i dla spółeczeństwa; o wpływie jéj sądzi też jako gruntowny i doświadczony statysta. Niechce on dla niéj przeważnego w polityce udziału; niechce aby w hierarchii spółecznéj zajmowała pierwsze miejsce. Według de Maistra, umiejętność jest światłem u góry, anarchią u dołu. Jeżeliby kto anachronizmy w jego zasadach upatrywał, pomimo daty memoryału, to chyba ten tylko, kto zapomniał co się działo przed dziesięcią laty, kto nie widział lub nie słyszał Zgromadzenia w kościele śgo Pawła w Frankfurcie. Jeżeli są anachronizmy w de Maistrze co do zasad, to zaprawdę tam tylko gdzie przepowiedziane złe już nastąpiło, a nastąpiło tak stanowczo i zakorzeniło się tak głęboko, że pozostać musi, bo lekarstwa nań skutecznego dotąd niema. . .

Nie o to więc idzie, czy Rosya będzie musiała zmienić swój dotychczasowy kierunek, bo to zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwości, ale o to czy w reformach na polu umiejętności z podobną ostrożnością i roztropnością, to jest równie *stopniowo* postępować będzie mogła, jak postępować zamierza na polu usamowolnienia? . . . Położenie rządu co do téj drugiéj reformy równie trudne jak co do pierwszéj. Możnaby powiedzieć, że jest mniej niebezpieczne, gdyby spieszne postępowanie w drugiej, to jest w rozprzestrzenianie umiejętności, nie dodawało niebezpieczeństwa

do przeprowadzenia pierwszéj i nie roznieciało pożaru, który, jak mówi de Maistre, ›ogarnąłby całą Rosyę‹. Zapominać nie trzeba, że cała Europa przyklaskuje najmniejszéj oznace ruchu umiejętnego w Rosyi: jakże więc łatwo, i jakże silna pokusa dla rządu rosyjskiego, rzucać takową pastwę owéj nienasyconéj hydrze, która w postaci cywilizacyi europejskiéj ciągłego, bo obiecanego, wygląda od Rosyi pokarmu.

Owo parcie europejskie, wzmacnia jeszcze to, na jakie rząd rosyjski wewnątrz kraju jest wystawiony. Parcie to wewnętrzne nierównie jest zresztą silniejsze, i śmieléj się objawia gdy chodzi o umiejętność, aniżeli gdzie mowa o wolności. Któż dziś w Rosyi obawiać się będzie wynurzać życzeń aby były Akademie, aby rząd założył Uniwersytet, lub liczbę profesorów powiększył?...

Bo tak samo jak pisząc w zeszłym miesiącu ośmieliliśmy się wypowiedzieć zdanie, że w kwestyi usamowolnienia włościan w Rosyi nie idzie tyle o wolność co o własność, — tak znów wypada nam oświadczyć, iż sądząc z głosów objawiających się w Rosyi i zagranicą, wnosić musimy, że w reformie co do umiejętności, nie idzie tyle o umiejętność, ani o naukę, ani nawet o tak zwaną oświatę, ale idzie o Akademie.

Dowodów na to niesłychanie wiele przytoczyćby się dało z dziennika będącego organem rosyjskim za granicą, który sam, i wszyscy jego rosyjscy korespondenci wychwalają bezprzestannie nowy kierunek rządu, dowodzący śmiało że w reformach odbija się za-

sada: umiejętność dla umiejętności. Pochlebstwa te niczego nie dowodzą, bo nie oparte na faktach; mogą być i są zapewne tylko mniej więcéj zręcznem wmawianiem. Lecz jeżeli nie dowodzą aby rząd rosyjski był tego zdania, zdradzają jakie są życzenia tych którzy głos zabierają w imieniu opinii publicznéj. Wprawdzie są to po większéj części profesorowie: lecz któż inny pisać będzie w Rosyi w przedmiotach po ważnych?... Dla tego też ważnym w tym przedmiocie jest materyałem sprawozdanie [8]) z uczty obchodzonéj 24 stycznia, na uświęcenie rocznicy założenia Uniwersytetu Moskiewskiego, przez członków tegoż uniwersytetu znajdujących się w Paryżu. Składali ją profesorowie i uczniowie, a w Paryżu naturalnie przemawiali przy toastach śmielej nieco, aniżeliby na to może w Moskwie pozwalała roztropność.

Owóż w owych przemówieniach obok bardzo właściwych Rosyanom przechwałek, jako to: »że wkrótce Rosya liczyć będzie tysiąc lat istnienia«, a co pominąć wypada; obok szerokiego rozprawiania o polityce, jako to: »że ziemia rosyjska jest wielka i bogata lecz zbywało jéj na porządku, a teraz dodać będzie można, że porządek istnieje,« — »że Rosya nie została zwyciężoną ale uchyliła czoło przed palcem bożym który jéj wskazał drogę jaką postępować winna« — »że łuna pożaru Sebastopolskiego jest zorzą odrodzenia się Rosyi« — »że o Cesarzu Aleksandrze II będzie można powiedzieć gdy dokona

---

[8]) Dzienik *le Nord* z 30 stycznia r. b.

»reform zamierzonych, nie tylko że był wielkim kró-
»lem, ale nawet to słowo Hamletowskie: To był czło-
»wiek;« — obok licznych i obszernych rozbiorów o kwestyi usamowolnienia, udowodniających nie tylko konieczność reformy, ale konieczność wszelkich ofiar w téj sprawie, niesprawiedliwość doznawaną przez włościan, których charakter na najwyższe zasługuje uznanie; — obok tych wszystkich rozumowań czytać można szczególnie wielkie pochwały oddawane Uniwersytetowi Moskiewskiemu który jest ogniskiem wiedzy dla całéj Rosyi. Uczeni rosyjscy żądają więcéj ognisk podobnych, spodziewają się dalszych postępów umiejętności i cywilizacyi, życzą sobie jawności, ale czyż mówią choćby słowo o nauce, o wychowaniu owego ludu który według nich koniecznie wolności potrzebuje, dla nadania mu któréj, szlachta zdaniem ich wszelkie ponosić winna ofiary; przez usamowolnienie którego spodziewają się nabyć różnych nowych swobód i przywilejów »uczonych«?... Bynajmniéj. O nauczaniu, o wychowaniu tego ludu nie mówią wcale. Znać że to nie ich rzecz: to nie rzecz Akademij! Oni żyją dla siebie: umiejętność dla umiejętności! Co im wszakże nie przeszkadza oświadczyć z wielką pychą: »że w dziele cywilizacyi rosyjskiéj,
»a przeto i bezpośrednio w dziele cywilizacyi powsze-
»chnej, uniwersytet Moskiewski powiedzieć sobie mo-
»że: *Quorum pars magna fui!*... »Europa coraz no-
»wych dowiaduje się rzeczy. Niedawno jak p. Żere-

bców ogłaszał jéj w broszurze [9]), że komunizm rosyjski stanie się wzorem organizacyi społecznej dla wszystkich europejskich narodów; teraz znów p. Łokwicki, były uczeń uniwersytetu Moskiewskiego i profesor prawa rosyjskiego w lyceum Odeskiem, odkrywa, komu to Europa po wielkiéj części cywilizacyę swoją zawdzięcza! . . .

Czyż to wszystko nie dowodzi jak bystro zapatrywał się na Rosyę de Maistre, gdy przedstawiał tak żywo niebezpieczeństwa, jakie zagrażają społeczności rosyjskiéj od umiejętności takiéj, jaka się w jej Uniwersytetach wyrabia? czy nie miał słuszności gdy pisał »że trzeba mieć uczonych zanim się buduje Akademie?« czy nieprzewidział że chodzi tylko o Akademie, skoro tem właśnie zdaniem rozdział swój w memoryale zakończył? . . .

Nareszcie wspomnieć wypada o jednem jeszcze niebezpieczeństwie, którego nieprzewidywał de Maistre; ma ono bowiem swe źródło w teoryi późniejszej od niego. Chcemy mówić o panslawizmie, który w mowie p. Wyżyńskiego, ucznia uniwersytetu Moskiewskiego, podczas przytoczonej uroczystości odbił się nader wyraźnie. Mówca wykazał bardzo jasno, że Uniwersytet wybornem jest dla panslawizmu polem. Piękny to i obfity zaiste przedmiot do artykułów i rozpraw w dziennikach, które teraz uczniowie uniwersyteccy w Rosyi wydają; a p. Wyżyński jest ani wątpić można, jedne-

---

[9]) *Les trois questions du moment*, par Nicolas de Gérébtzoff, Paris 1857. (Patrz Dodatek T. VII. str. 210).

go z takich pism głównym redaktorem. Ależ bo i cóż prostszego, nad to, że ów zakochany w sobie akademicki egoizm, w szatę patryotycznéj filantropii przyodziany, uważa panslawizm za najdogodniejsze dla swoich teoryj pole? Wszakże umiejętność, która niema podstawy, któréj brak owego »aromatu coby ją chronił od zgnilizny« popaść w nią musi. Taką umiejętność zgniłą, widzimy wszędzie kosmopolityczną: w Rosyi panslawistyczną ona zostanie. W końcu będzie to zawsze niebezpieczeństwem, choćby nawet chwilowo dogadzać mogło...

MAURYCY MANN.

DALSZE WSPOMNIENIE

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA I. *)

Między wspomnieniami wypraw naszych do Hiszpanii w latach 1808, 1810 i 1811, niepoślednie zajmuje miejsce książka czyli dzieło hiszpańskie trzech tomowe: *El hombre feliz*, o którém właśnie mieliśmy zawiadomić współziomków, kiedy oto p. Ignacy Domejko w liście swoim do Adama Mickiewicza, z Val-paraiso, z d. 9go kwietnia 1824; w *Dodatku miesięcznym Czasu* w Zeszycie 17tym na miesiąc Maj z. r. na stronnicy 289, tak się wyraża o jednym znakomitym duchownym katolickim: „Zna on doskonale historyę naszą i historyę

*) Zobacz: *Czas Dodatek miesięczny* r. 1857 t. IV. zeszyt grudniowy, str. 597.

„Swiętych naszych. Zalecał mi czytanie jakiegoś dzieła „Portugalczyka Almeida, w którém główna osoba, wzór „szczególniejszéj cnoty jest nasz Władysław III i dzie„ło to ma być wielkiéj wziętości między klerem Ame„rykańskim, i bardzo pożytecznem dla ludzi szukających „prawdy i pobożności.“ Otóż właśnie to dzieło zciągnęło na siebie uwagę naszych oficerów, tak już w roku 1808, jak więcéj jeszcze w latach 1810 i 1811; nie tylko albowiem znachodziliśmy po kwaterach w Hiszpanii, rzeczone dzieło, ale księża hiszpańscy witali nas częstokroć z tém dziełem w ręku jako całkowicie z historyi polskiéj czerpaném. Jakkolwiek jednak, byliśmy mniéj więcéj obeznani z tem dziełem w Hiszpanii, dowiedziałem się dopiero o jego Portugalskiém pochodzeniu, sprowadziwszy w roku 1856 z Madrytu, *Dwunaste* wydanie tego dzieła celem postarania się o przełożenie onego na język polski. Oto jest tytuł téj książki *El hombre feliz, independiente del Mundo y de la Fortuna ôarte de vivir contento en cualesquier trabajoś de la vida. Escrita en Portuguez por el padre Don Teodoro de Almeida, de la Congregacion del Oratorio, y de la Academia de las Ciencias de Lisboa, & Traducida à nuestro idioma por D. Benito Estevan de Riol, la tomé de dicha segunda edicion original, y anadio para mayor adorno de la obra un Compendeo Historico y Genealógico de los Soberanos de Polonia. Duodecima Impression Madrid 1842. Impresta Calle del Humilladero. Nr. 14 Tomo primero, segundo, tercero.*

Takowego tytułu polski przekład:

Człowiek szczęśliwy, niezawisły od świata i doli, czyli: *nauka* jak żyć spokojnie w jakichkolwiek przygodach życia. Napisana po portugalsku, przez ojca szlachetnego Don Teódora de Almeida, z Towarzystwa Bogomodlców i z akademii umiejętności lizbońskiéj & przetłumaczona na mowę hiszpańską przez szlachetnego Don Benedy-

kta Szczepana de Riol z wydania drugiego oryginalnego, ozdobiona dodanym przez tłumacza krótkim zbiorem historycznym i genealogicznym, Panujących Polskich. Dwunaste wydanie w Madrycie r. 1842, wybite przy ulicy del Humilladero. Nr. 14. Tom pierwszy, drugi trzeci.

To więc dzieło w hiszpańskim języku, w Hiszpanii rozpowszechnione, daje poznać: dla czego w tym dalekim kraju, znaleźliśmy po wsiach, dzieje Narodu Polskiego więcéj znane niż we Francyi, i dla czego po wsiach i miasteczkach hiszpańskich, my Polacy, doznawaliśmy nie równie mniéj nieprzyjaznego podejmowania, niżeli Francuzi.

Przy téj sposobności zamieszczamy uwagę; że jak się nam w licznych marszach i stanowiskach po wsiach i miasteczkach uważać zdarzało, rzeczy polskie, daleko więcéj znane były w krajach Niemieckich, aniżeli we Francyi. Naród ten wielki, zajęty sobą samym, nierozróżnia nawet położenia innych ludów... wszystko co leży za Renem, ma za obce, i sądzi być wszystko Niemcami: *Allemagne;* może to teraz, skutkiem tułactwa tylu Polaków, jest inaczéj, ale tak było w r. 1806, gdy Francuzi dziwili się w Wielkiéj Polsce, że wieśniacy nie rozumieli po Niemiecku... Tak było jeszcze kiedyśmy w latach 1807, 8, 9 i 10 przez kraje niemieckie i francuzkie przechodzili kilkakrotnie do Hiszpanii.

Dzieło o którém mowa: *El hombre feliz* będąc przepełnionem rozprawami, niemal teologicznemi i wierszami przytrudnymi do zrozumienia; przytem *my* oficerowie w Hiszpanii, zostając w nieustannych bojowych pochodach, jak w roku 1808, albo w ciągłych podjazdach i pilnowaniu się od tak zwanych: *Guerillasów*, w latach: 1810 i 1811 nie mieliśmy chwil wolnych do przewartowania tego trzech tomowego dzieła, i nie mogliśmy takowego zrozumieć dostatecznie, tak dalece, że naszego

uszło baczenia, iż dzieła tego pierwotwór, był Portugalski... Widzieliśmy tylko: że Władysław III, u nas zwany Laskonogim, jest bohaterem tego religijno-moralnego romansu, w którym o Leszku Białym i o Goworku dały się dośledzić wzmianki; i że przebijającem było życzliwe uczucie, a raczéj zamiłowanie narodowości Polskiéj pochodzące bezwątpienia, z uwielbienia autora dla katolicyzmu polskiego, którym się nasz kraj i rząd, w pośród Europy, szczególniéj odznaczał.

Jakoż mamy powody mniemania, że ks. Almeida pierwszy autor dzieła, przebywał w Polsce. Czytamy w *Biografie Universelle Paris 1811.* Tom. 1, str. 601, że Teodor Almeida urodził się w Lizbonie r. 1722, że wydawszy wiele dzieł wsławionych, prześladowany był przez ministra Portugalskiego Pombala i musiał emigrować przez dłuższy czas, a że powróciwszy po długiéj niebytności do Lizbony, wydał romans pod tytułem: *l'Heureux Indèpendant*, co widocznie jest naszym: *Hombre feliz y independiente*, i że umarł w Lizbonie r. 1803. Osoby duchowne krajowe, zechcą dostarczyć Redakcyi *Czasu* bliższych wiadomości o księdzu Teodorze Almeida, z których wyniknie bezwątpienia, jakie okoliczności spowodowały go, szukać bohatera swego poematu w Polsce

Pamiętny wrażenia jakie na mnie zrobił w Hiszpanii częsty widok książki tak sprzyjającej narodowi polskiemu, sądziłem że przy spokojniejszej chwili, zdołam nabyć rzeczone dzieło, sprowadzić do kraju i przeczytać za pomocą słownika akademii madryckiéj. Ale od roku 1811 w którym podziwiałem z kolegą Hermolausem Jordanem pod katedrą w Valladolid, owego sławnego kometę, o którym przypomniałem sobie w przeszłym roku, wieleż to przygód przebyło się do chwili teraźniejszéj. Dopiero w r. 1856 i to z wielką trudnością, zdołałam sprowadzić sobie z Madrytu upragnione dzieło, a przekonawszy się z żalem, iż jeżeli w Hiszpanii nie byłem w stanie

czytać i rozumieć książki *El hombre feliz* to tem mniéj po blisko pół wieku, nieużywania tego pięknego języka, przyswojonego sobie tylko poniekąd z łaciny i literatury Włoskiéj, musiałem się więc starać o słownik akademii Madryckiéj i teraz w r. 1857 dostałem takowego w Berlinie od nauczyciela języka hiszpańskiego p. Mahn. Jest więc mojem upragnioném życzeniem, żeby kto z młodych literatów, zwłaszcza kto z duchownych, podjął się przepolszczenia hiszpańskiego dzieła: *El hombre feliz*, które jest tyle zaszczytném, a może być zwłaszcza w obecnych czasach, arcy pożyteczném w naszym kraju. Dzieło zagraniczne z tak dalekich stron dla znajomości i czytania ziomków uzyskane, bodaj się stało dla późnych pokoleń świadkiem pamiętnego pobytu zbrojnych rodaków w Hiszpanii; w tym celu i zamiarze, rozpoczynam dalsze wspomnienia moje o Pułku Gwardyi Polskiéj, mianowicie o pobycie w Hiszpanii, tym przedmiotem, który miał służyć za ustęp w mojem opowiadaniu, ale stał się wstępem, z przyczyny korrespondencyi p. Domejki z naszym, także już zgasłym, Adamem Mickiewiczem.

Od czasu kiedyśmy pisali nasze pierwsze wspomnienie o Pułku Gwardyi Polskiéj Napoleona I, straciliśmy zacnego Jędrzeja Niegolewskiego, jednego z naszych najodznaczeńszych współtowarzyszów broni; straciliśmy świeżo i drugiego zacnego kolegę: Gabryela Siemońskiego zmarłego w Tarnowie, który wyszedłszy z awansem z Gwardyi Napoleona do Legii Nadwiślańskiéj, odznaczył się pod Saragossą, był potem adjutantem majorem w tejże Legii przy jéj dowódcy w wyprawie 1812 roku przy jenerale Claparède a w r. 1831 dowodził pułkiem 8 strzelców pieszych; te straty dawnych towarzyszy broni pobudzając nas do dalszego spisania acz dorywkowém piórem z pamięci, krótką wiadomość o niektórych oddziałach naszego pułku, który gdy rzadko

działał razem, koledzy żyjący jeszcze, nie wszyscy mogą wiedzieć o różnych szczegółach, tak jak i my nie jedno zapomnieć mogliśmy, albo niewiedzieć o wypadkach, w których niemieliśmy udziału. Powtórnie więc do jeszcze żyjących dawnych współtowarzyszów broni odzywamy się żeby, póki czas, starali się przejrzeć dzieło jenerała Dautancourt, takowe uzupełnić i w Polskim języku wydać; a przynajmniéj dopełnić, poprawić lub potwierdzić to cośmy dotąd napisali, a co się nie zgadza z opisaniem różnych może bardzo życzliwych osób, lecz które do naszego pułku nienależały, a têm mniéj do wypraw jego wojennych.

Wiadomo już jest czytelnikom *Dodatku do Czasu* z grudnia r. 1856, że pułk Lekkokonny Polskiéj gwardyi Napoleona, był postanowiony dekretem jego z dnia 6 kwietnia 1807 w głównéj kwaterze Finkenstein podpisanym, a który dekret w powołanym artykule zamieściliśmy jako pamiątkę historyczną.

Pułk ten wskutek rzeczonego postanowienia tworzył się w Warszawie w koszarach Mirowskiemi zwanych, które już za dynastyi Sasów służyły Straży Królów Polskich przybocznej ciężkiéj jazdy, a nazwisko tej Straży pochodziło od Jenerała Wilhelma Miera Jenerała Wojsk polskich, który był ze Szkocyi rodem.

Pułk nasz tworzył się pół kompaniami, dwie kompanie po 125 ludzi każda, składały Szwadron Etatowy 250 ludzi liczący; szwadron zaś bojowy składał się z czterech plutonów po dwanaście rot, a zatem 96 ludzi w szeregu stojących, z podoficerami i Officerami mniéj więcéj ze stu ludzi Skoro taki szwadronik czyli oddział, dwie kompanie pierwsza i piąta, zdołały wystawić, opuścił takowy Warszawę najpierwszy 16go czerwca 1807, pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, pełen nadziei, że jeszcze zdąży do głównéj kwatery Cesarskiéj przed skończeniem wojny; atoli nie mógł już

stanąć do boju, bo bitwa pod Frydland stoczoną i wygraną było 14go czerwca. Mało wiemy o tym oddziale, który pierwszy opuścił Warszawę, to tylko tu możemy powtórzyć: że Kasper Dembiński krakowianin, porucznik drugiéj klasy, postradał w nim życie szwankując z konia w okolicach Królewca: był to drugi z pięciu synów Chorążyny Krakowskiéj z Moszyńskich Dembińskiej, którzy wszyscy pięciu służyli w wojsku Księstwa Warszawskiego, a jeden z nich Jan, oficer wyższego usposobienia, poległ pod Smoleńskiem w r. 1812.

W miarę jak tworzenie się pułku mogło wysłać z Warszawy po sto koni, oddziały takowe, wyruszały co miesiąc. Drugi oddział wyruszył pod dowództwem szefa szwadronu Kozietulskiego. O tym oddziale tyle tylko pamiętam, że w Berlinie był insultowany, z czego się wszczęła bójka tamecznych mieszczan z naszymi szwoleżerami, dla niektórych z pierwszych, bezwątpienia długo i boleśnie pamiętna.— Trzeci oddział, z kompanii 2giéj i 6téj po połowie złożony, wyszedł z Warszawy pod dowództwem kapitana drugiéj kompanii Pawła Jerzmanowskiego oficera znakomitego, który był pierwéj adjutantem marszałka pałacu cesarskiego jenerała Duroc, temuż przez Tadeusza Kościuszkę osobiście polecony.— Czwarty oddział, do którego należał piszący, opuścił Warszawę pod dowództwem kapitana 6téj kompanii, Wincentego Radzimińskiego, ostatnich dni września 1807 r. Tąk więc dwa pierwsze etatowe szwadrony, składające się: z kompanii 1széj 5téj tudzież z 2giéj i 6téj, razem 500 koni wynoszące, opuściły Warszawę i Polskę przed jesienią 1807 r. Te cztery szwadrony bojowe, tworzące, *pierwszy regiment* naszego pułku Gwardyi pod bezpośrednim dowództwem majora Delaitre wyprzedził o dużo, cztery Szwadrony bojowe, składające *drugi regiment*, pod dowództwem majora Dautancourt, jak to się

już powiedziało w pierwszym artykule i na dalszém miejscu się powtórzy.

Oddział IVty do którego ja należałem, przechodził z Warszawy do Śląska przez Sochaczew, Łowicz, Łęczycę, Kalisz, wszędzie witany i żegnany z uniesieniem. Towarzyszyły nam życzenia ziomków, ażebyśmy zaszczytnie przedstawiali narodowość naszę za granicą i żebyśmy umieli dla kraju zasługiwać na szacunek bohatera, w którym spoczywały nadzieje wszelkie. W tak niedawnym a już dla obecnego pokolenia oddalonym czasie, godzi się wspomnieć i niektóre drobne okoliczności, ażeby się sprawdziło kiedyś po naszéj śmierci owo dawne Wirgiliusza godło: *forsan et haec olim meminisse juvabit!* Otóż do Błonia pierwszego naszego noclegu, odprowadzało nas mnóstwo Warszawian, byli tacy co i z okolic oddalonych od Warszawy przybywszy, żegnali znajomych i krewnych, ciągnących — jak było mniemanie powszechne, na festyny i wykwintności Paryża, mianego wówczas za stolicę świata, za nowy Rzym. Tak więc można mówić, dopiéro z Błonia zaczęliśmy marsz istotny z ułudy stolicy obrany.

Odbywając pochód przez okolice zajęte leżami wojska Francuskiego, musieliśmy częstokroć zbaczać od traktu dla ominięcia osad już przepełnionych piechotą Francuską, było nam zaś podziwem, że wieśniacy nigdzie na pobyt Francuzów nie narzekali, owszem żołnierz francuski nie tylko groszem wspomagał swego gospodarza, ale mu w polu pomagał. Czynność tego narodu jest taka, że nie mogą się Francuzi przypatrywać obojętnie jakiéj robocie, żeby w niéj udziału mieć nie chcieli. Jak zaś dziwnie nam się wydawało w niedzielę widzieć grenadyerów i woltyżerów podających ramię wieśniaczkom i prowadzących je etykietalnie do kościoła, to czytelnicy nasi i teraz jeszcze pojąć mogą.

Przybywszy do Kozłowa, między Sochaczewem a Łowiczem, zostaliśmy w tamtejszym dworze p. podkomorzego Skarżyńskiego. Wszyscy oficerowie oddziału, gościnnie przyjęci byli. Tam poznaliśmy synów obecnych szanownego gospodarza, który późniéj był prezesem sądu apellacyjnego i kasztelanem w Warszawie; Kazimierz już był w wojsku polskiem, starszy Ambroży właśnie co wrócił z pruskiego; zapoznawszy się z nami i z trybem służby naszéj, zaraz przedsięwziął zaciągnąć się do naszego pułku, co też i niebawem uskutecznił; a brat jego młodszy Filip, poszedł za starszego brata przykładem skoro mu wiek i rodzic na to pozwolił.

Ja w tym marszu miałem tę szczególną pociechę, że w Nerze wsi nad rzeką tego nazwiska, u stryja mego cały oddział doznał dnia wypoczynku. Dobra Ner po jednéj, a Gostka po drugiéj stronie rzeki, były od dawna siedliskiem rodziny Załuskich; wówczas mój stryj Bogumił, stroju dawnego zwolennik, utrzymujący znakomite stado koni, posiadał i zamieszkiwał te dobra, ożeniony z Agnieszką Jabłkowską, któréj brat był adjutantem jenerała Zajączka. Niepotrzebowaliśmy téj poręki, żeby być dobrze przyjętemi przez tego weterana sprawy polskiéj i wojska narodowego, miał on przytém w pułku naszym synowca, kapitanem. Jenerał Zajączek dowodzący w Kaliszu, podejmował nas oficerów obiadem i świetnym wieczorem. Jakkolwiek opuszczaliśmy kraj rodzinny nie bez pewnéj tęsknoty, wzniecił w nas uczucie zazdrości, widok Śląska lepiéj zabudowanego i zagospodarowanego od naszych stron a razem żalu, że ta piękna kraina niemal kolebka Polski, tak niezgrabnie została przez naszych przodków utraconą.

W Wrocławiu marszałek Mortier, odbywszy przegląd nasz na dworcu Tauenziehna, wezwał oficerów do stołu i na bal, którym obchodził pierwszą rocznicę 14 paź-

dziernika, bitwy pod Jena i Auerstaedt owego zarodu naszych nadziei.

Jakkolwiek krainy Śląsk i Saksonia zdają się być nam obcemi, nie możemy się skarżyć na jaką odrazę do nas, ze strony tamecznych mieszkańców; przeciwnie zdawało nam się, że nieszczęścia naszego kraju i nasza ochoczość, zasługiwania się dla niego, wzbudzały sympatią, której doznawaliśmy prawie wszędzie. Nie mało do tego uczucia, przyczyniała się, nasza umiejętność języka niemieckiego pozwalająca nam; oświecać o naszym kraju, bronić jego zasług, i przekonywać; jakoż dawne zabytki w Slązku, świeże pamiątki królów polskich w Saxonii, a cuda dziejące się w ówczesnéj polityce, nie czyniły wstrętném wiekowe braterstwo Wisły, Odry i Elby.

Przyjęcie nasze w Dreznie było świetne; świeżo utworzone królestwo cieszyło się Księstwem Warszawskiém; schlebiało to Sasom; z dumą pokazywali nam posąg Augusta II, oswobodziciela Kamieńca podolskiego. Niedoznawaliśmy nigdzie nieprzyjaznego obchodzenia w Niemczech, owszem oprócz powszechnéj uprzejmości, podziwialiśmy jakieś współczucie dla nas i powszechną znajomość naszych krajowych przygód i stosunków i mogliśmy sobie powtarzać: *Quis jam locus quae regio in terris nostri non plena laboris!* Dopiero w Frankfurcie nad Menem zdarzył się wypadek obelgi narodowości naszéj, a ztąd zajście z naszymi Szwoleżerami już opisane poprzednio w *Dodatku do Czasu* między przykładami nadzwyczajnéj siły w wojsku polskiém w naszych czasach.

Maszerując bez przerwy w czasie zimowym i doszedłszy przed Nowym Rokiem 1808 do Chantilly, już tam nie zastaliśmy trzech oddziałów pułku, nasz oddział poprzedzających; już były ruszyły ku Hiszpanii; zastaliś-

my tylko adjutanta majora Polereczkiego *), który na spotkanie nasze wyjechał i przyjął nas w tej dawnej rezydencyi Kondeuszów, gdzie zajęliśmy stajnie jakich może, *podobnéj wspaniałości* w całym świecie nie ma. Byłato widoczna względność Napoleona, który *młodzież* jazdę polską *składającą*, chciał *przywitać* we Francyi, w budowlach stajen, podobnych do pałaców, bo nie wypada powiedzieć do świątyń. Kapitan *Polereczki* a wkrótce i major Delaitre, oznajmili nam, że bezzwłocznie pociągniemy za poprzednimi oddziałami, i nie zostaniemy w naszym garnizonie tylko czas potrzebny do wypoczęcia koniom po marszu z Warszawy i do poprawienia przyrządów tak ludzi jak i koni. Oficerowie po kolei dostawali pozwolenie zwiedzania stolicy. Major Delaitre zawiózł mnie *do Paryża* i wskazał mi oberżę w domu, w którym mieszkał niegdyś zwycięzca Włoch, Bonaparte. Stanąłem więc przy *place des Victoires, Rue des Victoires* i *Hotel des Victoires!* Ten dom zajezdny, był odtąd wyłączną posadą dla oficerów naszego pułku, Paryż za pozwoleniem zwiedzających. Zaraz przy wstępie do téj stolicy, największe na mnie zrobił wrażenie, sztandar trójbarwny ogromnego rozmiaru powiewający nad Tulleryami, ową dawną rezydencyą Burbonów. Drugim przedmiotem ciekawości mojéj był, *le passage Radziwill* jako pamiątka, jeżeli nie chwały, to zbytku Polskiego. Szczególniéj zajęła mnie w Paryżu *widownia*, nazwana: *le Thèatre Français.* Panny: Mars, Duchesnois, Rocourt, były niezrównane; a cóż powiedzieć oficerowi Polskiemu], o Talmie grającym w kontuszu, w stroju polskim, za staraniem dam polskich najstaranniéj zachowanym, w tra-

---

*) Emigranci dawni Węgierscy: Beresenij, Polereczkij, i Esterhazij, byli we Francyi dowódzcami pierwszych trzech pułków Huzarów, te pułki długo nosiły te nazwiska, drugi pułk zwał się późniéj Chamboran — kapitan nasz Polereczki pochodził z tego rodu Węgierskiego.

jedyi: Wacław: (*Venceslas*) autora Rocourt. Wrażenie jakie *Théatre Français* zrobił na mnie, było to, że trajedya i deklamacya tragiczna, nie są jednostajnemi w różnych narodach; że trudno jest, ażeby kilka narodów na jeden wzór tragiczności się zgodziły; że zaś wyższa komedya, gra dowcipu i wykształcenia towarzystwa, jest we Francyi na stopniu niezrównanym, i że wszyscy cudzoziemcy, byle po francuzku dobrze rozumieli, z upodobaniem i podziwem uczęszczać będą na komedyę Francuską.

Wkrótce udaliśmy się w marsz z Chantilly ku Bordeaux. Bo z razu nie mówiono nic o tém, że to wyprawa zamierzona do Hiszpanii, dopiero w ciągu pochodu zaczęły krążyć wieści o tém przeznaczeniu, a razem różne opowiadania nie korzystne o kraju hiszpańskim, jakiej tam nędzy doznawać będą, ludzie i konie.

Obeszliśmy więc Paryż, na Versailles. Napoleon nie chciał ruchu wojska pokazywać na placu karuzelu, zwłaszcza że już poprzednie oddziały Gwardyi i pułku naszego, były się tam pokazały. — Widok Wersalu sprawił na nas odmienne, zupełnie przeciwne wrażenie, niżeli widok Tulleryów ozdobionych chorągwią zwycięztwa, przypominając nam, gnuśne i nienawistne rządy: Pompadury, Dubarry, i owych Markizów o czerwonych korkach — *à talons rouges* — którzy usunęli od wpływu i władzy Stefana Franciszka Choiseuil, ostatniego Ministra królewskiéj Francyi, którego zwać można tym zaszczytnym urzędem.

Pod Versailles, połączyły się różne oddziały konnéj Gwardyi: Żandarmów wyborczych (*d' Elite*) Grenadyerów konnych, Dragonów i Strzelców konnych, z naszym Szwadronem; i tym sposobem, złożył się Pułk pochodowy (*regiment de marche*) z kilku set koni, którego dowództwo objął Podpółkownik Żandarmeryi Wyborczej a to tak dalece, że Adjutant Major, Officer płatnik, je-

dném słowem, sztab tego marszowego pułku składał się z samych Officerów Żandarmeryi. Zdawało się, że ten rodzaj kommendy miał na celu wybadać jak też młodzież polska, z tylu rożnorodnych Rządów pochodząca jest usposobioną? Ale gdy się szanowny nasz Dowódzca, z pod naczelnictwa Jenerała Savary naznaczony, przekonał, żeśmy byli fanatycznymi Napoleonistami, nierównie więcéj od Francuzów, zaniechał z nami pogadanek wyrozumiewających i pokochał nas czułością starego żołnierza. — Wiele bardzo zyskał nasz oddział w tym pochodzie od Versailles do Bajonny; bo codzienna i całodzienna styczność z tymi Weteranami, ten wzorowy porządek od niepamiętnych lat zaprowadzony w Jeździe francuzkiéj, a zwłaszcza, w tych wyborczych pułkach które zwano: Starą Gwardyą, wpływały czynnie i bez przerwy, na nasze młode i gorliwe umysły. Staraliśmy się okazać równymi, tak doświadczonym kawalerzystom, we wszystkich szczegółach służby; a czuliśmy znowu, nad niemi, po większéj części, wyższość moralną, przez nauki, jakie podają wyższe szkoły i troskliwe domowe wychowanie w rodzinach naszych polskich, które, skoro im niedostatek nie zabrania, mają ten z ojców przejęty chwalebny zwyczaj, nie szczędzenia na kształcenie swych dzieci. Tworzyło to, chwalebne z naszej strony współubieganie się, z owymi tyle starszymi towarzyszami broni, zwanymi po żołniersku: *nos anciens*; a że do téj gorliwości, umieliśmy zawsze dołączyć uprzejmość i grzeczność lepszego wychowania, więc staliśmy się ulubieńcami, tak szeregowych jak i korpusu Officerów. Ale nie mniej, i od mieszkańców Francyi doznawaliśmy uprzejmości. Oddziały nasze pierwsze, stały były niejaki czas w Bordeaux, pod naczelnictwem Szefa Szwadronu Tomasza Łubieńskiego, gdzie ten dowódzca i cała jego kommenda, umieli sobie pozyskać poklask powszechny tego wielkiego miasta; cze-

go dowodów doświadczyliśmy i my zwiedziwszy tę stolicę zachodniej Francyi, po nich.

Dopiero w Bordeaux powzięliśmy wiadomość stanowczą, że książe Bergu i Kliwii, Joachim Murat, na czele znacznego zastępu Gwardyi, w którym było naszych przeszło trzysta koni, już wkroczył do Hiszpanii.

W Bajonnie zatrzymał się nasz Pułk pochodowy dowództwa Podpółkownika Żandarmeryi Wyborczéj, aż do przybycia Marszałka Bessières, *duc d' Istrie*, kommendanta całej gwardyi Cesarskiéj. Gdy tak nasz oddział przez dni kilkanaście odpoczywał, zdarzyło się, iż gdy byłem na służbie w Szwadronie, konie nasze potrzebowały przejażdżki, poprowadziłem je po za Bajonnę nad Ocean, gdzie brzeg piaszczysty i płaski, a morze płytkie, jak nasze morze Żmudzkie, między Połągą a Świętą. Przypominając naszéj młodzieży, jak to Stefan Czarniecki pławił konie polskie w Baltyku, wprowadziłem ich do Oceanu, żeby pamiętali, i rodzinom swoim opowiadając, przekazali: że i my polskie konie pławiliśmy w Oceanie. Szczegół ten zda mi się ciekawym, bo może żaden oddział naszego pułku nie był w położeniu, podania swoim potomkom téj pamiątki, gdyż nasze oddziały, zwykle nie zatrzymywały się w Bajonnie; a płaski brzeg — (*la plage*) nad morzem jest nieco oddalony od miasta. Wszakże oddziały późniéj wyszłe z Polski, a pełniące służbę przy obojgu Cesarstwu pod Marrac, mogły zażyć tych samych pochlebnych odwiedzin Oceanu.

Wkrótce jednak przybył Marszałek Bessières, a za nim *à franc étrier*, to jest konno pocztą z Paryża do Bajonny, aż do Madrytu, Pułkownik Wincenty Krasiński, Kapitan Polereczki i porucznik 1 klasy Wincenty Szeptycki. Odbyliśmy rewię przed Marszałkiem, który rozporządził, żeby kapitan Radzimiński ze Szwadronem, szedł zaraz do Hiszpanii; ażeby, najmłodszego Officera zo-

stawił w Bajonnie dla doczekania się furgonu pułkowego, dążącego z Paryża z zapasami dla oddziałów Madryckich i żeby ten oficer przyprowadził do Madrytu ludzi i konie pozostałych w tyle; tym zaś Oficerem najmłodszym w randze, byłem ja, a Szeptycki starszy odemnie, objął dowództwo plutonu mego w drugiéj kompanii oddziału Radzimińskiego. Gdy rzeczony furgon nadszedł i ludzie pozostali w tyle oddziałów powiększéj części zgromadzili się, opuściłem Bajonnę, z moją nie wielką i kłopotliwą, lecz niepodległą komendą, której cała odpowiedzialność polegała na mnie, ale dostarczała mi nie zwyczajnego doświadczenia, w tak długim odrębnym pochodzie z Bajonny do Madrytu.

O dwa marsze od Bajonny jest granica Hiszpańska; mała rzeczka Bidassoa stanowi ją. Nie można sobie wyobrazić jaką różnicę tak mała woda oznacza. Miasteczko Irun tuż za nią leży, w niczem niepodobne do żadnej osady Francyi, Niemiec a tém mniéj Polski. Domy, jeżeli nie ogólnie z ciosowych kamieni, to po większéj części; ma się rozumieć, że wszystkie murowane, płaskim kamieniem lub ceglaną dachówką kryte, prawie wszystkie na jedno piętro wysokie, z wierzchu nie tynkowane, nieobielone, a żadném oknem szklanném nieopatrzone, co takiemu budynkowi, a zatém i całemu miasteczku, daje dziwnie ponurą postać; te budowle bez okien, tylko okiennicami zaopatrzone, dają domom postawę spichrzów gdańskich.

Przymaszerowałem do Irun pod wieczór, pora roku była w marcu, czas już ciepły, ale drzewa w górach jeszcze nie rozwinięte. Z wielu domów odzywał się brzęk gitar. Nie znając Hiszpanii tylko z romansów o Gonzalwach, Abencerragach, Rolandach itp. dziwnie byłem wzruszony tą tak nagłą odmianą powierzchowności narodowéj, i romantycznie uniesiony.... Ale wkrótce, to wrażenie poetyczne, innemu miejsca ustąpiło, gdy

ani dla ludzi, ani dla koni, żadnej nie było wygody, a kwatera moja, w najlepszéj *Hosteryi*, mocno przypominała — nie co do budowy — ale co do wygód i pożywienia — rodzinne nasze karczmy wiejskie. Znużonemu kilko milowym marszem konnym, okazało się jawnie, że brzęk gitar, a nawet śpiew ciekawy bardzo, z akcentem nigdzie indziej niesłyszanym, hiszpańskim, nie mógł zastąpić wieczerzy, jaką byłbym dostał w każdem miasteczku francuzkiém, tu zaś w ojczyznie Gonzalwów i Alonsów, trzeba było poprzestać — i to ledwie — na jajach. Nazajutrz, po czokoladzie i obejrzeniu starożytnego miejscowego kościoła, puściłem się w marsz, z końmi niezadowolnionemi jęczmieniem o słomie bez siana; z ludźmi o winie i białym chlebie, ale bez mięsa, i przyciągnąłem, po prześlicznéj murowanéj drodze, na nocleg, do Hernani. Nazwa ta, otrzymała rozgłos europejski, przez dramat Wiktora Hugo, atoli nie przyszło mi zgłębić, czy nazwa téj mieściny, jest także nazwiskiem jakiego rodu krajowego?

Hernani mało co różni się powierzchownością od Irun; zresztą ta jest prawie powszechną w Hiszpanii. Miasteczka różnią się tylko obszernością; mieścina ta czyli wieś, bo w północnéj Hiszpanii i wsie są po większej części z ciosowego kamienia na piętro stawiane, leży pod wysoką skalistą górą, Posłyszawszy od mieszkańców, że to jest jedna z najwyższych gór Pirenejskich, gdy wczesna jeszcze pora dnia pozwalała, wydrapałem się na jej szczyt, pomimo przeszkody ostróg, koło zachodu słońca, a widok tegóż, oraz spojrzenie na Ocean i na dalekie w okrąg okolice, zachwycił mnie nowym poetycznym urokiem dla Hiszpanii. — W dalszym pochodzie, Toloza, Willafranka, Mondragon — miejsca w których później dość długo przebywaliśmy — przekonywały mnie coraz bardziej o starożytnej cywilizacyi tego kraju. Droga wzorowa, mosty poważne zasłu-

gujące niemal każdy na rysunek, obie strony gościńca, pracowicie — rzadko pługiem — ale bez najmniejszego opuszczenia próżnego kawałka ziemi, łopatą i motyką ręcznie uprawione, pokolenia ludzi dawnych Iberyjczyków dziś Baskami zwanych, stanowiące ród piękny, wysoki, barczysty, dziwnej lekkości i siły; zwyczaje jakieś przedwieczne, południowe; mowa nie Hiszpańska ale odwieczna Iberyjska, wszędzie ślady dawnéj cywilizacyi i odszczególnionych przywilejów w tym przytułku Chrześciaństwa przed najściem Maurów. Widać tu, jak zresztą w całéj Hiszpanii dawną cywilizacyę, która może się zatrzymała na XV lub XVI wieku, ale na ten-czas, była prócz Włoch na najwyższym szczeblu w Europie.

Miasteczka i wsie wyż wspomnione, wydawały nam się może korzystniej, bo wszędzie napotykaliśmy, śpiewy, muzyki, uploty kwiatów, wieńce i tańce, wszystko dla nas nowe, zadziwiające, ujmujące, a były to uroczystości, z powodu oczekiwanych i ciągle przejeżdżających różnych znakomitych osób, z Madrytu do Bajonny, obojga starych królestwa, Ministra księcia pokoju, *vulgo* faworyta Godoj, różnych Infantów, aż nakoniec i samego Ferdynanda VII.

Przybywszy do Vittoryi, miasta znakomitego, wcale pięknego, i stolicy prowincyi Alavy, zastałem tam kapitana Radzimińskiego z plutonem szóstéj kompanii Antoniego Jankowskiego, porucznika II klasy, przeznaczonego na eskortę wysokich osób z dworu hiszpańskiego. Cały oddział Radzimińskiego był na ten cel, wzdłuż gościńca rozłożony plutonami. Porucznik I klasy Szeptycki z plutonem drugiéj kompanii dawniéj moim w *Pan-Corbo*, Józef Jankowski porucznik I klasy z plutonem szóstéj kompanii w *Miranda*; Brocki Porucz. II klasy z plutonem II kompanii w *Briviesca.*

Gdy przybyłem do Miranda, miasta znacznego i ładnego, nad Ebrem, zastałem tam porucznika Józefa Jankowskiego zatrudnionego z władzami krajowemi, śledztwem i sądem, morderstwa popełnionego na dwóch naszych Szwoleżerach, z szóstéj kompanii z poprzedzającego oddziału pułku. Ci szeregowi nazywali się: jeden Rzędzian, drugi Ciesielski. Miawszy kwaterę razem, w młynie dość oddalonym od miasta nad Ebrem, nie stawili się do popisu, gdy pułk, czyli oddział Gwardyi konnéj wspólny opuszczał zrana Mirandę. — Obywatelskich synów, Polaków, nie można było posądzać o dezercyą, zostawiono zatem surowe rozkazy śledzenia tego wypadku, a gdy nadciągnął starszy Jankowski, na dłuższy pobyt do Mirandy, jemu ta sprawa poruczoną została. Długo niebyło najmniejszego śladu, aż żołnierze z plutonu Jankowskiego chodząc po nad Ebrem spostrzegli, że coś nakształt dwóch wężów czarnych uwija się bezprzestannie po wierzchu wody; gdy się temu zjawisku przypatrzyli bliżéj, poznali że to są harapy od cugli munsztukowych w lekkiéj jazdzie francuzkiéj, a zatem i w naszym pułku używane. Jakoż pokazało się: że zabójcy Rzędziana i Ciesielskiego, obwinąwszy ciała w ich płaszcze, związali cały zwój rzemieniami munsztuków, obciążyli kamieniami, i tak wrzucili do Ebru, w miejsce głębokie. Trzeba było nadzwyczajnego wypadku, że woda wypłukując, obruszyła te harapy, mające mniéj więcéj sążeń długości, i tak się zbrodnia wykryła. Główną sprawczynią była młynarka, niewiasta olbrzymiéj postaci i siły, umysłu zuchwałego; ona z pomocą czeladzi młynarskiej napadła uśpionych, młodych żołnierzy, nie posądzających gospodarzy swoich o taką zdradę. Bronili się Polacy pałaszami, jakoż pokazało się że kilku zbójców pokaleczyli, ale musieli uledz przemocy. Był to pierwszy przykład podobnego morderstwa w naszym pułku. Wieść ta rozeszła się prędko do

granicy, ja sam już wcześnie przez Francuzów ostrzeżony, nie bez przezorności zwłaszcza w nocy postępowałem i swoim podwładnym postępować kazałem. Nie zatrzymując się w Mirandzie więcéj jak nocleg wymagał, niewiem czy sprawców tego morderstwa było więcéj osób nad te które oglądałem. Ale okazało się że nie chciwość rabunku, lecz nienawiść obcości, można mówić fanatyzm patryotyczny, był młynarce pobudką. Mówię fanatyzm, bo jeszcze żadnéj nie było, ani czynnéj, tém mniéj wypowiedzianéj wojny; przeciwnie, wchodziliśmy jako przyjaciele, lecz wprawdzie jak mówi historyk hiszpański o Kartagińczykach: *Entraren blandiendo, per salir mandando*... „Weszli schlebiając, żeby wyjść rozkazując....“ Bezwątpienia, ci zapaleńcy karani byli śmiercią, lecz ja niewidziawszy już potem Józefa Jankowskiego, aż póżno w kilka miesięcy, i zajęci oba czynnościami wojny, nie przyszło mi pytać go o dalsze szczegóły tego wypadku.

Do Brivieski szedłem od Wittoryi pomiędzy kollegami, ale w Briviesce rozstałem się już z ostatnim oddziałem naszéj gwardyi; aż dopiero w Burgos dowiedział się o mnie kapitan adjutant major Polereczki i zawezwał mnie do siebie. Zastałem go chorego leżącego, narzekał na jazdę *à franc étrier*, na jaką go naraziła młodzieńcza i polska żarliwość pułkownika Krasińskiego, i dodał mi pamiętne słowa: „jak będziesz miał 25 lat służby jak ja, ciągłych wojen i kilkorakich ran, nie będziesz tak gorącym jak ciebie widzę i wszystkich naszych kochanych oficerów pułku... na nieszczęście przeczuwam, że z wami kampanii odbywać nie będę, ta ostatnia jazda z Paryża do Hiszpanii ciągłym galopem, zabiła mnie, moje piersi tego nie zniosły i przewiduję mój bliski koniec“.... Jakoż ten zacny oficer, wielki przyjaciel Polaków ledwie dał się dowieść do Chantilly podczas kampanii r. 1808, i tamże umarł żałowany od

całego pułku. Ten więc Polereczki który mnie i innym kolegom wymawiał zbytek zapału do służby, sam dał przeciwny dowód, który mi się nie mało naprzykrzył, kazawszy sobie albowiem przywołać woźnicę Francuza od naszego furgonu, ten mu tyle nażalił się ze swoimi czterma końmi furgonowymi pułkowymi, ze Polereczki wymógł na mnie, a wreszcie kazał, żebym wziął sześć mułów podwodowych za rekwizycyą urzędową i tak z tym dla pułku potrzebnym transportem, nie za gościńcem na Valladolid i Seger, ale krótszą drogą puścił się na Lermę i Somo-Sierrę. Trudno było sprzeciwić się starszemu, zwłaszcza tak gorliwemu nauczycielowi pułkowemu jakim był Polereczki, przebywszy zatem na pogadance z nim nauczającéj, dwadzieścia cztery godzin odpoczyuku w Burgos, puściłem się z moim jeszcze nieco pomnożonym oddziałem, w tę drogę, którą w kilka miesięcy późniéj Bohater wojny, miał uwiecznić w pamiętnikach wojskowych, a nasz Pułk uczynić rozgłośnym w całej Europie.

Pierwszy zaprzęg sześciu mułów dostałem w Burgos należyty; na wszystkich innych stacyach doznawałem co raz więcéj trudności w zaopatrzeniu furgonu mułami, i coraz więcéj niechęci w mieszkańcach. To tylko pamiętam, że w dzień Soboty Wielkotygodniowéj, przybyłem z moimi kilkunastu jeźdźcami do Somosierry naprzód, a furgonu z eskortą ludzi bezkonnych, pod dowództwem podoficera Bośniackiego, doczekać się nie mogłem... który nakoniec nadciągnął, i powiedział mi, że doznał różnych zniewag na drodze, że go chłopcy po za wsie ścigali z przeklęctwami i ciskając na naszych kamieniami. Jakoż w istocie od wnijścia do Hiszpanii widziałem, że naród przyjmował wszystkie oddziały Francuzów z nienawiścią i z niebezpieczeństwem dla ludzi pojedynczo się pozostających; — poznać było można wyraźnie, z jaką radością się naśmiewano, z niezgra-

bnych, niedołężnych, słabych młokosów wlekących się z narzekaniem za poprzedzającymi tak zwanymi oddziałami *de marche*. Jeżeli zaś szły jakie kommendy starych żołnierzy, z wyrazem siły i dumy, malowała się na twarzach hiszpańskich nienawiść. Taki to był korpus jenerała Dupont, srogo ukarany pod Baylen, za nieoględność, czyli uprzedzenie Napoleona. Przyzwyczajony do zwycięztw łatwych w środkowéj Europie, sądził on, — jak się to wielom zdarza — że samym odgłosem jego imienia i sławą wójsk jego, nieprzyjaciel da się zastraszyć.... więc wpadł na tę myśl, tworzenia pułków, batalionów i szwadronów marszowych, gdzie zbieranina z różnych oddziałów, najczęściéj młodych rekrutów pod dowództwem nadto starych oficerów, składała wojsko, nie mogące nawet pełnić zwyczajnéj dziennéj służby. Widziałem to pod Madrytem, że młodzi rekruci nie byli w stanie dotrzymać karabina na ramieniu, a zbyt letni oficerowie nie mogli ustać w szeregu. Oprócz oddziałów gwardyi, artylleryi i pułków zagranicznych, jako to: Szwajcarów, Irlandczyków i t. p. całe wojsko francuzkie początkowo do Hiszpanii wysłane, było tego rodzaju zbieraniny, pod nazwiskiem *Regiments de marche*. Temi to figurantami wojsk francuzkich, głośnych zwycięztwami, chciał Napoleon zaimponować narodowi hiszpańskiemu, który mniemał być zniewieściałym. To fatalne uprzedzenie, było przyczyną całego zawiedzenia się jego w niepolitycznym zamachu na Hiszpanią i dalszych ztąd wynikłych niepowodzeń, a zdatny i przywiązany jenerał Dupont padł ofiarą nie swojéj winy.

Przybywszy jak powiedziałem w wilię Wielkiéj Nocy 16 kwietnia 1808 r. do Somo-Sierra, zastałem wszystkie stajnie i domy zajęte przez liczną służbę króla Ferdynanda VII, prowadzącą liczne konie i muły. Z trudnością wielką wywalczyłem miejsce na nocleg dla mego oddziału; co jednak udało mi się, chociaż nie bez trudności, i oczywistych

dowodów, że służba królewska nie więcej nam sprzyjała od ogólnego ludu. Ta zgraja, opuściła w krótce Somo-Sierrę, gdzie ja dla trudności dostania mułów pod furgon, Święta wielkanocne przepędzić musiałem. Gdybym był mógł przewidzieć, że to miejsce będzie widownią czynu mającego wkrótce uświetnić nasz pułk, byłbym starannie uważał położenie tego miejsca, a zwłaszcza wąwozu doń od Arandy prowadzącego; ale będąc zajęty tylko drobnemi kłopotami mojego obowiązku, mało co pamiętam militarnych szczegołów miejsca, chociaż nikomu z naszych Oficerów nie zdarzyło się tak jak mnie, dwa razy przebywać Somo-Sierrę.

Stanąwszy we dwa dni po Wielkiej Nocy w Madrycie, przyjęty byłem przez Pułkownika Krasińskiego, Szefów Łubieńskiego Tomasza, Kozietulskiego i mego kapitana Jerzmanowskiego, z wielką uprzejmością a przez cały oddział Pułku powitany z uradowaniem. Przywoziłem albowiem, różne zapasy odzieży i obuwia, których te oddziały, i w miarę wcześniejszego wyjścia z Warszawy i z Chantilly, niezmiernie potrzebowały.

Po mojem przybyciu do Madrytu, wzburzenie umysłów coraz wzmagało się w stolicy, musieliśmy zaniechać kwater w mieście i stołowania się po kuchniach oddaleńszych od koszar; ostrzegano nas żeby nie wychodzić bez pałasza, zwłaszcza w teatrze być ostrożnemi. Ja sam i prawie wszyscy oficerowie sprowadziliśmy się do koszar. Był to wielki niedokończony klasztor, z obszernym placem z tyłu na ogród jeszcze prawie pusty, przy ulicy Lleganitos.

W tym klasztorze byliśmy razem: Seweryn Fredro, Stanisław Roztworowski, Józef Kamieński i ja, współubiegający się i przesadzający akuratnością służby. — Ponieważ w Madrycie bawiłem od Świąt Wielkanocnych aż do 14 lipca, a zatem blisko trzy miesiące, przeciąg czasu rzadki na jednem miejscu w ciągu siedmiu lat

służby naszego pułku przy Napoleonie, więc zamieszczę te kilka słów, tak dla przypomnienia żyjącym jeszcze kollegom, jak dla wiadomości potomstwa ich i łaskawych czytelników.

Zaraz po przybyciu mojem do Madrytu, zdarzyło się pewnego dnia iż gdy oddział z naszego pułku uszykował się na pewnym placu, przystąpił do nas przed front jakiś człowiek ubrany jak Figaro w operze, i pozdrowił nas wyrazem: „Witam was obywatele polacy“. Zdziwieni, i postacią i apostrofą witającego, dowiedzieliśmy się że się zowie Szulc: że jest kurlandczykiem; że służąc pod Kościuszką po różnych przygodach osiadł w Hiszpanii. Był to więc ziomek i pośrednik, *vulgo* faktor, naszego pułku w Madrycie. Co się z nim stało późniéj nie wiem; tu tylko dodać mam, że słyszałem także o jednym księdzu Polaku bawiącym od dawna w Hiszpanii ale go nigdy nie widziałem; zaś w pułkach Gwardyi Walonów szwajcarskich, było nie mało Polaków, po największéj części z wojsk cesarsko-Austryackich, z niewoli francuzkiej, do służby hiszpańskiéj zawerbowanych. — Jeszcze i ta drobniutka okoliczność niech tu będzie zapisaną, że gdy po ulicach Madrytu, chłopcy roznoszą wodę lodem czyli śniegiem przechowanym oziębioną, i wołają: *Agua fria fresca!* żołnierze nasi nauczyli ich wołać: „Zimna woda dobra“. i tak głos polski rozlegał się po ulicach stolicy Hiszpanii..... jak długo? nie wiem.

Pierwszy raz połączyły się oddziały nasze, z Warszawy cząstkowo wyszłe, w Madrycie, stanowiące kompletne trzy szwadrony bojowe i więcéj. Miłym to było dla nas widokiem, oglądać naszę linię po raz pierwszy w szyku rozwiniętym, gdzie strój polski i dobrane barwy narodowe nie tylko wzrok ale i serca rozweselał, a tak Francuzom jak i Hiszpanom niepospolity przedstawiał widok. — Dowództwo nad całą Jazdą Gwardyi

objął Jenerał Lepic, Major z pułku Grenadyerów konnych Gwardyi, weteran i postawą i uprzejmością a zwłaszcza znawstwem służby, znamienity, wielki nasz przyjaciel; a którego — nawiasem powiedziawszy — *w Kownie* wracającego z wyprawy moskiewskiéj, ja wówczas kapitan tylko pułku naszego, miałem szczęście na pół przemarzłego, z odmrożonemi palcami, ratować. Ten więc Jenerał Lepic, tak dla naszéj wprawy, jak dla pokazania Hiszpanom prawdziwéj jazdy Francuskiéj, częste znami odbywał manewra; to już pułkami osobno, to połączoném swojem dowództwem: Żandarmów wyborczych, Grenadyerów konnych, Dragonów, Strzelców konnych, Mameluków, i Szwoleżerów polskich

Podobnież czyniono z Gwardyą pieszą któréj był w Madrycie poważny i kilko tysięczny oddział ze znakomitą artylleryą.

Te połączone Gwardye, które odbywały służbę przy Xięciu de Berg Joachimie Muracie, jak gdyby przy Cesarzu, lustrował znowu tenże namiestnik cesarski, w stroju fantazyjnym, najwięcéj jednak do dawnego polskiego podobnym. Nigdy ten nasz przyjaciel nie spuszczał z myśli korony naszéj, atoli teraz byłby przyjął i Hiszpańską, którą jak mu się zdawało, nastręczał mu dostojny Szwagier.

W naszym, tak zwanym pierwszym Regimencie Pułku Szwoleżerów, zostającym tu w Madrycie pod bezpośredniem dowództwem pułkownika Wincentego Krasińskiego, kształcił i rozwijał się codziennie, ten duch narodowy, który był twórcą tej Gwardyi Napoleona, a jaki to był zapał młodzieży tak w Warszawie, jak i w całym kraju, niech służą czytelnikom na dowód, nazwiska rodzin, o ile takowe pamiętam; nazwiska okazujące, że cała młodzież cisnęła się do służby wojskowéj, i tak było w naszym Pułku —: *Trzech Krasińskich*: Wincenty Pułkownik Dowodzca; Piotr, Kapitan.

7méj kompanii później Szef Szwadronu; Julian, Porucznik II klasy poległy pod Dreznem w R. 1813. — Podobnież *Łubieńskich trzech*: Tomasz, Szef Szwadronu; Franciszek, kapitan 1széj kompanii, Tadeusz, porucznik II klasy, dziś Biskup Rodopolitański. — *Jordanów trzech*: Hermelaus, porucznik 1szej kl. w komp. 1szej, później kapitan; Wincenty, por. II kl. w komp. 5téj; trzeci Jordan, podoficer którego imienia nie pomnę. — *Radziwiłłów trzech*, X. Dominik, były Dowódzca 8 pułku Ułanów Xstwa. Warszawskiego, potem Major w Gwardyi naszej poległ w Lauterecke po bitwie pod Hanau r. 1813; Konstanty, pełniący służbę w Sztabie Jenerała Krasińskiego; Aleksander, brat pani Krasińskiéj Adjutant Jenerała Konopki Majora Pułku naszego, potem Adjutant Jenerała Krasińskiego. — *Gotartowskich trzech braci*: Floryan, który przesłużywszy wszelkie stopnie, był Kapitanem; Marcelli, który poległ będąc Por. II kl.; trzeci brat, którego imienia nie pomnę, równie odznaczony Oficer, służył potem w Strzelcach konnych Gwardyi Kongresowego Królestwa. — *Trzech braci Hemplów*: Joachim i Stanisław, oba przechodząc wszystkie stopnie znakomici Kapitanowie; najmłodszy, którego imienia nie pomnę odznaczony Oficer, a później słynny Szef Szwadronu czyli Major, w 1m Pułku Ułanów w r. 1831. *Trzech Mierzejewskich*, z których dwaj bracia Maciej i Mikołaj byli z Litwy z pod Nowogrodka, trzeci imiennik nie był ich bratem, ale dzielny żołnierz i podoficer. *Trzech Romanów*: Wiktor, odznaczony w różnych stopniach w końcu Kapitan; i dwóch Romanów, których imion nie wiem, ale walecznemi podoficerami dobrze pamiętam. — *Skarżyńskich dwóch*: Ambroży Por. 1 kl. potem Kapitan i Szef Szwadronu w r. 1831 Jenerał Bdy; Felix, Por. II kl., później Kapitan w Strzelcach konnych Gwardyi Królestwa. — *Marskich dwóch braci bliźniąt*, znacznych urodą i szczególném do siebie podobieństwem

waleczných młodzieńców. — *Skalskich dwóch braci* w pierwszem Szwadronie — *Załuskich dwóch:* Jozef Por. II kl. póżniej Kapitan i Szef Szwadronu; Adam, wprzód Por. w 4tym Pułku piechoty Felixa Potockiego, póżniéj Por. II klasy w Gwardyi poległy na Litwie w r. 1812. — *Roztworowskich dwóch braci:* Starszy Stanisław, z początku Porucznik póżniej Szef Szwadronu w Pułku; młodszy którego imienia nie pomnę wprzód szeregowy, Podoficer i nakoniec porucznik w pułku. — *Tedwenów dwóch:* Wincenty, odznaczony Podoficer póżniéj Kapitan: Tadeusz, Porucznik II klasy, póżniej Szambelan Dworu Saskiego. — *Zielonków trzech:* Benedykt, Kollega i przyjaciel mój Pułkownik zmarły pod Krakowem we wsi Niegoszowice: brat jego i inny stryjeczny, wszyscy mniej więcéj czasowo w naszym pułku służyli. — *Kamieńskich kilku:* że wspomnę tylko: Henryka, Szefa Szwadronu, który poległ Jenerałem Dywizyi pod Ostrołęką; Jozefa Porucznika, który zmarł Jenerałem Brygady w Szwajcaryi. *Mikułowskich dwóch braci:* Wincentego od Podoficera przez wszystkie stopnie przechodzącego, który był w r. 1831 Pułkownikiem Jazdy Litewsko-Ruskiej; Teofila, który wyszedł z awansem do pułku Ułanów Nadwiślańskich. — *Sokołowskich dwóch braci,* obu poległych pod Somo-Sierrą. *Gadonów dwóch braci* z Litwy, oba Porucznikami II klasy....

Na doświadczenie wiekiem starganej pamięci, wypiszę tu jeszcze imiona Oficerów jakich zastałem w Madrycie, i niektórych kollegów tamże, przy mnie awansowanych.

Obecnymi w Madrycie: Wincenty Krasiński, Pułkownik Dowódzca, Tomasz Łubieński Szef pierwszego Szwadronu, Kozietulski Szef 2go Szwadronu, Paweł Jerzmanowski, Kapitan drugiej kompanii, Stanisław Gorajski Kapitan 5téj kompanii, Franciszek Łubieński Kapitan 1széj kompanii; Porucznikowie: Jordan Hermelaus,

Jordan Wincenty, Górski Franciszek, Olszewski, Wybicki, Roztworowski Stanisław, Łuszczewski, Fredro Seweryn, Kamieński Jozef, Prażmowski Xawery, Zawidzki pełniący obowiązek płatnika.

Podoficerowie zaś przy mnie posunięci na Oficerów w pułku byli: Mikułowski Wincenty, Mogielnicki, Żelazkowski, Bogucki.

Tyle jest co zdołałem pamiętać, żyjący jeszcze Kolledzy zechcą poprawić, a potomkowie ich, dla których pamiątki te szczegóły piszę, nie wezmą mi za złe piszącemu z pamięci po przeciągu pół-wieku.

Piękne to i ciekawe miasto Madryt: ale okoliczności nie były stósowne, żeby się zapoznać, z jego skarbami zabytkami i ciekawościami; tu więc kilka słów tylko.

Teatr narodowy hiszpański wiele się różni od francuskiego albo niemieckiego; jużto lubownicy dramaturgii mogą znać tę różnicę ze sztuk Cerwantesa, Lopez de Vega, Calderona, które się dość po Europie rozpowszechniły. Wówczas był tragikiem ulubionym Cienfuegos, u nas podobno mniéj znany, ale co znamionuje osobliwie teatr hiszpański, to są Seguidille i Sajnety, małe sztuczki jedno aktowe, które każdodziennie grywane bywają po trajedyi albo dramacie kiedy niema baletu. *Seguidilla*, jest to rodzaj wodewillu, dający poznać całą oryginalność śpiewek hiszpańskich, czasem z tańcem połączony. *Sajneta*, jest to narodowa komedya, wystawiająca różne domowe rodzinne zdarzenia, narodowe i prowincyonalne. Balet, szczególniéj z tańców się zwykle składający, był dla nas nader ciekawy. Tańce te nieporównanie z akcentem narodowym oddane były wówczas: *Fandango, Bolero, Zapateado, Zoronco.* Teatrów hiszpańskich oprócz włoskiego, było dwa: *del Principe* i *de la Cruz.*

Walki byków w Madrycie podczas naszego pobytu nie było. Najulubieńszem miejscem przechadzki i prze-

jażdżki jest *Prado* (łąka), rodzaj Parku w różne ulice i klomby założonego, który dał imie Praterowi Wiedeńskiemu i jest w ten sam sposób w pojazdach i pieszo uczęszczany. Drugiem miejscem przypominającem Wiedeński Schönbrunn jest *el Buon Retiro*, zamek królewski z obszernym ogrodem i menażeryą, które pod względem botaniki i zoologicznego zbioru, nie mają równego w świecie. *Retiro* był później ufortyfikowany przez Francuzów i miał wiele ucierpieć, ale ja mówię o tych zakładach tak jakeśmy je zastali przybywszy do Madrytu i między innymi licznymi, kosztownymi i dawnością założenia znakomitymi zbiory wszelkiego rodzaju, pierwsze to także nie porównane miejsce zajmują mappy morskie. Są to owoce posiadłości monarchii Hiszpańskiéj w któréj wówczas jeszcze nigdy słońce nie zachodziło.

Gdy rozkazy dzienne co raz więcéj upominały nas, o nieoddalanie się z koszar, a szczególniéj wieczorami; nadszedł dzień 2go maja.

Dnia tego z rana, znajdowałem się w kwaterze pułkownika Krasińskiego, która była blisko pałacu królewskiego. Kiedy zajęci byliśmy rozmową, wszczął się hałas na ulicy, zaczęto bramy i okiennice zamykać gwałtownie, wszelkie były oznaki że się powstanie rozpoczyna. Pułkownik kazał mi natychmiast udać się do koszar, kazać kulbaczyć i siadać na koń. Nie bez trudu i niebezpieczeństwa zdołałem przebyć tłumy ludu zbierającego się przy pałacu królewskim i zdzierające z gniewem proklamacye poprzylepiane Murata i rządu. Przybywszy do klasztoru stanowiącego nasze koszary, ledwie mi uwierzono, że się rozpoczyna rewolucya. Atoli strzały z razu z daleka słyszane, stwierdziły moje polecenie. Jakoż wszystkie oddziały, stojące w tych koszarach grenadyery konne, dragony i my siedliśmy na koń, uszykowaliśmy się w jedną linię na szerokiéj ulicy tworzącéj jakoby dworzec przed naszemi koszarami.

Posłano oddział dla sprowadzenia pułkownika Krasińskiego i wkrótce przybył Xiąże Joachim Murat i stanął przed frontem naszéj jazdy, a piechocie gwardyi kazał oczyszczać domy i dachy, z których do nas powstańce strzelali; zaś strzelcy konni gwardyi z mamelukami chcąc się przedzierać do nas i do Xcia Murata, musieli już użyć natarcia i pałaszów, gdzie się nie lada we znaki dali powstańcom. Pan Thiers historyk nawet przez niektórych ziomków naszych pochwałami okrywany, jak zawsze tak i tu w Madrycie ignoruje bytność Polaków. Było nas jednakże trzy kompletne szwadrony i więcéj, a patrole nasze prowadzone przez oficerów nieco już świadomych języka hiszpańskiego najwięcej się przyczyniły do uspokojenia mieszkańców. Zresztą powstanie to, w sam dzień rozpoczęte, przez kolumny wojsk wszystkiemi bramami z artyleryą wkraczające, w parę godzin zostało stłumione. Książe Murat jednak wywarł tu niewłaściwą jemu srogość, i kto tylko był z bronią w ręku jakąkolwiek ujęty został rozstrzelany. Prado mianowicie był miejscem tych egzekucyj, których surowość miała służyć za postrach dla całéj Hiszpanii, ale zamiast tego skutku, wywarła powszechne rozjątrzenie. Od tego dnia fatalnego, oddział nasz, jak wyżéj powiedziałem, łącznie z gwardyą konną królewską hiszpańską *Gvardia de Corps* codziennie odbywając patrole po całym Madrycie utrzymywał jaką taką spokojność.

Nie tu miejsce opisywać dalsze wypadki po całéj Hiszpanii zaszłe, chcę tu tylko nadmienić że wkrótce po tém powstaniu Madrytu Xżę. Murat widząc że nie jemu dostanie się korona Hiszpanii chory opuścił stolicę a jenerał Savary miejsce jego zastąpił. Ten bacząc że powstanie w całym kraju się rozszerza, troskliwy o całość flot francuskich będących w Kadyxie i w Lizbonie, wpadł na myśl osobliwszą przesłać tym eskadrom tajemne rozkazy, przez oficerów z naszego pułku, za ro-

syjskich przebranych. Rosya była na ten czas w chwilowem porozumieniu z Francyą. Baron Strogonów był posłem rosyjskim w Madrycie. Jenerał Savary wyrobił więc dwa pasporty rosyjskie i kazał zrobić takież mundury a zażądał od pułkownika Krasińskiego dwóch naszych oficerów, coby tę ryzykowną posyłkę odbyć podjęli się. My byliśmy tak młodzi i tak zapaleni do służby, że każdy miał sobie za szczęście taką missyę, ale Xawery Prażmowski i Józef Kamieński oba porucznicy 1széj klasy otrzymali pierwszeństwo jako posiadający najwięcéj język rosyjski bo byli oba z Wołynia. Zostali więc wyprawieni, Kamieński do Lizbony a Prażmowski do Kadyxu. Pani Junot księżna d'Abrantes opisała tę awanturniczą misyą, ale niepoprawnie. Ja słyszałem te przygody z ust samych tych kolegów, szczegóły są rozwlekłe i po takim przeciągu czasu trudne do opisania, koniec ich jest ten: że oba ci oficerowie byli przez hiszpanów przejęci; że po wielu prześladowaniach i próbach!, czy są istotnie oficerami rosyjskiemi, Kamieński nie dostał się do Lizbony, ale cudownym sposobem złączył się z Prażmowskim w Kadyxie; ten zaś, po wielu przygodach, został stawiony przed Jenerała hiszpańskiego Castaños (Kastanjos). Jenerał rzekł do niego te zaszczyt charakterowi hiszpańskiemu czyniące słowa: „Czy WPan jesteś rzetelnie rosyjskim oficerem czy francuzkim, nie jest dla mnie przedmiotem godnym do rozbierania; dam WPanu eskortę, jedź sobie do Kadyxu.“ Ci dwaj oficerowie byli ciągle w takiém położeniu, zwłaszcza spotkawszy się, że musieli oficerów rosyjskich udawać, i jako tacy, dostali się na okręcie angielskim do Tryestu, ztamtąd pocztą udali się do Wiednia do ambasady francuzkiéj i pospieszyli do pułku do Hiszpanii, ale już przybyli po bitwie Somo-sierskiéj.

Zanim były król Neapolitański Józef Napoleon odbył swój smutny wjazd do Madrytu na króla hiszpańskiego,

jenerał Savary wysłał cały nasz oddział Pułku Lekkokonnego Gwardyi Polskiéj w pomoc Marszałkowi Bessières, przywodzącemu w północnéj Hiszpanii. Opuściliśmy 14go lipca w nocy Madryt, pod kommendą pułkownika Krasińskiego, w sile trzech kompletnych szwadronów, został się tylko nieliczny zakład niezdolnych do boju pod dowództwem porucznika Zawidzkiego. — Wyszliśmy w nocy dla chłodu i przybyliśmy rano na szczyt góry Gvadarrama. Jest to wierzchołek pasma gór zasłaniających Madryt od północy. Góry te często bywają i w lecie pokryte śniegiem, niemal każdodziennie po południu, koło godziny trzeciéj do czwartéj, wieje wiatr ostry w Madrycie z tych gór pochodzący, sprawujący konwulsyjne cierpienie zwane kolką Madrycką; dla tego to Hiszpanie noszą pasy, a prócz tych płaszcze, które podczas ciepła i spokojnego powietrza zawieszają na lewém ramieniu. Tę Gvadarramę przebyliśmy w kilka miesięcy późniéj wśród zimy: teraz nieznośne pragnienie dokuczało naszym żołnierzom. Na szczycie ujrzeliśmy monumentalnego lwa, oznaczającego granicę Królestwa: Leon, a na podstawie napis czarną barwą świeżo położony: *Viva de Espana el Leon, peresca el Tirano Napoleon.*

Tego samego dnia 14go lipca którego Madryt opuszczaliśmy, żeby posiłkować Marszałkowi Bessières, tenże wygrał znakomitą bitwę pod Rioseco nad jenerałami hiszpańskimi: Blake i Cuesta, w któréj szwadron Radzimińskiego kapitana 6téj kompanii miał świetny udział. P. Thiers historyk nie sądził być przedmiotem godnym jego dostojności wspomnieć o jednym szwadronie *młodych Polaczków* Gwardyi Napoleona, jednakże gdy mówi na str. 115 Tomu IX: „Piechota hiszpańska sądziła się być zwycięzką, ciskała kaszkietami w powietrze i wołała: *Viva el Rey.* Ale Marszałek Bessières miał w rezerwie 300 koni, tak Grenadierów jak Strzelców kon-

nych Gwardyi Cesarskiéj, którzy poskoczywszy w galopie z okrzykiem: *Vive l' Empereur*! przewrócili w okamgnieniu Gwardyą *du Corps* i karabinierów *del Rey*, obchodząc się z nimi tak, jak pod Austerlitz obeszli się byli z kawaler-gardami imperatora Alexandra". — Kiedy więc P. Thiers, tylko trzy szwadrony po 100 koni przyznaje Marszałkowi Bessiéres, a był między nimi jeden Szwoleżerów polskich, a zatem składał jednę trzecią część téj odwodowéj kolumny, która bitwę zdecydowała, więc tém bardziéj, powinien był o naszym oddziale wspomnąć, zwłaszcza że to natarcie aż z owém Austerlickiém porównywa. Ale P. Thiers nie lubi nazwisk polskich, są zbyt trudne dla jego języka, tém trudniejsze dla jego pamięci. Nie byłem w bitwie pod Rioseco, bo jak powiedziałem wyżéj, porucznik I. klasy Szeptycki zajął moje miejsce w Bajonnie, i poszedł z moim plutonem 2giéj kompanii, a ja pomaszerowałem prosto do Madrytu, ale ponieważ bitwa pod Rioseco, jest mniéj znaną od bitwy pod Somo-Sierrą i oprócz bezimiennego francuzkiego dziełka przeciwko Thiersowi, Segurowi i Lamartinowi w Paryżu w r. 1855 wyszłego, jeszcze— o ile mi wiadomo — przez nikogo tkniętą nie była; przeto, miło nam jest ten artykuł zakończyć wzmianką o téj pierwszéj sprawie naszego pułku w bitwie stanowczéj — *bataille rangée* — przeciwko najlepszemu regularnemu wojsku Hiszpańskiemu. W téj więc bitwie dowodził naszym szwadronem kapitan Wincenty Radzimiński; pod nim Wincenty Szeptycki prowadził 1szy pluton; Alexander Brocki 2gi pluton, oba 2ej kompanii; bracia Jankowscy, Józef i Antoni, prowadzili dwa plutony z 6téj kompanii. Nieumiem podać zabitych i rannych w téj bitwie. Z oficerów o ile wiem, żaden nie był ranny. Oto jest wyjątek z pisma własnoręcznego, kapitana Joachima Hempla, jednego z naszych najwaleczniejszych Oficerów:

„W Hiszpanii 1808 r. pod Rio-seco rozbiliśmy pułk Dragonów *de la Reyna*, a ja wtenczas jako niedoświadczony żołnierz i młody człowiek, pełen zapału, wpadłem z kilku żołnierzami na działa nieprzyjacielskie — konia mi ubito, zrąbano, i dostałem się do niewoli. Dopiero w dni dwadzieścia kilka, odbity przez wracający korpus z pod Leonu, dostałem się do swoich, dla tego pod Somo-sierrą nie znajdowałem się, a że tam byłeś, więc wiesz, co i jak się tam działo.“ — Kapitan Hempel, który naówczas niebył jeszcze oficerem, pisze o Dragonach — P. Thiers pisze o Karabinierach, lecz mnie się zdaje, że to jedno. Hempel skromnie pisze o sobie, ale mnie wiadomo, że był tak porąbany w głowę, iż wątpiono o jego wyleczeniu. Żyje jeszcze ten zacny kolega, bodajby czytał te nasze wspomnienia i przyczynił się do ich uzupełnienia, o co powtórnie wszystkich współtowarzyszów broni wzywam.

Pisałem w Jasienicy w Październiku 1857 r.

Józef Załuski.

ROCZNIKI

do dziejów PODTATRZA i SPIŻA

z lat 1680 — 1748

spisane

przez XX. Jana i Stanisława Owsińskich,

Proboszczów Jazowska

wydał

Józef Jerzmanowski.

(*Dokończenie*).

Od teraźniejszéj tedy bytności i rozkazu Wielm. Jego Mci Chorążego Bracławskiego i S. W. każda chałupa zarówno daje pogłówne, na każdą ratę po tynfów dwa. W tém wybieraniu najuciążliwszy był Józef Chudoba i Błażéj Kaszycki, inszych nie wypominam, którzy to i z parobków brali pogłówne, z komorników i komornic. —

1724. Rok ten był ze wszystkiém dobry.

1725. Prawda jest, że Pan Bóg Wszechmogący na każde swoje stworzenie jest zawsze dobrotliwy i łaskawy. Jednakże w tym roku 1725 osobliwą łaską w całém świata Chrześciaństwie, nas wiernych sług swoich opatrzyć i udarować raczył, kiedy przez Namiestnika swojego Benedykta Papieża XIII *per Breve apostolicum*, wiecznemi nas udarował odpustami, którego *Brevis Apostolici* dla niezwiędłéj pamięci komukolwiek przy tym kościele po mojéj śmierci będącemu w niniejszą metrykę ingrossuję i wpisuję kopią, która kopia, dla informacyi dobréj tak się ma:

Benedykt Papież XIII. Na wieczną pamiątkę włożonéj na nas od Pana Boga Apostolskiéj usługi funkcya wyciąga, abyśmy niebieskich darów skarbami do ręku naszych powierzonemi, wiernie szafowali, tam gdzie ku pomnożeniu czci najświętszéj i Najjaśniejszéj nieba królowéj Bogarodzice Maryi Panny, Pośredniczki naszéj i ku wzbudzeniu przeciwko niéj wszystkich wiernych nabożeństwa, a ku zbawieniu dusz, baczemy tego potrzebę i pożytek. Przeto w miłosierdziu Wszechmogącego Boga i błogosławionych Piotra i Pawła Apostołów, jego powadze ufając, wszystkim w powszechności i w szczególności wiernym Chrystusowym, którzy z prawdziwą skruchą spowiedź ś. odprawiwszy i najświętszą komunią przyjąwszy, rano, w południe i na wieczór za uderzeniem we dzwon kościelny: „*Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi* itd.“ przydając trzy „*Zdrowaś Marya*“, klęcząc na kolanach, nabożnie zmówią, i za zgodę Panów Chrześcijańskich, wykorzenienie herezyi, i podwyższenie kościoła ś. katolickiego, gorąco do Pana Boga modlić się będą, miłościwie w tymże Panu Bogu pozwalamy: aby w jeden dzień każdego miesiąca, który sobie każdy według swego upodobania obierze, zupełnego grzechów dostąpili odpustu. W inne zaś dni roku ile razy toż samo który z wiernych skruszoném sercem

uczyni, sto dni odpustu z zasłużonego przez grzechy nasze karania według obrządków kościoła Bożego, każdemu naznaczamy: co trwać ma na wieczne, potomne czasy etc. etc.

Item daléj. Tu się tylko *series rei* wypisuje. I tak nie tylko rano, wieczór, według dawnego zwyczaju, ale też i w południe teraz od tego świętego nadanego Indultu, wszędzie po kościołach na pacierze, to jest na Pozdrowienie Anielskie dzwonią.

A ponieważ ja Jan Owsiński pleban Jazowski, za łaską i pozwoleniem *Consistorii nostri generalis* mojemu *nepoti germano* Stanisławowi Owsińskiemu, na urząd kapłański wyświęconemu oddaję Wikaryat Jazowski, a więc w Imię Boże, niech on rozpocznie już nowy rok w téj księdze Chrztu śgo. Panie Boże Wszechmogący, błogosław mu w czynnościach jego, i kieruj jego pióro, by sprawy i dzieje, za łaską Twoją dla potomnych spisywał.

1726. Po wielkiéj Nocy *Jubilaeus Magnus celebratus est. Ominabantur* sobie ludzie że ma *succedere* jaka klęska na ludzi, ale z łaski P. Boga nic nie było, tylko że w ten rok było sucho wielkie, tak dalece że zboża powypalało, i mało ich mieli.

Die 25a Julii powicher z gradem wielki był, że nie tylko tu, ale i o kilka mil miejscami zbiło zboże bardzo.

1727. Zaczął się szczęśliwie, ale zima skończyła się

nie z jednego płaczem, bo bydląt dla długiéj zimy nie mieli czém zimować około ś. Wojciecha; do lasa nie mogli dognać na pąpie przed śniegiem, i tak częścią od głodu kapały, częścią ich téż dobijali.

Eodem anno jako na bydlęta był głód, tak *successit* i na ludzi na przednowku; w który czas wiele ludzi gospodarzów po prośbie z dalekich stron chodziło. Żyta wiertel natenczas był po Złotych 10. Jęczmień po tynfów 8. Żniwo *eodem anno* pokazało się kopno, do zbierania mokro, do młócenia nie plenio.

1728. *Annus Domini feliciter inhoatus.* Zasiano szczęśliwie, potem sucho przytrzymało, osobliwie jarzyny, i tak nie kopno było.

Anno eodem Najwyższy Kościoła Bożego Pasterz Benedykt XIII Papież szczęśliwie panujący, na zarobek i zasługę zbawienia wszystkim odpusty niektóre podał, i potwierdził które przez Syxta V Papieża nadane były, całemu Kościołowi świętemu na pospolity pozwolił pożytek w ten sposób opisane:

Na witających się wzajemnie mówiąc: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“ i odpowiadających: „*Amen*“ I na wzywających Najświętsze Imie Jezus i Marya, albo Litanią do N. Maryi Panny odmawiających. Niegdy śp. Syxtus Vty przez Bullę, która się zaczyna: „*Redditur*“ wydaną dnia 11go Lipca 1587 roku: wszystkim wiernym Chrystusowym, którzyby się wzajemnie witając mówili: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“ „*Amen*“ albo: „*Na wieki*“, czyli to włoskim, czyli łacińskim, albo którymkolwiek innym językiem, wyrażając, ile razy by to uczynili, — odpustu sto dni. A tym, krórzyby Najświętszego Imienia Jezus i Marya wzywali, nadto, zupełny odpust dał. Też odpusty nadał kaznodziejom, którzyby każąc słuchaczów napominali, aby sposobem zwyż przełożonym, Najświętsze Imię Jezus

chwaląc, wzajemnie się witali, i tegoż Imienia Jezus i Marya nabożnie wzywali, i wszystkim innym, którzyby ten sposób witania w zwyczaj wnieść starali się. Odmawiającym także Litanią do Błogosław. Panny Maryi, dwieście dni odpustu nadał.

Gdy zaś Najświętszemu Pasterzowi naszemu Benedyktowi Papieżowi XIII pokorną suplikę podano, aby wszystkie wraz i w szczególności odpusty zwyż mianowane, potwierdzić raczył, Jego Świętobliwość wysłuchawszy zdania ś. kongregacyi odpustom i śś. Relikwiom przełożonéj, do takowéj prośby łaskawie nakłaniając się, też odpusty Apostolską powagą potwierdził die 12 stycznia r. 1728.

Hoc eodem anno z dopuszczenia Bożego chodziła fama po całym świecie, że coś pisało po oknach, tak w Wielemożnych Ich Mciów domach, jako téż i u pospólstwa; jakoż to coś do prawdy podobne było, bo były *impressive signa* na szybach. *Ominabantur homines*, że się coś złego dziać będzie, ale z łaski Boga *hoc anno* nie było, i bodaj Bóg zachował.

Itidem hoc anno z woli Boskiéj, któremu niech będzie cześć i chwała myszy było wiele w polach, że i z słomą sianie zjadały; mało co pochowali, a do młócenia co mieli w stodołach, to trociny wyrzucali na bo- isko, co tak myszy zjadły.

Hoc etiam non postreme notandum że jako w zwyż położonych rokach, tak i w tych, i w tym, pogłówne nie ustało, aleśmy go musieli dawać dwa razy do roku.

1729. Rok ten szczęśliwie zaczęty za pomocą Pana Boga, urodzaje były w krescencyach pomierne tak i ozime jak i jarzynne; — niekopno prawda, ale w pleniu niczego.

Hoc eodem anno nie dłu o z łaski Pana Boga było; jako to: żyto po półtrzecia tynfa, pszenica po trzy, —

tak i insze. *Hoc anno* na Spiżu prawie po wszystkich miastach i wsiach, bydło odchodziło bardzo.

1730. *Hoc anno adjuvante Dei gratia* zasiało się pięknie w polu i kopno było potem, ale bardzo nieplenio. *Hoc etiam notandum*, że osobliwie w górach myszy bardzo pojadły, mało co miał kto chować do stodoły. Nieplenności zaś racya, bo w lecie częste lici ([13]), grady przebijały zboże, t. kże i wody były ustawiczne. Zkąd w górę podniosły się zboża. Pszenica była po półszosta tynfa, — żyto obkładali po cztery — etc. etc.

Pod jesień tegoż roku bardzo mokro było, że z ciężkością na zimę było zasiać przed deszczami, tudzież przed wczesnemi śniegami.

1731. Szczęśliwie się zaczął, spokojny ze wszystkiem, ale niepożyteczny, bo śnieg oziminy wyżarł tak dalece, że miejscami mało zostało, miejscami nic; musieli niektórzy ludzie wyorywać oziminy. Zkąd zaraz na wiosnę zboże wpadło w pieniądze. Żyto koło Zielonych Świątek obkładano po 6 tynfów, jęczmień obkładano po 4 tynfy. *Notandum*: téjże wiosny długo trwały śniegi, mrozy, ledwie kto co przed Świątkami zasiał, tudzież niepogody ustawiczne były, które przeszkadzały robocie gospodarskiéj, czego zaś Panie Boże broń na daléj.

Nie kopno było ale plenio. — Jesień była dobra do siania.

1732. Zaczął się szczęśliwie, — daj Boże żeby się tak skończył, zboża piękne tak ozime jak i jarzynne, ale ich stronami grady przetrzepały.

Tego roku rozsady się nie porodziły zbytecznie, tak i karpiele do sadzenia. Wiele ludzi takich którzy i krzaczka kapusty nie sadzili, tak i karpieli a lubo kto co wsadził, to muszki na zagonach zjadły, — insi sami sobie kradli. Pokój z łaski Pana Boga.

---

[13]) Ulewy.

Zboża ze stodół nie plenie, tak ozime jak i jarzynne. Myszy dosyć w stodołach.

1733. Rok ten z łaski Boga szczęśliwie się zaczął. Urodzaje pomierne, plenność takoważ.

Tegoż roku po śmierci Najjaśniejszego króla Augusta II. (dnia 1go Lutego), po odprawionych sejmach i sejmikach, stanęła elekcya w Warszawie, gdzie obrany za króla Rzeczypospolitéj J. O. I. Mć; z wszelkiemi tytułami należącemi Stanisław Leszczyński, przedtem nominat na tož królestwo. Niektórzy zaś Ich Mć Dyssydenci niechcąc przyznać tego JMci za króla, wynieśli się na Pragę, gdzie bezprawnie obrali drugiego króla Sukcessora, *alias* syna ś p. Augusta imieniem Fryderyka. Zkąd zaraz tamtemi stronami wielki tumult stał się, bo jedna strona drugiéj stronie dobra zajeżdżali i pustoszyli. Tych mocyj nieszczęśliwych był najpierwszą okazyą J. O. Książę i Starosta Spiski Wojewoda Krakowski imieniem Teodor Lubomirski adherent Fryderykowski, — J. O. Książę Sanguszko tutejszy dziedzic, — J. W. J.Mć Pan Wojewoda Sendomirski, *cognòmine* Jerzy Lubomirski, i insi Ich Mciowie, ale nie wielu. IMć Pan Wojewoda Krakowski zaciągnął Moskwę od Carowéj Jéj Mci Kałmuków i Kozaków, i ściągnął zwyż pomienionego króla Fryderyka *illegitime* obranego do Krakowa.

1734. *Die 10 Januarii* J. O. Król JMĆ. Fryderyk za perswazyą J. O. Książęcia Spiskiego a Wojewody krakowskiego stanął w Krakowie z Jéj Mością swoją na koronacyą. Na assystencyą, kilka tysięcy stanęło Sasów, Moskwy, Kozaków i Kałmuków z łaski i prowidencyi IMci Pana Wojewody. Koronacya sama odprawowała się *die 17a Januarii*, przy assystencyi cudzoziemców, ale nie koronnych Synów, bo ich i trzydziestu nie było.

Notandum. W zwyż pomieniony Imci Pan Wojewoda, zaciągnąwszy tyle cudzoziemskiego wojska pod Kra-

ków, żadnych należących żołnierskich liników [14]) nie dawał im, tylko dał im wolność rabować miasta, wsi, wioski, gdzie się komu podoba. Dało się we znaki naprzód Wieliczce i inszym okolicznym Krakowa wsiom, także osobliwie dobrom J. W. IMci Pana Wojewody Bracławskiego (Michała Jordana), bo ten trzymał stronę króla Stanisława Leszczyńskiego, i na koronacyą Fryderykowską stanąć nie chciał. Ztamtąd niektórzy Moskwa, tysięcy ośm, pośli naprzeciw króla Stanisława ku Gdańskowi, ciągnącemu słusznie do Korony Polskiéj. Insi pośli w góry, jako to ku *Mszany* i tam rabowali; ztamtąd przerznęli się przez góry, i tu Jazowsku dało się we znaki. — *Die 16a Februarii* od *Mszany* pośli Moskwa, Kozacy, Kałmucy etc. przez *Nowy-Targ*, gdzie nikomu nie przepuszczali; co zdybali na drodze czy bydło, czyli konie, to brąli; z domów wszelką żywność zabierali; zgoła gdzie przejeżdżali, wszędzie rabowali. Ztamtąd przyjechali do Starostwa *Czorsztyńskiego*, miawszy ansę na IMci Pana Starostę, że trzymał *partem* JWgo. IMć. Pana Stanisława Leszczyńskiego; Starostwo *Czorsztyńskie* w niwecz obrócili. Stanąwszy w Zamku, pod Zamkiem tu i owdzie, nie tylko co sobie rozkazywali dawać, to jedli, pili, psowali, ale i sami sobie brali, komory odbijali, po lasach bydła wyprowadzone zabierali. Nie kontentując się tem, na Starostwo nałożyli tynfów 50,000. Pod Zamkiem *Czorsztyńskim* stodoły wykarmiwszy ze zboża wszelkiego, popalili, i inszym pobliskim domom, stodołom, toż się dostało. I nie tylko około *Czorsztyna*, ale i w *Tylmanowéj*, w *Ochotnicy* takąż biedę broili, w *Szczawnicach* etc. Ztamtąd poszli na Spiż, tam rezydencyą założyli sobie w Zamku *Lubowińskim*, w mieście *Lubowni*, osobliwie pomieszkali kilka czas w jedném miejscu, potem się rozjeżdżali za

---

[14]) Od *Löhnung* płaca.

ordynansem J. O. IMci Pana Wojewody po miastach Spiskich na konsystencyą. Tam wprawdzie za pieniądze żyli, ale to nie mogło być bez szkody ludzkiej, bo ogrody, łąki etc. końmi spaszali, ale i poniekąd, gdy się mogło wydarzyć bydło chwytali i zabierali i jedli. Tego wojska Moskiewskiego, Kozackiego etc. było 2000. Wodzem tego wojska był Imć Pan Kominek i Darowski szlachcic rodowity Polski, tylko z młodu w Moskwie wychowany. Byli tam i niektórzy Ichmość Podgórscy partyzanci ich, jako to: IMci Pan Swięcicki Stanisław, IMci Pan Kordbanowski, i insi IchMć.

Rok ten był pomiarkowany we wszystkiem, jak w krescencyach, tak i w fruktach; niekopno prawda było, ale przecie plenio.

1735. Jak się zaczęły rozterki w Polszcze naszéj w roku przeszłym, tak nieustały, i sam to Pan Bóg wie dokąd będą trwały. W Polszcze prawie całéj zamięszania dosyć było, potykania się polskich żołnierzów z Moskwą, ale i razu batalii nie wypowiedzieli sobie; jak jedna tak druga strona urywali się jako mogli. Z strony Polskiej słychać było że Moskwę biją, jednak podobno więcéj Moskwa wojowała, więcej rządziła. Prowianty wozić, składać kazali, Dymowe postanowili po tymfów 4 z dymu, pierwszą razą; drugą razą po tynfów 3. — Co sami chcieli to sobie wymyślali. Najwięcéj tu się kręcili koło Krakowa, jedli, pili, bo się tu nie mieli kogo obawiać. Słychać przecie było, że ich tam daléj Polscy urywali, osobliwie J. W. IMci Pan Tarło starosta Jasielski, człek młody, Boga się bojący, w rozumie i w dyspozycyi wojennéj *maturus*. Ci zaś na Spiżu zostający Moskwa, panami sobie byli. Prawda były też tu świeżo zaciągnione wojska, rzekomo na podsłuchy jeździli, forwachty stawiali, a oni bardziéj dla siebie, żeby się i konie karmili. Bywali na podsłuchach nieraz w *Łącku*, ale słuchali bardziej kwater-

ki i garca, skrzypcy w karczmie, niżeli swojéj funkcyi; każdego czasu mógłby ich był nieprzyjaciel zabrać. Jeździli tu i owdzie; kogo napadli, a poznali że co ma: „To Fryderyk“ złupić go ze wszystkiego.

W tenczas trafiło się w *Nowym-Targu*: Ksiądz Pleban tameczny Gaździcki, jadąc od chorego potkał się z nimi; coś mieli przeciw niemu; po długiej dyskwizycyi, strzelił jeden do niego, w uciekaniu postrzelił go w nogę, gdzie kulą nie okaleczył, tylko klucz będący w kieszeni wbił w nogę, na co długo kaleczał; lecz dowiedziawszy się o tem IMci, upominał się prawnie tego.

Tegóż roku zaciężna nowo chorągiew, wieś *Barcice*, J. W. Imci Pana Wojewody krakowskiego najeżdżali, rabowali nie chłopów, ale Dwór i browar; we dworze wiele zboża pozabierali. Żydowi co miał zabrali, osobliwie pieniądze; trunek wypijali, na ostatek musiał trunku nie robić. Za co rozgniewawszy się IMci Pan Wojewoda, kazał na forwachtach chwytać żołnierzy Polskich.

W dzień ŚŚ. Piotra i Pawła w nocy na *Myślcu*, forwacht zabrali Kozacy, sześć pocztowych, których gnali do *Lubownie* przy koniach zacinając.

W oktawę Śtéj Kunegundy przyjechało do *Starego Sądcza* Moskwy Kozaków 300u na assystencyą Jéj Mci Pani Wojewodziny na odpust, w jednę przyjechali, przez drugą nocowali. Kosztował ich przyjazd kilkaset tynfów miasto.

Że Ich Mść Polacy nie przestali najazdu do *Barcic*, 4a Augusti w nocy przyjechali Moskwa Kozacy do *Nowego Sądcza*, szukając Szlachty, żołnierzy, aby ich zabierać; że tam nic nie wskórali, biegli do *Zawadki* do IMci Pana Wojskiego Stadnickiego, napadli kilka koni żołnierzów Polskich w polu, dwóch zabili, inszych rozpłoszyli. Świtaniem wpadli do IMci Pana Wojskiego,

wszystkich po ochocie na łóżkach napadli, jednych zbili, drugich zabrali do Zamku *Lubowińskiego*. Samego IMci Pana Wojskiego staruszka dużo zbili, zięcia Jego Mci Pana Dębińskiego, w koszuli prowadzili aż do *Barcic*: w Barcicach dali przywdziać żupan; i tak go prowadzili aż do *Lubowni*.

Tegóż roku posyłali z *Lubownie* Moskwa do Starostwa Czorsztyńskiego, aby pieniądze rozkazane wydali, lecz nie wydali, tylko 5,000. Za co rozgniewany ich starszy Imci Pan Darowski, ruszył się z całém wojskiem do Starostwa Czorsztyńskiego, przejeżdżając dnia 1a Novembris przez Krościenko podczas odpustu ludzi rozproszyli, Imci Pana Nosa Gubernatora Zamkowego z kościła (lubo się kazał zamknąć) wzięli powiązawszy do Zamku. Tam w areszcie siedząc palety musiał wydawać do wsiów na pieniądze, co którą wieś osądzili na siana, na obroki, na żywność domową. Do konwentu *Staro-Sądeckiego* dali ordynans po 300 wierteli owsa, i siana fur 50, co musieli z różnych wsiów wozić pod *Czorsztyn*. Nie kontentując się tém Moskwa, wyjeżdżali oni i tu i owdzie, najbardziej do *Kamienice*; przez kilka czas tam stojąc, w niwecz obrócili wieś. Wieś *Łącko* dwa razy nawiedzali; raz tylko dwa dni stali, drugi raz 3 tygodnie; wyjeżdżali tu i owdzie po wsiach, krowy, woły, konie zabierali, nikomu nie przepuszczając, ani Szlachcie, ani księdzom, byle co napadli. Tamecznemu IMci księdzu Plebanowi wzięli parę koni, ledwie ich wyprosił. Stojący u niego na rezydencyi, wykarmili ze stodół snopkiem zboże, sami zjedli co dom miał. Toż czynili we dworze i po całéj wsi. Jednego dnia w adwent wyjechali do *Olszany*, gdzie we dworze wzięli cztery konie, gęsi, kur, co mogli połapać. — W *Świdniku* nic nie wzięli, bo umiał z nimi IMci Pan Wielogłowski stary postępować, karmiąc i pojąc ich. Inszego dnia pojechali do *Łukowice* do dworu, gwałtem

napadłszy wiele szkody narobili, jedli, pili, sami sobie piwnice do wina odbijali, a przecie niczemu nie przepuścili. Zboże ze szpichlerza, z gumien, siana dwa brogi zabrali, gęsi 32, kur co się im podobało. Potém rozbiegli się po wsi, gdzie co jakiego bydła napadli, brali. Gospodarzów z wozami, z bydłem brali, aby te rzeczy wozili do *Łącka.* Do skrzyń dobywali się, u ludzi pieniądze i insze rzeczy zabierali. U jednego chłopa Wawrzeńca Gądka, poczuli pod nalepą pieniądze i zabrali je. IMci Pani Sęndzimirowa Dziedziczka Miecznikowa Zakroczymska blisko tysięca tynfów rachuje sobie szkody. Dla tego podobno tak najechali Łukowice i zrabowali, że syn Jéj Mci Pani Sęndzimirowéj służył to jest assystował przeciwnéj stronie, to jest: J. W. IMci Pana Stanisława Leszczyńskiego, Pan Andrzéj Sęndzimir Burgrabia krakowski. Wtenczas gdy podwody zbierali, wzięli i Jego Mci księdzu Jakóbowi Szorowskiemu Plebanowi natenczas będącemu, wołów 4 i parę koni, do cudzego wozu do fury zaprzęgli powieźli do *Łącka.* Chcąc wydobyć owe bydlęta ksiądz Pleban dwa dni strawił starając się o nie.

Z tamtąd pojechali na *Limanową* i tam szkody porobili. W *Pisarzowéj* ks. Wąsowskiemu Plebanowi wzięli parę koni dobrych. W *Męcinie* ks. Orzechowskiemu Plebanowi wzięli trzy konie, jeden dobry, dwa luźne. Jeszcze jak rzekł ks. Pleban: „Bójcie się Boga!“, o trochę go jeden dzidą nie przebił, tylko że uciekł i zamknął się. Ztamtąd wrócili się znowu do *Łącka* do *Czorsztyna,* i tam świętowali. Tu z łaski Boga, w tutejszém Państwie nikomu nic nie uczynili, bo im umiał podchlebiać IMci Pan Antoni Piotrowski, Skarbnik Bielski, dzierżawca natenczas. Ale jego podchlebstwo kosztowało go na kilkaset tynfów. Posyłał im piwa, wina, miodu, etc. skarbiąc sobie łaskę. Potém pożyczanym spo-

sobem pożyczyli od IMci szorów gdańskich z mosiężnemi blachami, aleć ich nieoddali.

Rok ten był z wiosny dobry, zasiało się dobrze: lato było z początku dobre, a potem lici i grady na wielu miejscach pozbijały, osobliwie w dzień nawiedzenia Najświętszéj Panny. Tutaj lić była wielka, gdzieindziéj grady, osobliwie w Nawojowskiem Państwie zbytecznie zbiły. Żniwa i grabidła także i siano zbierać, były czasy deszczowne; wiele pogniło. — Było prawda kopno, ale strasznie nieplenio. Żyta kopa dawała miarek 6, jęczmienia kopa dała wiertel 1 etc. i to nie zawsze. W tenże rok J. O. król IMci August IIIci wydawał Uniwersały, aby go cała Polska uznawała za króla, — po grodach kazał sądzić. Lecz kto był przy Jego stronie, ten słuchał jego Uniwersału, kto przy inszej stro nie, to nie słuchał.

Hoc eodem anno 3a Julii, zbuntowawszy się źli ludzie, *alias* zbójcy, naszli w téj farze na Obidzy Wojciecha Łysopola, gdzie go strasznie spiekli, że kiszki pomiędzy żebra widać było, a nie wzięli tylko półtoraków 8, masła, sera, etc., lecz na konfessatach więcéj powiedzieli. W drugą czyli trzecią noc przyszli w tejże wsi na Krupę zmierzchem; powiązawszy samego i samę okrótnie męczyli; nie mogąc nic wymordować samę Krupinę w piec rozpalony kładli dwa razy, aby się przyznała, która im o 6ciu półtorakach tylko powiedziała; tak dalece zgrzędeczona i spalona była, że czwartego dnia po spowiedzi Śtéj umarła, a na konfessatach o więcéj się przyznali. Lecz że tego roku zaraz pod jesień zachwycono Pana Hetmana [15]) z trzema inszymi, którzy długo siedząc w Krakowie na Zamku, Józef Baczyński, gdy się go pytano, czemuby z jego

[15]) Zbójców.

przyczyny kobieta spalona umarła, powiedział na inkwizycyi: „ach! bo jej czas przyszedł, bo stara była“

1736. Z łaski Pana Boga szczęśliwieśmy zaczęli ten rok. Zima była słaba, śniegu mało co i niezbyt mroźna. Na wiosnę dobrze było w polu zasiać kto miał co, bo dla nieplonu wielkiego, nie tylko siać, ale i jeść nie mieli co ludzie.

Potem in Majo, Junio, ustawiczne deszcze były; żadnego prawie dnia bez nich nie było. Żyta nie miały jak kwitnąć, insze zboża rość także i ogrodowe rzeczy. Lici częste i grady bywały; były w wielu miejscach grady.

18o Junii w nocy lić napadła bez grzmotu, bez błyskawic; jakoż w ten rok tak deszcze panowały bez grzmotów. Tutaj na téj stronie w Jazowsku, wielka była nawalnica, że się brzegi obrywały, zboże przemuliło i insze. Za wodą zaś w górach, w lasach, nigdy niewypowiedziane były nawalnice, osobliwie na *Obidzy*; większa była rzeka *Obidzka* niżeli Dunajec, bo go odbiła na tę stronę w pola. Mnie samemu chmielnik zabrało z pagórka, i zaniosło do ogrodów dworskich. W tenczas szkody osobliwie na *Obidzy* narobiło, jakiéj nie było od ufundowania téj wsi. Hutę między górami będącą góra przywaliła, co też mogła podebrać woda to zabrała. Chałup, *alias* Domów sześć zabrało, chociaż na pagórkach były ze wszystkiem, bo to się działo we świtanie; żaden się nie spodziewał. Jednę chałupę w górze jak się góra oplezła, zabrała Szczepana Chudobę; i owszem nie zabrało, ale zadusiło, zamordowało w chałupie troje ludzi na śmierć, gospodynią, komornika i dziewkę,—chłopcu dużemu nogę przebiło,—małe dziecko naprzód nieckami, potém mułem przywaliło; jak dobywali owych trupów słyszeli skrzek, i tak go żywo dobyli. Inszych chałup wiele popodbierało' podobno im nie do długiego czasu pofolguje, a Pan Bóg

wie, co się dalej z nami dziać będzie, przy tych ustawicznych słotach. *Eodem die* jaz ugruntowany należycie; zabrało na samym środku, co było z wielką szkodą. W dzień zwyż położony, zabrało w *Kadczy* browar i chałupę Jakóba Klisia rybaka.

28 Junii padła straszna nawałnica w państwie *Łąckiem*, gdzie też tak wiele szkody narobiło jak i tu w *Jazowsku* 18 Junii. W *Podegrodziu*, *Golkowicach*, w *Skrudzinie* w *Mostkach*, nie mniejsze szkody.

Hoc eodem anno panowały ciężkie choroby, różne bóle, gorączki, w których ludzie prawie jak szaleli, niepotem gadali, uciekali etc. Wiele ludzi na wielu miejscach umierało, tu zaś z łaski Pana Boga zdrowo było.

Rok ten był ciężki na ludzi — dla nieplonu drogi. Żyto było po tynfów 7 — pszenica po tynf. 8 i więcéj — jęczmień po tynf. 6 etc. Wiele ludzi chodziło po ałmużnie, rzemieślników, — drudzy też podobno mizeracy i od głodu umierali, bo i grzybów po lasach nie było [16]).

Roku tego król IMci August III naznaczył in Majo et Junio sejmiki, ale te nie doszły pozrywane. Pan Bóg wie co z tego będzie. Naznaczył także sejm generalny w Warszawie; Pan Bóg wie jak się odprawi, i co za konsekwencya będzie. Coś pod pokrywą wre; jak wybuchnie, jeżeli nie bieda nam będzie; — ale to Pan Bóg z nami.

W tym zaś roku uchwycono na węgierskiej stronie Podhetmaniego [17]) *cognomine* Łazarczyka z Tylmanowéj; stracony samosiedm w *Lewoczy*. Ten tedy wyśpiewał na konfessatach, że wzięli u Łyssopala tynfów 1500, — u Krupy tynfów 6,000. Miły Boże! *male par-*

---

[16]) Rok to na całą Polskę smutny (patrz Albertrandy dzieje król. pol.).

[17]) Zbójców.

ta pójdzie do czarta, bo i te pieniądze nie ich zapracowania były, jako jednego pamiętam, że to po inszym był zmarłym zabrał, ożeniwszy się z żoną jego, nic jéj w moc nie puścił, otóż bies opanował. Drugi słyszałem *ex narratis* że przechodzące żołnierskie wozy podszedł, i tak torbę pieniędzy zerwał, to jest Krupa. Z tego jak jeden tak i drugi, ani Panu Bogu na chwałę nic nie uczynił, ani sam zażył przy zdrowiu będący, bo jak żebracy nic nie mający udawali się. Otóż z tego Bogu nie masz świece, chyba djabłu ożóg; bo ich w górach gdzieś zakopali, jak zeznali na konfessatach.

2 *Februarii*, w dzień Najświętszéj Panny Gromnicznéj wyruszywszy się z tych stron IMci Pan Darowski, wziął wóz kowany z czterema końmi Panu Nowakowiczowi Piotrowi z *Łącka* człeku bardzo dobremu, pobożnemu. Jadąc przez Łukowice wiele biedy narobili po wsi, gdzie co napadli to brali, z kobietami niewstydy czynili.

1737. Rok ten przy łasce Pana Boga szczęśliwie się zaczął, daj Panie Boże tak go skończyć.

Zima była uprzykrzona z nawalnicami, deszczami, etc. strasznemi wichrami, gdzie w niektórych miejscach dobrze ufundowane domy, kamienice, odzierały, wywracały, a co większa i dzwonnicę w *Piwnicznéj* wywróciły, i mnie samego natenczas w podróży zostającego w zaspach o trochę nie zatopiły, gdyby mi łaska Pana Boga i ludzka pomoc w tém była nieprzybyła. Jaki początek był zimy, taki i koniec.

Wiosna była przewlóczysta, dobra, właśnie służąca gospodarskim robotom. Lecz co się skarżyli ludzie na rok przeszły, że był drogi, teraźniejszy droższy we wszystkiém dla wielkiego nieplonu.— Była pszenica po tynfów 11 i daléj, żyto po 9 i pół, jęczmień po 7 albo 8, owies po 4 etc.

Choroby niewypowiedziane i niewyliczone, różne paroxyzmy od początku roku panowały aż do *Junia*, gdzie

umarło ludzi *plus minus* 100, oprócz przychodnich kalek, starych, którzy prawie od głodu kapali. Potém panowały choroby ale leksze, z których ludzie wyzdrawiali, jako i ja sam.

Lato było także przewłóczone; lubo bywały deszcze, ale bywały i pogody; mieli ludzie czas, jak siana tak i zboża z pól zebrać. Zboża żeby były zbyt plenie — nie; pomierne wszelkiego rodzaju, za co niech będzie Panu Bogu cześć i chwała.

O wojnie nic tego roku słychać nie było; wszystko pod pokrywką. Tylko co słychać było, że Turczyn wojował z Moskwą. Jesień była pogodna, długo mieli ludzie czas zasiewać na zimę.

1738. Szczęśliwie zaczęliśmy ten rok na chwałę Pana Boga, bez wszelkich kłopotów żołnierskich, tylkośmy czasem o nich słyszeli, aleśmy nie praktykowali.

Turczyn z Moskwą zaczętéj nie supersedował wojny. Zima w tym roku była stateczna. Wiosna lubo nierychło nastała, ale dobra, sucha; mieli ludzie czas w polu robić.

Ten rok był pleńszy jak przeszły, dla tego też dla ubogich ludzi był tańszy. W zimie zboże było droższe, na przednowku tańsze. Żyto po tynfów 5, a to z téj racyi, że wielu Ich Mość zboża zatrzymowali, spodziewając się droga jak przeszłego roku, ale to Pan Bóg z łaski swojéj odmienił.

Lato było pogodne; bywały i deszcze, ale na zbieranie z pola były pogody, wszelka była wygoda ludziom.

Jesień była także pogodna; — długo mieli czas ludzie zasiać na zimę.

Z tego roku krescencya *omnis generis* nieplenia była z téj racyi, że jak na ozime zboża, tak i na jare zasiewy zaraza padła, i tak mało co do skutku przyszło.

Choroby z łaski Pana Boga nie panowały.

O wojnie w tych krajach nie wiedzieliśmy.

Myszy, szczurów, było aż nazbyt; nietylko w domach znaczną szkodę czyniły, ale i w stodołach wielkiego nieplonu przyczyniły.

Tego roku Turek znaczną wiktoryą otrzymał z Cesarza, z Moskwą wojował. Francuz także w przeszłym roku dobrze dokuczył Cesarzowi i wiele kasztelów z amunicyami odebrał.

1739. Szczęśliwie się rozpoczął. Krescencye jak zimowe tak i jare pomierne były; jednakowo ozime lepsze były i kopne, jare niekopne, i *mediocriter* plon czyniące. Wiosna była do wygody gospodarskiéj. Lato przeplatane częstemi deszczami, czasem i gradami. Jesień była niezgorsza do siewu. Choroby z łaski Pana Boga nie panowały. O wojnie u nas pokój.

1740. *Hic annus feliciter inchoatus,* — daj Panie Boże, aby się podobnie skończył.

Zima była strasznie ciężka, mroźna, w śniegi zbyteczne obfita, tak dalece, że na potkaniu z ciężkością rozminąć się było. Ta zima trwała przez długi czas z wielkiém uprzykrzeniem ludziom, dla wyzimowania bydła, którego wiele i w wielu miejscach od głodu pozdychało. Potrawy o kilka mil kupić szukano; gdyby jeszcze można było dostać kupić. — Podczas téj zimy wiele ludzi w podróżach zostających pomarzło na członkach, jako i mnie samemu z człekiem dostało się tego nieszczęścia, do Krakowa i z Krakowa jadąc.

Na wiosnę chwała Bogu, jeżeli kto co siał przed ś. Stanisławem, rzadko który znalazł się taki. Dla długiéj zimy, ludzie karmiąc bydlęta ziarnem, sami potém jak siać, tak i jeść nie mieli co.

Osobliwa tylko łaska stała się w tym roku Illustrissimi, Rndissimi Adami Komorowski praepos. Cath. Cracov., że będąc dzierżawcą wsi tutejszéj *Jazowska*, *in supple-*

mentum Gromady dał złp. 2,000. Z tych tedy pieniędzy wielu poddanych utrzymało się zasiawszy sobie. ([18])

Pogoda zasiewom służyła, ale zbiórki bardzo późne były, bośmy, jak ja sam, żyto żęli po ś. Bartłomieju. Jare zboża bardzo późne były, jeżeli około nas, dalekoż bardziéj w górach około *Nowego Targu* osobliwie.

Primis diebus Octobris mrozów kilka było i śniegu podosyć, które mrozy omroziły sady, na sadach owoce, których lubo nieobficie było, ale i tym szkodziło, osobliwie śliwom. Dwa dni było zelżyło, potém znowu śnieg, mróz, śnieżnica przeszkadzała; dosyć na tém, że z ciężkością było siać na zimę. Zboża, jako to jare, owsy po górach pomarzły; jeżeli u nas cokolwiek, ale daleko bardziéj około *Nowego Targu*, około Tatr. Wielu ludzi i nie zbierali swojéj pracy.

Choroby z łaski Pana Boga nie panowały. O wojnie nie słychaliśmy. Zboża jak jare tak i ozime nie kopne i nie plenie. W tym roku żyto było po tynfów 5, jęczmień po tynfów 4, owies po 2 i pół.

1741. Zima była łaskawsza jak przeszłoroczna. Wiosna była przeplatana, jednakowo czas był wygodny do siewu. Lato takież było. Zbiórki były niezgorsze, lubo późno, bo około ś. Bartłomieja żyto zbieraliśmy, ale wygodno. Żyto pomierno kopne, i pomierno plenie. Tak i jarzynne urodzaje. W ten rok zboże było drogie, żyto po tynfów 8, jęczmień po tf. 7, owies po tf. 3. Choroby z łaski P. Boga nie panowały ani wojny, za co niech będzie P. Bogu cześć i chwała.

1742. Zima była łaskawa. Wiosna była sucha, czas był dobry do siania; prawda, czasem słota przepadła, ale nie wiele. Zboża jak ozime tak jare, tańsze były jak przeszłego roku. Żyto po tf. 6 półtor. 6. Zbiórki,

---

[18]) Patrz o owym Komorowskim w „Katalogu“ ks. Łętowskiego T. III str. 154.

osobliwie jarzynne, na słotę przepadły; z ciężkością było co pięknie z pola zebrać. Osobliwie w górach, wcześno poomarzało zboża, jako to: owsy. Nie kopno było, ale przecie pomiernie plenio. Choroby tak dalece nie panowały. O wojnie nie słyszeliśmy.

1743. Wiosna była sposobna do zaprawiania w gruntach. Zima była łaskawa; z początku sucha, mroźna, potém wolniejsza, w śniegi obfitsza. Lato częścią pogodą, częścią słotą służyło.

Die 11 Junii deszcze wielkie były,—lici. *Die 13 praesenti in festo incidente Corporis Christi*, zbyteczna woda przyszła, która pola dworskiego w wyżniéj równi, razem z żytem urodzoném, na zasiania wiert. 5 zabrała. Toż się nieszczęście stało i niwce małéj Plebańskiéj między gruntem dworskim lokowanéj. Sadu dworskiego zabrała woda nie trochę.

W *Kadczy* wsi szkody co się stało, rzecz niewypowiedziana.— Jesień była pogodna i długa. Plon pomierny jarzyny, oziminy szczupły.

Pokój był z łaski Pana Boga. Ludzie zdrowi byli, *uti patet in Metrica Mortuorum.*

1744. *17 Martii*, we wsi *Jadowoli* pogorzał niespodzianie, *alias* stodoły pogorzały JMci pana Otwinowskiego zacnego męża. Z płaczem żalił się przed każdym, że nikomu nie dał okazyi do gniewu. Aż trzeciego dnia czyli czwartego, dobywając potrawy dla bydła z pod ogorzałéj słomy, znajdują człeka imieniem Bartłomieja Cięciela, który podpalił stodoły, *poena Domini* że nie mógł uciec, poszycie go przywaliło, noga nieprzywalona została, taż zgorzała; trup cały został.

Wiosna do zarobienia w polu ta wygodna, potém nastały sucha wielkie, nie można było zorać, co się wrzuciło w ziemię jak w popiół. Po suchach nastały deszcze na najlepszy czas, kiedy żyta miały kwitnąć i insze zboża róść. Po deszczu pokazało się trochę po-

gody do zbierania siana i zaczęcia snopków; już *in Augusto* po krótkiéj pogodzie deszcze, nawalnice, inundacya wód już trzecia tego roku, przez tydzień trwając, niemałą szkodę w wyżnich gruntach dworskich porobiła. Jesień *in adjutorio Dei* do zarobienia w polu była sposobna. Plon zaś *hujus anni* wcale był nie pocieszny, jak ozimy tak i jarzynny wszystek; do tego sady już 4 lata nie rodziły; korzenia gospodarskie dla czeladzi, i te się nie udały, zkąd *sequenti anno*, *caristia* nastała, aleć przecie z łaski Pana Boga nie zbyt wielka. Pszenica po tf. 10, żyto po tf. 8 etc. *per consequens proportionaliter.* O wojnie ile w Polsce z łaski Pana Boga nie słyszeliśmy, chyba w cudzych nacyach.

1745. Ten rok szczęśliwie nastał, daj Boże żeby się szczęśliwie skończył. Początek zimy sucho-mroźny bardzo był, tak, że dla tego sady powymarzały, i do ostatka wyschły. Środek zimy był obfity niezbytecznie w śniegi; koniec wilgotny, *alias* oparzelisty. Wiosna chwała Bogu do zasiewania w gruntach wielce była wygodna przez dwie części; trzecia część suchem uchwyciła zbytecznem tak dalece, że i zboża, i sadzone rzeczy, a co większa, liście i kwiat na drzewach powysychały; co daléj będzie się działo, sam Pan Bóg wié.

Frukta na drzewach miejscami utrzymały się, osobliwie śliwy, gruszek po trosze, jabłek mało co gdzie się pokazało. Zbiorki na siana niewygodne były; na snopki wygodniejsze. Jesień do zasiania była dobra i długa; pięknie się pozasiewało. Plon tegorocznego zboża, chwała niech będzie P. Bogu średni tak ozimy jak jarzynny, tylko że myszy w stodołach psowały, a w górach skarżyli się, że jeszcze na polu myszy i żaby psowały.

1746. Rok ten na chwałę P. Boga szczęśliwie się począł; zima sucha, bardzo mroźna, bez śniegów. P. Bóg wie co się z ostatkiem sadów dziać będzie.

W dzień Najświętszéj Panny Wniebowzięcia zgorzało miasto *Sądecz* podczas jarmarku, z nieostrożności pewnego mieszczanina, ogień się w nocy pokazał, i tak nagle rozszerzył, że wszystkie cztery połaci, z zatyłkami i z ratuszem, w perzynę poszły; taka klęska nie była dotąd jeszcze przez ogień na to miasto, jaka się w tym roku trafiła.

1747. Ten rok za błogosławieństwem P. Boga, zdarzył się obfity w zboża, i taniość uczynił. Żyto po tf. 3, pszenica po tf. 4, jęczmień po tf. 2 sprzedawano.

W tym roku *Lewocza* miasto węgierskie znacznie wygorzało, osobliwie w kościołach i klasztorach. Przez konflagracyą nieoszacowana szkoda stała się.

1748. Ten rok Moskwy 40,000 na sukurs Cesarzowi przeciwko Francuzowi przez Polskę przeszło, ale zaszedłszy nad Ren, do generalnego pokoju przyszło bez potyczki z niemi.

W tym roku po wszystkich nacyach gęste panowały ognie. Także upały i sucha urodzajom szkodziły znacznie. Szarańcza w całéj Polszcze i w inszych królestwach niezmiernie się zagęściła, i wiele szkody porobiła. Powietrze na bydło w różnych miejscach. Nakoniec i na świnie choroby i śmierci, jednak w górach i w całém Podgórzu Pan Bóg od takowych przypadków zachował nas wszystkich.

Notandum quod in anterioribus annis non inscriptum.

Anno Domini 1742, w wielkim strachu zostawał kraj tutejszy, gdy w tutejszym Dekanacie w miasteczku *Tyliczu* powietrze się pokazało *in Octobris* i trwało *ad Conceptum B. M. V.* Przez ten czas wymarło powietrzem

ludzi 50, jak potem obywatele tameczni zeznali na odpuście ś. Trójcy. Dla czego i u nas, i po całej Dyecezyi supplikacye odprawowały się.

Anno Domini 1743. Po tak wielkim strachu padł strach na miasto *Stary Sądecz* z okazyi złośliwego i zawziętego człowieka, *nomine* Franciszka Michewskiego, który miasto po kilka razy w nocy podpalał. *12o Februarii* zatyłek w rynku podpalił, ledwie daléj zbroniono. *Tandem* gdy się tém nie ukoiła zawziętość jego (bo w kilku miejscach znajdowano w trzopie ogień pod domami na zapalenie); miasto udało się do protekcyi śś. PP. Antoniego, ś. Kunegundy, ś. Elżbiety. Zakupowano Msze ście z tą intencyą, aby Pan Bóg złemu człeku dał upamiętanie. Uspokoiło się licho przez kilka czasów, a może i dla tego, że surowe warty nocne naznaczono. *Tandem* nie zapomniawszy złości swéj, w Wielki Piątek, gdy się processya Męki Pańskiéj odprawiała, od OO. Franciszkanów do Ich Mci Panien Zakonnych, ledwo zaczął kazanie IMć ksiądz Mar. Długoszewski spowiednik tamtéjszy, ogień postrzeżono, w dzwony uderzono, tak ów konkurs ludzi liczny na obronę miasta z kościoła uciekł. *Nb* na któréj processyi według zwyczaju szedł pod krzyżem sławetny P. Franciszek Przybyłowicz, dosłyszawszy, że w jego kamienicy gore, wołał z pod krzyża przywiązany powrozami: „*Oderznij kto zmiłuje*“! i tak oderznięty ratował swojéj pracy, w którym ogniu kilka zatyłków zgorzało, i ogień aż o jedenastéj w nocy ledwie ugaszony przed powstaniem wiatru, którego przed tém nie było. Niepodobna opisać co się wtenczas działo od strachu, do kilku czas ludzie obaczyć się nie mogli, a *quid majus*, że w najlepszém położeniu, jak w kamienicach tak w ruchomiznach ten się ogień pokazał, gdzie nieoszacowana szkoda stała się. —

Tenże winowaty z pewnych konjektur wzięty i do więzienia wtrącony, co mu zarzucono wszystkiego się zapierał, albo inaczej wykręcał; — gdy go kat ciągnął nic nie wyznał, bo się postronek we dwoje zerwał. — *Tandem* po surowych inkwizycyach na śmierć skazany któréj bardzo pragnął, bojąc się żeby drugim nie był ciągniony. — W piątek przed Zielonemi Świątkami na Miejskiéj górze ścięty i spalony, co sobie w więzieniu prognostykował, na co było świadectwo.

Od tego czasu *adjuvante Dei gratia* nie pokazał się ogień w mieście.

POKUSZENIE.

Do W . . . K . . . . .

Czy to baranek srebrno wełnisty
Samotny stąpa w puszczy skalistéj?
Przypatrz się bliżéj postaci białéj,
Jak się rozświeca na grzbiecie skały.
Za nim jak oko zasięgnąć może
Kwitną owoce, kłosi się zboże;
A jeszcze daléj orzą i koszą,
A jeszcze dalej świątynie wznoszą.
Za nim po ziemi kwiecie się ściele,
Za nim modlitwa, za nim wesele.
A ówże drugi którego skrzydły
W stęchłéj kałuży toną obrzydłéj,
Z któréj zgnilizny wstawa kożuchem,
Skały się czepia, prostuje duchem,

Cały zielony w ogniste pręgi,
Jakby szły po nim piorunne wstęgi,
Co pańskie kroki bada i śledzi
Podnosząc dumne czoło swe z miedzi.?
To duch przepaści to książę świata.
Za nim wąż w grube kłęby się splata,
Za nim w oddali zrywa się burza,
Wicher piasczyste rozmiata wzgórza;
Za nim powietrze oddechy złemi
Zwiewa żyjące z oblicza ziemi;
Za nim szarańcza zaciąga słońce,
Za nim ruiny leżą milczące,
Za nim się ścieszki wiją obłędnie,
Wszelki duch kona, wszelki kwiat więdnie.

—Héj ty promienny coć tu przywiodło
W moję dziedzinę grzeszną i podłą,
W któréj się skala twa szata mleczna?

— Mądrość najwyższa, miłość przedwieczna.

— Wszelkiemu życiu grób się otwiera.

— Kto zwalczy trwogę ten nie umiera.

— Wszelki rząd świata, bojaźń i trwoga.

— Najwyższa władza w miłości Boga.

— Prawo się w słusznym zawiera gniewie.

— Sędzia gniewliwy o prawdzie niewię.

— Mieczem się bierze wiara śród ludu.

— Słowem się bierze i łaską cudu.

— Więc kiedyś mocen, tedy mi zamień
Ziemię na niebo, na chleby kamień,
A ja przed tobą upaść gotowém.

— Chlebem człek żyje ale i słowem.

— Skłoń się przedemną a świat posiędziesz!

— Rzeczono Bogu kłaniać się będziesz.
Jdź precz szatanie w pysze książęcéj,
Nie bluźnij więcéj, nie probój więcéj,
Pan zgładzi wrychle twe berło stare,
Pychę przez miłość, złość przez ofiarę·

I wraz go pętem słowa okiełza
Że głazem spada, wężem odpełza,
Po krzywych paszczę pędząc zawrotach
Zgniłem powietrzem dysze na błotach.

Rzym 14 grudnia 1857.

TEOFIL LENARTOWICZ.

DWA SONETY

ś. p. Xiędza

STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

I.

NA DAWNY OBRAZ SZKOŁY FLORENCKIÉJ

przedstawiający

Wniebowzięcie Najświętszéj Maryi Panny.

Ostatnie drżące światło na zachodzie kona
Pyszne Syonu gmachy poczerniały w cieniu
Tylko nad jednym domkiem w cudownym promieniu
Jakby z brylantów wieniec błyszczy gwiazd korona.

Patrz, tam w cichéj komórce w cichém upojeniu
Królowa świata legła na sercu zraniona,
Ta co pod krzyżem Syna stała niezwalczona
Jak feniks kończy życie w miłości płomieniu.

Patrz, w tych oczach jest niebo, niebo już na ziemi..
Dwunastu wodzów przed nią kolano ugina,
Wszystkich Jezus ranami ozdobił swojemi.

Oną anioły słyszy i hymn swój poczyna:
Mdleję z miłości, kwiaty strójcie mię wonnemi *)...
Usnęła: blask... patrz Matka w objęciu już Syna.

---

*) **Fulcite me floribus, stipate me malis, quia amore langueo.** *Cantic. Canticorum.*

II.

Z MICHAŁA ANIOŁA.

Giunto già è' l corso della vitą mia
Per tempestoso mar in fragil barca

Michel-Angelo Buonarotti.

Pędząc burzliwém morzem łaknąca zbawienia
Krucha łódź życia mego już ten port ujrzała
Gdzie znikoma śmiertelnych zaniemieje chwała,
Gdzie każdy zda rachunek z cnoty lub z skażenia.

I ta cudna fantazya — o gorzkie złudzenia! —
Co sobie kunszt za Boga i Pana obrała
Widzę jak już marnością przepełniona cała,
Boć marne są na świecie człeka urojenia.

Myśli z mych szkód wesołe gdzież wasz wdzięk
uroczy?
Teraz kiedy w przysionku dwóch śmierci już stoję
Jedna mi jest niezbędną, druga grozi w oczy....

Już malarstwem i rzeźbą duszy nie ukoję;
Lecz Miłość wieczna ręce na krzyżu rozpięła
By nas wszystkich w swe boskie objęcie przyjęła.

DO BIAŁEGO DUCHA

PRZY ODJEŹDZIE ZA GRANICĘ.

Wiara nas różni lecz czucie zjednacza,
tyś białym duchem, jam z czarnych zastępu
lecz w Bogu ufność! a kto nierozpacza
ten będzie białym — na drodze postępu!

Czucie twem skarbem a moją podstawą
tą cnotą silni niezginiem wśród świata,
różni duchami, *jedni* starą sławą
co życie dziadów z życiem wnuków splata.

Nasi ojcowie jedną wiarą żyli
nieznali duchów, kochali bliźniego,
czarta żegnali, a w Boga wierzyli
co ich ochraniał od wszystkiego złego.

Nowe doktryny wypędziły czucie
co to przez wieki w polskiem sercu żyło
nowe pojęcia, nowsze jeszcze chucie
Hej! bracie Pawle nie tak dawniéj było.

Wyswobódź ducha z przesądów ciemnoty,
rozpoznaj życie póki wiosna sprzyja,
prawdziwe życie, to życie wśród cnoty
Prawda zostanie a *marzenie* mija.

Szczęsna ci droga! nie do duchów koła
ale do ludzi co w pracy, wytrwaniu
wierzą w swą przyszłość, których los niezdoła
ni ugiąć w życiu, ni zachwiać w konaniu.

Do takich duchów niech twa droga wiedzie
przez ciernia kolce, ty zwyciężaj trudy
niech koło życia z téj drogi niezjedzie
idź drogą prawdy a omijaj złudy.

Niepytaj kiedy twa praca zakwitnie
staw silne czoło formom i ciemnocie
kiedyś! w przyszłości zejdzie ona szczytnie
wsparta na prawdzie dając życie cnocie.

Warszawa, 1857.

R. Tomiński.

WRÓBLE.

(*Bajka*).

W dziedzińcu opuszczonym chorego Dziedzica,
Nie lada gospodarza niegdyś i szlachcica,
Siedząc w wielkich swych gniazdach, niedbale zetkanych
Z barłogu, włósia, pakuł, piór, nici parcianych,
I któż wie jeszcze nie z czego;
Na samym szczycie wiązu wyniosłego;
Zmrokiem — pod idącą falę,
Dęły się małe wróble w górnéj swojéj chwale.
Tymczasem w dole, w gniazdku mocno zaczepioném
O gałąź śliwy, z mechu misternie spojoném,
Gdy ją cała korona drzewa osłaniała,
Jajka swe cicha zięba skromnie wysiadała.
Zerwał się z nocą wicher z piorunowéj chmury,
Nadkręcił wiąz z wróblami, i pomiędzy mury
Dziedzińca, narobiwszy nie mało kurzawy,
Zleciały pysznych ptaków pierzate dzierżawy.

Górą podęła burza, na nizkiéj gałązce
W dole nie tknąwszy skrytéj w swéj z mechu zawiązce
Potulnéj zięby. Idąc z rana tędy właśnie,
Rzekłem: czczę małość, czczę i to co górą jaśnie,
Kiedy promieńmi chwały zasłużonéj świeci;
Co z podkradzionéj tylko wysokości zleci,
W śród zniszczenia nocy,
Brudem Dom osypując Dziedzica w niemocy,
Zrzucone między chwasty podwórza i drągi,
Nie ma we mnie współczucia, ni za trzy szelągi.

A. Bronikowski.

MŁODE SERCE.

(Powieść).

(Ciąg dalszy.)

VI.

Po otrzymaniu tego pisma które przezornej Tereni niemało zrobiło niespokojności, długa nastąpiła pauza w korespondencyi Idy — napróżno i w Topolówce co poczta wyglądano listu, *Kuryerek* przychodził regularnie a listu nie było! — Milczenie to wprawdzie łatwo dawało się wytłómaczyć samemi szczegółami które zawierały gazety. — Cała Warszawa była w ruchu, w odmęcie niezwykłego od lat tylu wypadku.

— Jakże chcieć aby pisała teraz! powtarzał pan Jan dla zaspokojenia żony — bawi się lub odpoczywa!

Patrz zeszyt styczniowy.

dnia i nocy ledwie jej starczy na wszystko. Upewniam cię, skoro tylko szał ucichnie, zasypie nas swemi foljałami.

I Teresa wiedziała że te foliały prędzej później nadejdą — ale co będą w sobie zawierały? czy młoda głowa młodemu sercu nie wypłata figla?..... Ach! i tyleby rzeczy wiedzieć chciała o których się dowie może po czasie!....

Nareszcie, po obiedzie jednego dnia wszedł pan Jan do pokoju żony z rozpromienioną twarzą, a podając jéj suto nadzianą kopertę, za którą wprzód jednak czułą zapłatę odebrał, powiedział z uśmiechem:

— A co? czy nie mówiłem? — czytajże moja duszko, bom i ja ciekawy co tam ona pisze.

Poczciwa Terenia nie dała sobie tego powtórzyć — śpiesznie rozerwała kopertę, którą pan Jan podniósł z ziemi i położył na stoliku, i czytała głośno co następuje:

Z Warszawy 15 czerwca 1829 r.

Winnam, bardzo winna na pozór — ale niepotępiaj mię proszę wprzód nie wysłuchawszy. — Cały miesiąc nie pisać do Ciebie, to rzecz wprawdzie niedarowana— ale jakiż miesiąc! Bale, fety, zabawy... które po sobie zostawiły czczość, gorycz, niesmak, tęsknotę, żal za ubieżonym czasem, za sobą samą, żal za wszystkiem. — Nie taję żem odkryła żądła w tym słodkim miodzie, który mię zrazu upoił — ale pocóż narzekać? czy róże winne że mają kolce, czy ja żem ich zrazu dostrzedz nie chciała? — Nie mnie pierwszą i nie ostatnią one pokłuły i pokolą zapewne; nie sarkać przeto należy na te ostre kamyczki na ścieszce życia mądrą posiane ręką, ale raczej niechcący o nie ugodziwszy nogą, zbie-

rać je starannie do kupy, dla wyniesienia z nich w przyszłości, wiecznotrwałego gmachu zbawienia. Zbawienia?.. O, gdyby je kilku doznanemi na świecie zawodami kupić sobie można! byłoby nam dane za bezcen — czuję żem na nie jeszcze nie zasłużyła.

Ale wróć ze mną do tego niedzielnego poranku ostatnich dni majowych. Jakież to słońce przyświeca Warszawie? Jakie to echa brzmią w powietrzu? echa dzwonów radośnych! zkąd ta niezwykła uroczystość, ta fizyonomia święta wypiętnowana na każdéj twarzy, na każdym przedmiocie, od rogatek aż do zamku? Czemu te okna, te balkony po drodze, strojne w kobierce i kwiaty, jaśnieją strojniejszemi nad kobierce, piękniejszemi nad kwiaty kobietami? Dla kogoż to się one przybrały w te atłasy, pióra i brylanty? kogo wypatrują od samego rana, zpiętrzając swe wdzięki jedne nad drugimi? — Po obu stronach ulicy staje wojsko pod bronią, a jakie wojsko! — Któż to pośrodkiem ma odbyć wjazd tryumfalny? Czy dawne czasy ożyły? czy wyszli z grobów bohaterowie nasi? Czy Sobieski wraca z pod Wiednia? Batory z pod Połocka? Jagiełło po Grünwaldzie? lub Chrobry z Kijowa? — Nie; nie tak wyglądały piękne także prababki nasze — inną minę mieli nasi skrzydlaci rycerze — co widzimy przed sobą, to dzisiejsze — wczoraj nie wróci — obecność przeszłości nie wskrzesi! — Lecz jakiż to szmer robi się zdala? — jakie dźwięki dolatują uszu? — Muzyka zabrzmiała: *Boże, zachowaj nam króla* — a więc król jedzie doprawdy! — Orszak zbliża się powoli — orszak wspaniały! Ośm złotem kapiących koni prowadzonych przez heroldów wybranych zpośród najpiękniejszych ludzi do najpierwszych rodzin należących, ciągnie ochoczo karetę złoconą, szklanną u góry, karetę *Cesarzowéj wszech Rosyi* — w niej widać kobietę młodą, o regularnych rysach i pięknym profilu, w sukni z aksamitu

karmazynowego, bardzo wygorsowanéj, z dyademem brylantowym i wieńcem piór białych kołyszących się na głowie. Cesarz, Jego bracia, mały Następca tronu i świta cała, na dzielnych koniach otaczają karetę Najjaśniejszéj pani — orszak zajmuje wzdłuż całą ulicę — Cesarz uśmiecha się uprzejmie, Cesarzowa się kłania na wszystkie strony, a okrzyki *wiwat!* aż do samego zamku towarzyszą monarszéj parze. — Widowisko to niedługo trwało; a gdy ostatnia kareta się przesunęła, gdy ostatni jeździec z orszaku znikł na zakręcie ulicy, każda z dam wystrojonych po kilko godzinnem i nużącem oczekiwaniu, wynagrodzona spójrzeniem monarszem lub zawiedziona w swém oczekiwaniu, powiedzieć sobie mogła: byłam przytomną *Wjazdowi* o którym sam Cesarz powiedział że niemiał jeszcze tak *pięknego*! — Dni następnych odbyły się przedstawienia: najprzód wojskowych, potem pierwszych urzędników, następnie wszystkich godnych tego zaszczytu, a nareszcie.... dam! — Dobrze przed naznaczoną godziną twoja najniższa służeczka stała już w salonie ubrana od stóp do głowy, w sukni różowéj krepowej srebrem szytej, z ogonem atłasowym na kilka łokci, z różami i sznurem srebrnym wijącym się we włosach — nogi jej drżały i byłaby się w téj chwili wykupiła wszystkiem co miała od zaszczytu którego oczekiwaniem przez dni tyle wrzały wszystkie salony — ale nie czas było się cofać — pani Wojewodzina wyszła z pokojów swoich w poważnym stroju — trzeba było za nią wsiąść do karety i wymijać się z całym wielkim światem w jedną dążącym stronę! tłumy karet cisnęły się do zamku, a z każdéj wyglądały głowy strojne, których myślą jedyną było oczekiwanie tego co je za chwilę spotkać miało; lecz czy u wszystkich serce biło tak jak u mnie truchlejącej pod pysznemi memi gałganami... tego powiedzieć nie mogę. — Zajeżdżamy za innemi przed ganek — stój! —

jeszcze nie... ktoś przed nami wysiada... otóż i na-sza portyerka otwarta — trzeba wyjść z karety — wy-chodzę — idziemy — spotykamy znajomych w sali oczekiwania — pragnę by mi kto dodał śmiałości — ale nikt ani myśli o drugim — każdy sobą zajęty — Czekamy — prezentacya się rozpoczyna — o nieba! Każdą damę wprowadzają z osobna, po jednéj! Cóż bę-dzie z mojemi rewerencyami, których tak pilnie się uczyłam? — szczęściem dużo osób jest przedemną! — ale otóż i moja kolej się zbliża — już nadeszła!..... idę na ścięcie!.... W sali audyencyonalnej Cesarstwo z całym dworem stało w śródku: po trzech nizkich ukło-nach, stosownie do przepisanego ceremonjału, zbliżyłam się, a usłyszawszy z ust monarszych kilka łaskawych słówek, wróciłam jak wszyscy inną stroną, aby zwy-czajnym odwrotem nie ubliżyć winnemu uszanowaniu. Nie pytaj czyby się mną cieszyło poczciwe metrzysko— niepowtórzę ci nawet słów Cesarzowéj; podobno mię wzięła za kogoś innego — nie dziw — mogło i jéj w tym odmęcie zabraknąć konceptu — widziałam i słyszałam wszystko jak przez sen — odetchnęłam do-piero gdy się za mną zawarły podwoje — i wartoż to wszystko było takiego zachodu?

W drugą niedzielę Koronacya! Cóż o niej mam po-wiedzieć? — Naprzód u Fary nabitej tłumem cieka-wych, z wielką pompą poświęcone były Insygia króle-wskie, arcybiskup Woronicz celebrował, muzyka prze-ślicznie grała — po Mszy Insygnia wyniesiono do zam-ku, gdzie się dopiero odbywała przysięga i mowa Ar-cybiskupa — nie byłam na niéj, bo pani Wojewodzina zaniemogła raptownie; miałam wprawdzie towarzyszyć jednéj z pań moich krewnych, lecz dowiedziawszy się że jéj córka niedostała była biletu, uniosłam się wspa-niałomyślnością i odstąpiłam swojego, czego teraz mi żal, zwłaszcza że mi za tę moją ofiarę i *dziękuję* nawet

nie powiedziano. — Różnie mi jednak słyszeć się zdarzyło — co do mnie samem wspomnieniem, a racz samem wyobrażeniem tego aktu jestem wzruszona; boteż w obliczu Niebios taką na się brać odpowiedzialność, to nie igraszka! Stać się ojcem szlachetnego narodu, — opiekunem jego przed Bogiem i ludźmi — mieć prawo nad prawem, prawo ułaskawienia! módz jak Opatrzność stanąć między nieszczęśliwym na śmierć skazanym przestępcą a wymiarem ziemskiéj sprawiedliwości! O, jak wielkie, jak cudne królów powołanie!!— W półgodziny może; orszak w tym samym porządku wrócił do kościoła, a na czele *Król polski* w purpurze i ogromnej brylantowéj koronie — za nim małżonka w sukni z lamy złotéj i płaszczu którego ogon niosło ośmiu kamerjunkrów, włosy miała buklowane, a na wierzchu głowy mała brylantowa korona; dalej dwór cały. — Po prześpiewaniu *Te Deum* i modlitwach arcybiskupa, Najjaśniejsze Państwo wróciło do zamku I oto Koronacya! — Wszystko co żyło było na placu zamkowym; amfiteatr umyślnie na to wyniesiony zapełniały damy, od Zygmunta aż do Fary — widok był piękny... tak, piękny widok .. i piękne nadzieje! — Wieczorem oświecenie prześliczne — największe gmachy, gzymsy, kopuły, kolumny, wszystko od góry do dołu osypane lampami — rzekłby kto zaczarowane pałace z tysiąca i jednéj nocy. Całe miasto znowu po ulicach się przechadzało — widno było jak śród dnia, lecz natłok taki, że z niebezpieczeństwem życia ledwieśmy do domu wrócili.

Dopiero posypały się zabawy! Naprzód wielki bal u Dworu z ogonami, na którym tańcowano tylko do północy i to same polonezy — wieczór u Sobolewskich— pocałowanie ręki, tymże porządkiem co i prezentacya— bal miejski w Ratuszu — bal senatorski w sali giełdowej, ślicznie przybrany — bal u Zamojskich — i na-

koniec znowu bal u Dworu, bez ogonów. Żadnego z nich nie o suję — Cesarzowa samemi strojami oddycha, przesadzano się więc dla przypodobania się jéj — zawsze cała w kwiatach, piórach, brylantach — a za tańcami przepada! — Nasza księżna Łowicka choć słaba, bo chora na febrę, zawsze i wszędzie znajdowała się przy boku Najjaśniejszéj Pani. I ja też miałam szczęście być w jednem z Nią kole; przemówiła nawet łaskawie słów parę.... bom bardzo ładną miała suknię! Uśmiechasz się? — Nieuwierzysz co może suknia na tym świecie! — Co w sercu? o to cię nikt nie pyta — i zdziwiony ruszyłby ramionami gdybyś mu je przypadkiem otworzyć i pokazać chciała — na balu twarz, mowa, uśmiech, wszystko to są cząstki toalety, które się przybiera i zrzuca od okoliczności!

Wszystkie te uroczystości zapieczętowała *Uczta dla pospólstwa* a nareszcie i niebo się wmięszało, czy na wiwat władcom ziemskim, czy też może na okazanie przy końcu, iż wszystko, potęga, przepych i duma ludzka, są to tylko igraszki, które pierzchnąć muszą w niemocy, na jedno skinienie Tego, który słowem swojém stworzył świat! — Cesarzowa z całym dworem znajdowała się w Rotondzie pośrodku placu, my zaś w amfiteatrze dla dam wystawionym. — Herkules sztuki swoje pokazywał, tańcowano na linach, wypuszczano balon, chłopcy na słup po nagrody wyłazili. — Wtém błysło w powietrzu, gromy uderzyły, deszcz lunął gdyby z wiadra — zgiełk, zamieszanie, wrzawa — szczęśliwy kto prędko dopadł powozu — większa część zmokła do nitki, stroje poszły w niwecz — ot i po zabawie! — Dzisiaj już wszystko odpoczywa po szesnastodniowym ruchu — Cesarz wczoraj, Cesarzowa zawczoraj Warszawę opuścili.

Choroba pani Wojewodziny choć niebezpieczna, nie przyczyniła się wszakże do uprzyjemnienia mi całego

tego czasu; bywałam wprawdzie na wszystkich zgromadzeniach, lecz bez niéj, która pomimo całéj swéj lodowatości, przecież się mną szczerze zajmuje — osoba zaś z którą bywałam, regularnie z każdego balu wracała w najgorszym humorze, skutkiem zawiedzionéj nadziei tańcowania z Cesarzem, który tylko żony najpierwszych urzędników, lub młode i ładne naturalnie wybierał. Masz mię zatém zmęczoną, znękaną, a co gorsza, niewesołą wcale. — Warszawa cicha i pusta — wszystko na wieś jedzie dyszeć po fetach i kosztach, ukrywać miłe wspomnienia, lub niesmaki i nudy w cieniu rodzinnéj zagrody — a ja, czy wrócę do Topolówki?... Myślałam na chwilę, że może kto od was zjedzie tu przez ciekawość, ale gdzietam — pan Jan przeczuł że będzie drożyzna. Za apartament płacono po 500 czerwonych złotych za dwa miesiące — za karetę po pięć dukatów na dzień! — a co modniarki to się zbogaciły ogromnie! za to niejeden ojciec i mąż teraz stęka i nie prędko koronacyą zapomni.— Dużo dam mnie znajomych same musiały haftować suknie swoje, tak o ręce do najęcia było trudno, z powodu mnóstwa obstalunków — zabawny też był widok salonów pozastawianych krośnami! Ledwie nie powiem, że to zajęcie, to oczekiwanie, lepsze były niż tak gorąco upragnione dni saméj uroczystości — przedstawiały się one zdaleka z najpoważniejszéj strony i marzeniom wszelkiego rodzaju otwierały szerokie pole, na którém podobno zbudowano nie jeden gmach dziś w gruzach rzeczywistości leżący. Wspomnienie może znowu kiedyś przyjemność wygrzebie z popiołów! bo nie dniem dzisiejszym, nie obecną chwilą człowiek żyje; ale żyje *wczorajem* i *jutrem*, czyli wspomnieniem i nadzieją — a nadzieja zawsze błoga! a wspomnienie zawsze miłe! bo jest w naturze człowieka wzdychać do tego czego nie posiada i kochać co już nie wróci; dla tego też kochamy przeszłość choćeśmy na

nią narzekali gdy była teraźniejszością. Wrażenie najostrzejszéj boleści, z Woli Najwyższego zciera się z czasem i w oddaleniu jako mgła lekka, nie bez rodzaju smętnego nawet uroku nam się ukazuje; a każda, by najdrobniejsza uciecha, obojętna nawet niegdyś chwila, z latami z karła wyrastając w olbrzyma, najświetniejsze na się przywdziewa barwy. — Ale nie wiesz do czego to wszystko zmierza! Oto do wykazania nie tobie wcale, nie tobie Tereniu, tylko mnie, mnie saméj, iż pomimo wszelkich zawodów, rozczarowań i przeciwności, więcéj jeszcze i na téj nawet nędznéj ziemi jest dobrego niż złego — a bardzo zbawiennego tego przekonania potrzebuję dzisiaj, aby niezwątpić o ludziach! — Nie wspomniałam ci o pewnym wieczorze, który podobno najwięcéj się przyczynił do mego dzisiejszego usposobienia, bom na nim ujrzała odwrotną stronę pięknego medalu! — a jednak... tak daleką, tak bardzo daleką byłam od jéj przeczucia! dnia tego właśnie taka mię porywała wesołość, tak mię nęciła zabawa — tyle sobie obiecywałam z tego miłego wieczora po sztywnym dworskim balu! — Zapewne mi tę moją radość wyczytano z oczu, bom też w nieukrywaniu jéj nową znajdowała rozkosz — i tego to właśnie nie pojęto, że można to czuć co się okazuje, to okazywać co się czuje! — Śród najlepszéj ochoty, gdym właśnie w uniesieniu mojém żałowała, że jedném objęciem świata całego uścisnąć nie mogę, doleciała mię przypadkiem rozmowa... ale pocóż ją powtarzać?... Dosyć, że się toczyła między osobami, za które przed chwilą dałabym się była rozsiekać, o których przyjaźni i szczerości zwątpić, za grzech-bym sobie była poczytała — i teraz jeszcze nawet gdy to piszę, i uszom i pióru radabym zadać kłamstwo. Wprawdzie z razu broniła mię jedna, lecz i z téj nawet obrony dostrzegłam łatwo, że nie byłam poznaną — wkrótce też obie strony przez wza-

jemne koncessye ku sobie się skłoniły, a ja w ich a może i w powszechném mniemaniu, zostałam tylko... kokietką! nikczemną, zimną, przebiegłą kokietką!... Czy to do mnie podobne, Tereniu moja? — Jak ostrą boleść uczułam w sercu, opisać ci ani chcę, ani mogę! Czy uwierzysz, że była chwila, w któréj tknięta tym wyrokiem, uderzona niejakiém prawdopodobieństwem, wzięłam to za skaranie moje, za słuszność, za prawdę... w każdém oku zdało mi się czytać szyderstwo i wzgardę... woń kwiatów zdała mi się trucizną — muzyka urągowiskiem — słówka grzeczne, tak przyjemne przed chwilą, raziły mię teraz i upokarzały w najdotkliwszy sposób — chciałam uciekać, uciekać choć na koniec świata... a tymczasem połykać musiałam wstyd i łzy moje — — — i tak przetrwałam godzin kilka! Lecz skoro za powrotem do domu, w samotnym pokoiku śród ciszy nocnéj, jęłam się do zbadania serca; skoro zeszłam w głąb duszy mojéj, spokojność w niéj wraz z jutrzenką zaświtała na nowo — dzięki Bogu, nie jestem taką! dowodem tego przebaczenie jakie z głębi serca szlę tym co mnie obrazili... gdyby w ich sądzie było cokolwiek téj prawdy, o któréj powiadają że *w oczy kole*, onaby mię zapewne jątrzyła, czułabym gniew, żal, chęć odpłacenia, chęć okazania że wiem o wszystkiém, a przecie nie dbam o to co o mnie ci ludzie myśleć lub mówić mogą. Takiego zaś uczucia w sobie nie znajduję — Bóg z nimi! — I jakżebym wreszcie gniewać się mogła na tych, którymem winna tę słodycz, że nareszcie nietylko usty ale i sercem wymówić będą w stanie tę dotąd straconą dla mnie prośbę Modlitwy Pańskiéj: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.“ — Dziękowaćbym raczéj chciała, że i ja mam winowajców, że i ja przecie coś odpuścić mogę! choć to takie małe w porównaniu z tém, co inni cierpieli na świecie!... Ale widzę teraz moja Tereniu,

że płonna to chcieć od każdego być zarówno zrozumianą i tylko jednego stroju instrumenta harmonijny wydadzą akord — tak się ma i z duszami; nie przestałam na tych które Opatrzność szczodrze umieściła na mojéj drodze, chciałam więcéj, zawsze więcéj — chciałam wszystkich i wszystkiego — i nagłym, tym okrutniejszym że niespodzianym rozdźwiękiem zostałam uderzona. Wie Bóg co czyni — nie przeto téż nam dał czucie abyśmy skarbnicę tę profanom na łup otwierali, lecz żeby tłumiąc częstokroć do niczego nie wiodące zapały, nowe sobie do zasług otwierali pole. — Po tym wypadku dopiero uczułam jak jedną, zupełnie jedną byłam śród tego ludnego świata, jak daleką wszystkiego co mię szczerze i prawdziwie kocha! Nikogo, z kimby podzielić troski! doświadczenie blisko, a ty daleko — w koło mnie zaś głuszący gwar świata zajętego sobą, na którym codzień z godową twarzą bywać trzeba! — Chciałam się zbliżyć sercem do pani Wojewodziny — razu jednego oświadczyłam chęć zostania przy niéj cierpiącéj, ale mi na to zwyczajem swoim odpowiedziała: „Jużci żebym kogo potrzebowała, potrafiłabym sobie doradzić.“ W takim stanie rzeczy pojechałam na koncert panny Sontag — O, jakże ci dać wyobrażenie o tych niebiańskich tonach, o téj niewymownéj słodyczy przenikającéj najskrytsze tajniki i głębiny duszy! Mamże ci mówić co się ze mną stało? — Zapomniałam gdzie jestem, zapomniałam żem jeszcze śród tego samego, argusowe oczy mającego świata — łzy mi się puściły z oczu strumieniem, ciężar zsunął się z serca — i zdało mi się słyszeć głos anioła pocieszyciela mówiącego mi z górnéj krainy: „Nie płacz biedna dziecino; są ludzie godni twojego serca, są co cię kochają szczerze, ludzie bez obłudy, ludzie prawego serca — są szlachetne dusze co się poznają na prawdzie, a ty i tu jeszcze być możesz szczęśliwą!“ — W téjże saméj chwili przed oczami du-

cha stanęliście wy wszyscy i... i... mamże powiedzieć? Cóż dziwnego, że się w ten obraz wcisnęła postać któréj wspomnienie koniecznie łączyć się musi z pamięcią ostatnich czasów spędzonych w Topolówce?—Niewiem—ale śpiew uroczy, cudowna harmonia, jakby nie ziemskie dźwięki, poruszyły uczucia którymem już tu wierzyć nie chciała — i to z taką siłą, że mi się one zdały skazówką przeznaczenia, przeczuciem! — O, czuję to, czuję że... i on kochać mię musi — inaczéj, czyżbym tu dawno, dawno o wszystkiém nie zapomniała? — Może w téj właśnie chwili i on wspomniał o Topolówce... o pożegnaniu naszém... Lecz czemuż go tu niema? — jak może siedzieć sobie tak spokojnie gdzieś na końcu świata, wiedząc zapewne przecie żem ja tu, tu, śród tysiąca zwodniczych wdzięków, otoczona hufcem młodzieży, doprawdy, dość dla niego niebezpiecznéj! A toż flegma niesłychana!... a może i zarozumiałość!... Bo on to widział, musiał widzieć, musiał odgadnąć, że mi się podoba nie żartem! — Powiem ci, iż dotąd z twojém wielkiem przeproszeniem, miłość miałam za ladaco, za uczucie samolubne, wymagające, nie warte trzech groszy — taką zaś jak mi się dzisiaj przedstawia, mam ją za coś wyższego, ledwie nie powiem świętego — i nietylko że sobie myśleć o *nim* bynajmniéj nie mam za grzech, ale owszem nie uwierzysz, z jakim rodzajem słodkiéj pociechy, serce moje ku niemu się skłania — i zda mi się koniecznie, jakiś głos mi szepce, że przy nim stanę się lepszą, będę wzorem wszystkiego co zechcesz... bez niego zaś, za nic nie ręczę! — Z tém wszystkiém mam kłopotu nie mało; zaczynam myśleć, że się pan Stanisław, bratanek pani Wojewodziny, na dobre się do mnie zaleca; dotąd brałam wszystko za pospolitą światową monetę, za brzęczączki złocone, których dźwięk już mię nie omami; ale na nieszczęście i on coś się jakby ustatkował i wciąż tu przesiaduje... boję się

nawet bardzo, czy to czasem nie układy jakieś familijne, zdawna między panią Wojewodziną a dziadem moim zaszłe, pojmujesz teraz jak jest nieznośne moje położenie? — Nieraz chciałam pomówić szczerze z panem Referendarzem... wyznać mu wszystko... ale prawdę mówiąc to *wszystko* jest w gruncie *nic* — mówić niema o czém, chyba przed tobą, która jedna mię zrozumiesz — a potém, i pan Referendarz od parę dni coś jakby nie swój; zamyślony, zesmutniał, postarzał raptem niesłychanie — zapewne to skutek znużenia i niewczasów — ale co dziwniejsza, to, że choć sobie tego w żaden sposób wytłómaczyć nie mogę, zdaje się że mię unika — czyżbym mu w czém uchybiła? czyżbym była powodem jego zmartwienia? O, już kiedy bieda, to bieda!!

Po kilkodniowéj przerwie.

Wielka prawda! onegdaj list mój niedokończony porzucić musiałam, bo mię do pani Wojewodziny zawołano — a gdym wróciła po niejakim czasie, ani listu ani kilku innych papierów nie znalazłam — pytałam pokojówki, nie wiedziała o niczém — łatwo sobie zdołasz wyobrazić zakłopotanie moje — taki list!... gdzie się podział? — gdyby wpadł w czyje ręce!... Aż dziś dopiero przypadkiem odsunąwszy biórko, znalazłam zgubę w kąt zarzuconą jakby umyślnie! — Czas było; wkrótce jedziemy na wieś — już dane rozkazy pakowania, kartki pożegnalne porozsyłane — chwała Bogu! tęskno mi już było do wsi, do świata Bożego — duszno w tych czerwcową spiekotą rozpalonych murach — tam lżéj odetchnę; wieś pani Wojewodziny ma być bardzo piękna, a do tego w Krakowskiém!!... Wiesz kto mieszka w Krakowskiém?... może się spotkamy...

Tegoż dnia po obiedzie.

Już też doprawdy nic nie rozumiem, nic nie pojmuję na świecie!

Pan Stanisław (zapomniałam ci powiedzieć żem go przez kilka dni niewidziała) był tu przed chwilą, chorował trochę, źle wygląda, smutny i pożegnał nas! wcale z nami nie jedzie jak to było ułożone, nawet pani wojewodzina zdziwienia swego ukryć niepotrafiła, bo też niewiedzieć co mu się raptem stało? jakiś dziwny, jakiś zmięszany... aż mi go żal! Ale kiedy zostaje to nie z czyjéj tylko z własnéj woli. W końcu ścisnął mię za rękę, w inną patrząc stronę... i zdawało się, że mię żegna na wieki, prawdziwie zaczynam się lękać; od owego wieczoru zmieniłam była zupełnie moje dotychczasowe nierozmyślne postępowanie, może i nie w porę, ale cóżem temu winna? Są ludzie z któremi doprawdy niewiadomo co robić; pozwolić palca wnet opanują całą rękę; spostrzedz się i usunąć na cztery kroki, znowu źle! Jeżli tylko tyle że się rozmyślił i pod pozorem jakichś interesów rad umknąć od układów ciotki, to może i tem lepiéj... choć szkoda trochę przyjemnego towarzystwa... i żal że przytem taki smutny... ale broń Boże co gorszego!... bo że się dobrowolnie rozmyśleć nie mógł, tego jestem pewną, jest w tem jakaś tajemnica i to mię przestrasza, ja go doprawdy lubię, bardzo lubię Tereniu... a więc z całego serca życzę mu pociechy, jeżli jéj w saméj rzeczy potrzebuje, a teraz żegnam was moi drodzy. Ach! jakże to życie pełne jest kłopotów!

. . . .

. . . .

. . . .

Na tych słowach się kończył ów tak długo oczekiwany list naszéj przyjaciołeczki; że nie zaspokoił troskliwéj Tereni, tego łatwo się domyśleć. Próżne były uczucia które czytanie upragnionego pisma obudziło w młodéj parze i róże wykrzykniki, któremi się te uczucia od czasu do czasu objawiały; to znowu uśmiech, ruszenie ramionami, czasem nawet coś nakształt rozrzewnienia, to u żony, to u męża słuchającego z zajęciem. Nareszcie gdy Teresa list skończony starannie złożywszy siedziała jeszcze chwilkę w zamyśleniu, pan Jan się odezwał:

— I cóż moja pani kochana na to powiada?

— Ach! mój drogi, na co to ona w to wszystko się wdała!

— Jakto na co?

— Ale bo i te zapały i te rozczarowania, i te miłości gorące, wszystko tak niepotrzebne!

— Hem, hem...

— Do czego to prowadzi?

— A my?... moje dziecko!

— O, my to co innego!

— Zapewne że co innego, odparł mąż z uśmiechem, i Idka od razu na to się zgodzi, pan Zygmunt to nie pan Jan!

— U nas szło wszystko rozsądnie, spokojnie...

— Hę, niewiem, niewiem...

— Można było przewidzieć poczciwy i szczęśliwy koniec... a tu, co z tego będzie?...

— Ej, będzie, będzie... już ja za to ręczę— będzie dobrze i szczęśliwie— będzie tak jak z nami, choć my co innego...

Terenia się uśmiechnęła.

— O tak to lubię! kiedy nam z tem dobrze, czemu innym źle by być miało?

— Ale mój drogi...

— Ale moje dziecko...

Trzebaż tu jeszcze dodać że wkrótce losy Idy zdane na Opatrzność mądrą i łaskawą przestały zasępiać obecną chwilę w umyśle młodych i szczęśliwych małżonków? — To w porządku rzeczy — zostawiwszy ich zatem kiedy im tak dobrze, czekajmy co daléj będzie.

VII.

Już czerwiec codzień nowemi barwy zdobiąc okolicę przebiegł był większą połowę swego zawodu; po dziennym skwarze wieczorny chłodek mile w pierś spiekłą wstępował, a balsamiczne wyziewy kwiatów, szelest pod świeżą rosą uginających się liści, odgłosy różnych owadów w trawie i szmer blizkiéj krynicy co po kamyczkach sączyła się kryształowym strumieniem, jakąś rzewną harmoniją, jakąś lubą wonią kołysząc całe jestestwo człowieka, duszę do wyższych i niewysłowionych usposabiały wrażeń. I księżyc z po za chmurki wychyliwszy blade czoło zda się tkliwie spozierać na ziemię. Przy miękkiem jego świetle z po za drzew i krzewów bieleje dworek niewielki lecz porządnie zabudowany, dom mieszkalny otaczają do koła zielone trawniki, wygracowane świeżo ścieżki, starannie pielęgnowane klomby, krzaki osypane tysiącem różanych bukietów, a winograd, powoje i różne wijące się rośliny, co białe jego ściany zieloną oponą nie w jednem miejscu pokrywają, wyciągając ku sobie giętkie gałązki, zdają się szeptać do koła, że tu schronienie szczęścia i pokoju. Tak mało do szczęścia potrzeba, a jednak tak mało szczęścia

na ziemi! I w tem tak lubem na pozór zaciszu, może jęczy pierś skrytym przywalona ciężarem, zarzewie namiętności może pała pod cichą powłoką, może robak zgryzoty toczy zbolałą duszę, może...lecz stójmy! Oto tam pod oknami ktoś się przechadza; mąż w sile wieku, chcemy li zbadać miejsca tego tajemnicę? popatrzmy nań trochę z uwagą, oto właśnie ku nam się zwrócił, światło księżyca na twarz mu pada, znać na niéj zamyślenie, ledwie nie smutek głęboki, oczy jego często w stronę się zwracają, a ruchy prędkie, zdradzają niespokojność wewnętrzną. Stanął, ręce skrzyżował na piersiach i po chwili ciężkiego dumania, jakby kończąc głośno myśl co mu niedawała pokoju, wyrzekł z wolna przed siebie: „próżne tu już zabiegi i usiłowania sztuki, téj sztuki co mi odtąd być miała życiem i pociechą — wszystko, wszystko i ona nawet mię zawodzi! i ona bezwładna, słaba, niedostateczna!“...

W tem o jakich sto kroków odrysował się cień ruchomy na budynku bielejącym fosforyczną jasnością; równe stąpanie dało się słyszeć po zwirem wysypanéj drodze, i wkrótce w całości wystąpiły kształty prześlicznego stworzenia, którego widok rozchmurzył na chwilę czoło zadumanego młodziana, piękna klacz gniada zmierzała wielkiemi powolnemi krokami przed ganek białego domku, kark miała zgięty nadobnie, grzywę czarną króciutką lśkniącą się gdyby krucze pióra, gwiazdkę białą na czole, a szyję wysmukłą, a uszko drobne, ruchawe, zaostrzone, a w oku tyle ognia i łagodności zarazem, nozdrza rozwarte tak miękkie i delikatne! nogi sprężyste, a w każdym ich ruchu, w każdem postawieniu jakaś nadobność, jakaś poważna gracya, gdy je zaś w biegu rozpuści, tentent jéj kopyt brzmi jak muzyka wojskowa, leci jak wiatr, jak strzała. Strzałką też zowią tę piękną istotę. Stanęła swobodnie, spoglądając na pana, on do niéj przystąpił, pogłaskał po szyi, po-

prawił czapraka, wziął cugle w rękę, wskoczył na siodło, skręcił na prawo i puścił się szlakiem.

Tymczasem o milę może od tego cichego dworku, przez okienka wiejskiéj chałupy migoce czerwonawe światełko, słabo roznieconego ogniska. Wnętrze tejże chałupy, jakkolwiek chędogie, nie świadczy wszakże o zamożności jéj mieszkańców, a w progu już znać że w niéj smutek i boleści obrały sobie siedzibę. W kącie ubogiéj w sprzęty domowe izby, do łoża przykuty chorobą leżał wieśniak jeszcze niestary, nie dawno silny i pracowity, dziś nędzarz bezwładny, na krańcach dogorywającego życia z ostatnią godziną spokojnie się pasujący. Okropna bladość pokryła spocone czoło i zapadłe policzki chorego, usta miał spiekłe, oczy przyćmione, a z piersi wzdętéj dobywał się z trudnością oddech gorączkowy. W głowach ubogiego posłania, młoda niewiasta twarz łzami zalaną ukrywa w dłoniach, to znów oczy wznosi ku niebu lecz z takim wyrazem boleści, iż znać że ją odbiegła nadzieja wysłuchania. Ucichło w izbie, przygasło niepodniecane ognisko, zwolniał i oddech chorego, a kobieta znużona ustawicznem czuwaniem, zdrzemała na chwilkę; — w tem na podwórku pod oknem pies zawył żałobnym głosem, chory jęknął boleśniéj, a skrzawy płomyk wybuchając po raz ostatni, rzucił blask przerażający na wynędzniałe oblicze. Kobieta załamawszy ręce i w tejże chwili usłyszawszy tentent zdaleka, pobiegła ku drzwiom z pośpiechem.

— Ach! ratuj, ratuj panie! — zawołała czepiając się kolan wchodzącego pod ubogą strzechę.

— Gdybym tylko mógł! a cóż chory? — zapytał cichym głosem znajomy nam jeździec.

— Ach panie, źle, bardzo źle!

— A dajecież mu przepisanego lekarstwa?

Kobieta skinęła głową, przychodzień tymczasem zbli-

żył się do łoża boleści, wziął chorego za puls, i skłonił głowę na piersi.

— A cóż panie? — bojaźliwie zapytała kobieta.

— Nikt jak Bóg! — odrzekł doktor wzruszony; nieboga padła na kolana przed śmiertelnem łożem męża.

— A pomyśleliście o duszy? — zapytał po chwili.

— Był dzisiaj ksiądz proboszcz.

Znowu cisza, przerywana tylko coraz trudniejszem oddychaniem chorego.

— Panie...a jak długo jeszcze? — ozwała się ciszéj kobieta.

— Może...do rana...do jutra...

Na te ostatnie słowa, nieboga łkając i załamując ręce wskazała komorę, w któréj sieroty we śnie złotym nie czuły nadchodzącéj śmierci. Doktor zbliżył się do niéj a podnosząc ją z dobrocią wyrzekł rozrzewniony:

— Pamiętajcie że Opatrzność czuwa nad nieszczęśliwemi...Bóg dobry nieopuszcza nikogo...ja teraz spieszyć muszę do domu... przyszlę tu wam kogo do pomocy! — nie płaczcie tak moja kochana, bo jemu cięźéj będzie umierać!...

Zbliżył się raz jeszcze do łoża chorego, wziął go za rękę jakby na pożegnanie, otarł oczy, śpiesznie porzucił izbę a dosiadłszy konia popędził do domu. Wiodła go droga około wspaniałego pałacu z pięknym angielskim ogrodem, którego widok zdolny mile zająć każdego, młodzianowi jednak niewypogodził czoła; owszem, gdy wjechał w cienistą lipową ulicę, skryty smutek jeszcze bardziéj ścisnął mu serce. Chmury się były podniosły na zachodzie; błyskało zdaleka, i głuchy grzmot od czasu do czasu słyszeć się dawał, jeździec wolno puścił cugle, a stanąwszy przed białym dworkiem, zeskoczył szybko i wszedł do domu w milczeniu, zpienioną zaś i parskającą wierzchową jął nadbiegły mastalerz oprowadzać po dziedzińcu. W saloniku nacechowa-

nym gustowną prostotą, na wygodnéj kanapie siedziała niewiasta już podeszła w wieku; książkę otwartą miała przed sobą i robotę porzuconą na stole; lecz jak jedna tak druga mało zdały się ją w téj chwili obchodzić; wzrok tkliwéj niespokojności bowiem zwróciła była na syna, który zatrzymawszy się nieco w przedpokoju dla dania rozkazów, właśnie ukazał się w drzwiach; zbliżył się w milczeniu, powitał matkę i usiadł przy niéj na krześle.

— Mój Zygmuncie, mój synu, cóż ci to jest? co cię frasuje?— przemówiła nareszcie.

— Nic mi nie jest, matko droga.

— Ale bo ty coś kryjesz przedemną!

— Biedny Bartosz umrze téj nocy. —

— To smutno — od śmierci niemasz doktora — tak Bóg chciał.

— Z pracy rąk żywił żonę i czworo drobnych dziatek: teraz w nędzy zostaną!

— W nędzy nie będą kiedy mój Zygmunt tak blisko!

Tu znowu nastąpiła chwila milczenia.

— Ale wyznaj szczerze — przerwała znowu matrona łagodnym głosem — czy tylko to jedno cię martwi? O chorobie Bartosza zaledwieś się od tygodnia dowiedział, a jam cię już smutnego zastała.

— Z natury nigdym nie był bardzo wesoły — odrzekł Zygmunt z uśmiechem.

— Prawda; i to mię właśnie teraz zastanawia, że często wesołego udajesz.

— Nie w téj chwili przynajmniéj kochana Matko! — przerwał Zygmunt żwawiej, jakby dla nadania rozmowie lżejszego nieco obrotu.

— Ale źle udajesz, — kończyła niezważając na to Matka — boś nigdy Bogu dzięka, zmyślać nie umiał. Co ci jest Zygmuncie.

— Nic, nic matko droga! nic doprawdy — nie bój się o mnie — zdrów jestem zupełnie.

— Na ciele; dzięki Niebu i za to! ale na duszy.... Ty bo nigdy nie myślisz o sobie!

— Dałby Bóg! Lecz jeśli przeciwnie myślę więcej niżby należało...

— Ach, nie mów tego — zawołała z żywością, a po chwili jakiegoś wahania się czy namysłu, dodała stanowczo: Od dawna z tobą pomówić chciałam otwarcie w rzeczy, która mi bardzo leży na sercu.

Syn pobladł nieco, skrzyżował ręce na piersiach, skłonił głowę i słuchał cierpliwie.

— Jam stara Zygmuncie kochany; kto wie jak długo jeszcze Bóg mi życia dozwoli! Nikogo nie mam na świecie prócz ciebie — gdy zamknę oczy, ty jeden po mnie zapłaczesz i jeden zostaniesz na ziemi — wiem że tak zawsze nie będzie, bo tak być nie może i nie powinno, ale wybacz sercu Matki, chciałabym pewność mieć jakąś zawczasu — chciałabym przed śmiercią uściskać synowę podług serca, chciałabym pobłogosławić wnuczętom. Bogu dzięka na niczem ci nie zbywa, i lata po temu, a jeszcześ słodyczy domowego szczęścia nie zakosztował! — Czyż na to ojciec twój zacny wiek cały pracował, czyż dla tego tak uczciwy majątek ci zostawił?... wiem mój drogi że go najpiękniéj używasz, — ależ tego niedosyć; trzeba aby i po tobie zostali tacy, coby idąc za twym przykładem, kończyli z chlubą przez ciebie rozpoczęte dzieła i przedłużali cnotliwe życie twoe na ziemi. Czyliż już w całéj Koronie i Litwie niema kobiety coby ci się podobać mogła? Czyliż nawet i tu w sąsiedztwie niema zacnych, uczciwie i bogobojnie wychowanych panienek, z których dobre żony, dobre matki i dobre obywatelki być mogą, zwłaszcza przy mężu rozsądnym i kochającym?... tylko się obejrzyj, tylko chciéj poszukać, a znajdziesz, upewniam cię że znaj-

dziesz... Milczysz Zygmuntku? — Dzisiejsza młodzież nie lubi pętów! Ale ach! wierz mi, wierz doświadczeniu; jeżeli jest szczęście na ziemi, mieszka ono na łonie rodziny przy ukochanéj żonie, śród lubych, pełnych błogich nadziei dziatek! — Cóż dopiero, gdy się pod okiem twém nadzieje te ziszczać zaczną? gdy zbierzesz owoce staraniem twojém szczepione? O, widok ten, to uczucie, sowitą ci będzie wszystkich prac, trudów i kłopotów nagrodą!

Pani Zacnowska niewiedziała, że stawiąc przed oczy syna obraz szczęścia, które on tém więcéj oceniał, że je w téj chwili miał za stracone dla siebie, okrutnie rozdzierała mu serce — ukrywając jednak bolesne uczucie, odpowiedział on niby obojętnie a w istocie z wzruszeniem:

— Wiem to.... a raczéj, wierzę, pojmuję to doskonale — ale...

— Zawsze ale!...

— Alem zepsuty przez Ciebie kochana Matko.

— Niedobry pochlebco — odpowiedziała, obiema rękami obejmując głowę syna i tuląc ją z czułością do swojego łona — a w myśli dodała: Biedny kłamco! — Serce matki czegoś się domyślało.

— Nie każdemu bo skarb dostać się może!...

— Gdyby jednak, gdyby? — pochwyciła matka.

— To być nie może; dla mnie już być nie może! — zawołał Zygmunt powstając z krzesła, by się przejść po pokoju. —

Pani Zacnowska westchnęła i nie bez żalu przestała rozmowy któréj przedmiotem był cel najgorętszych jéj życzeń i modłów, dopiero z szufladki dobyła coś mówiąc:

— Oto list do Ciebie, mój synu, z poczty; bardzo zamarudził posłaniec; wrócił tylko chwilę przed tobą.

Na widok pisma, stępla i pieczęci, jakby młotem uderzyło Zygmuntowi w piersi — aż ręka zadrżała; —

lecz wkrótce stawszy się panem przemijającéj słabości powiedział sobie w duchu: „Cóż nowego się dowiem?“ I pieczęć pękła. List nie był długi — przebiegł go Zygmunt raz, drugi i trzeci, a nie wiele zeń mogąc zrozumieć, z niespokojnością zawołał:

— Muszę jechać czem prędzej!

— Dokąd?

— Do Warszawy!

— Cóż tak nagłego?

— Stanisław wzywa usilnie; więcéj nic nie wiem — ale nie bój się Matko droga — nie zadługo wrócę do Ciebie.

— Daj Boże! — westchnęła matrona — A teraz spocznijmy już synu. Oby ci Bóg na każdym kroku błogosławić raczył!

To mówiąc pani Zacnowska powstała, a uczyniwszy krzyżyk nad głową syna, wraz z błogosławieństwem i pocałunek matczyny na czoło jego złożyła; potem zabrawszy starannie książki i robotę, wsparta na Zygmunta ramieniu, udała się do sypialni.

VIII.

W małéj mieścinie południowéj Polski, na głównym placu, naprzeciw obszernego murem opasanego kościoła, stał dom zajezdny, po nad wejściem poważnie unoszący malowaną tablicę, arcydzieło miejscowego artysty, który skutkiem głośnej swéj sławy wszedłszy w dozgonne związki z kucharką księdza proboszcza, szczycił się chlubnym tytułem gospodarza jedynéj w mieście austeryi.

Dokładny opis tego powszechnie uwielbianego utworu, przechodzi słabe nasze pojęcie o sztuce, dość że się nań wysilił geniusz śmiertelnika i złączył wszystko by znęcić znużonego przychodnia. Kurząca się pieczeń z ogórkami, okrajce białego chleba, flasza marcowego piwa z wylatującym w górę korkiem i białą w trop za niém spieszącą pianą, szklanki i kufle do połowy nalane brunatnym nektarem, a pod tém wszystkiém na dobitek, miniatura billardu... Któżby się oprzeć zdołał tylu złączonym ponętom.

Dnia tego zwaliwszy sporą część domowego trudu na godną połowicę, któréj swarliwy głos niekiedy z głębi kuchni dolatywał podwórza, Bartłomiéj Pędzlewicz delektował słodkie *far-niente* i z okurzoną fajką w zębach rozpostarty na ławie w cieniu gankowym, przyglądał się z zamiłowaniem ludowi tłumnie wychodzącemu z kościoła po skończoném ranném nabożeństwie, był to bowiem dzień ś. patrona parafii i odpustu, na który wierni jak zwykle skwapliwie się byli zgromadzili. Okoliczne niewiasty, umyślnie na tę uroczystość dobyły z komory troskliwie zachowanych szat świątecznych, jak śnieg białych koszul, haftowanych fartuchów — nieraz też hoża dziewoja co zdawna gotowała kamlotowy gorsecik, sznur jak jéj usta czerwonych korali na szyję, splot jaskrawych wstążek do warkocza, w które się dziś ustroiła, zwabiła estetyczne oko i uśmiech zadowolenia artysty. Częściéj jeszcze wdawał się on w poufałe kumoszek rozmowy, lub słówkiem ochoczém zachęcał rzeźką młodzież do zabawy — to znów własny koncepcik do uwag i żartów gospodarzy dorzucił, a taki zawsze koniec końcem szklenica była w robocie. — Gdy zaś jaka pańska kolaska lub bryka wąsatego dzierżawcy czy ekonoma jego próg gościnny mijała, powstawał jak długi, a zręcznym zamachem ściągając z głowy rogatą czapeczkę kłaniał się nizko na znak znajomości i uszanowania.

Ktoby wszakże sądził, że Bartłomiéj Pędzlewicz przy tylu rzadkich zaletach opływał w rozkosze niepomięszanego szczęścia, oj, gorzko by się mylił. Wprawdzie znał on na wylot stan serca wszystkich młodych na całą milę wkrąg wiejskich piękności, kojarzył stadła, godził swary sąsiadek, stawał za kuma, itd., słowem czy komu zabrakło tego czy owego, czy potrzebowano porady, karczemnego godła, obrazu świętego lub świętéj patronki, ba! nieraz nawet i cyfry do siurpryzy i transparentu na imieniny pana Dzierżawcy, zawsze nie na próżno się udawano do naszego Pędzlewicza. Aleć we własnym domu i we własném sercu miał on mola, piłę, gryzigłówkę — słowem taką sekutnicę, która znieść nie mogąc téj to właśnie mężowskiéj popularności, z któréjby się rad niebożątko nadymało, berło panowania raz silnie ująwszy, z nieugiętą wolą je dzierżyła w swéj dłoni, przedewszystkiem usiłując małżonka bądź co bądź, choćby za włosy, wciągnąć wprost do królestwa błogosławionych, ominąwszy nawet ów straszny czyściec, o którym z malowideł jego powzięła jak najdokładniejsze wyobrażenie. To też nasz Bartłomiej stwierdzał własném codziennem doświadczeniem tę wielką prawdę, iż powodzenie i sławę u ludzi, nieraz domowem szczęściem okupić trzeba. Tym razem wszakże zdawszy na wiatry wszystkie swe troski w najlepsze z sąsiadami rozprawiał. —

— A cóż pszeniczka panie Kubo? — będzie kołacz téj jesieni dla waszéj dziewki! Ja choć mi z łaski Boga idzie piąty krzyżyk, przyrzekam stanąć z panną młodą do Krakowiaka.

— Co waść tam prawicie panie Bartłomieju! dziewczynie jeszcze nie czas, niechno wprzód w domu popracuje, niech się około matki przyuczy, dopiero zobaczymy! —

— Ej, te nauki to same z siebie przychodzą jak potrzeba — a patzcież no jak pokraśniała, z daleka kieby malina, tak, tak, te nauki to nie malarka kumo, to nie malarka!

— Panie Bartłomieju — zagadł inny wieśniak — popatrzcie no tam, coś się zbiera jakby na deszcz, a potrzebny, byleby tylko bez nawałnicy i gradu, od którego uchowaj Boże!— co waść o tem sądzicie?

— Prawda, panie Macieju; przeklęte licho w małym palcu prawéj nogi od samego rana djabelnie świdruje, co będzie to będzie i nie żart! — Aleśmy dziś za księdzem proboszczem po wotywie w czasie suplikacyi spiewali wszyscy: od piorunów i gwałtownéj niepogody, zachowaj nas Panie! — To i nie mamy czego się bać, choć się to tam chmurzy gdyby czoło naszych gospodyń, jak im co nie w smak.

— Z waszem przeproszeniem — ozwała się czupurna jakaś babula — mówcie o swojéj kiedyście tacy mądrzy, a nas zostawcie w pokoju.

W czułą stronę ugodzony Bartłomiéj, drapiąc się w głowę, szukał odpowiedzi, całkiem już wybity z konceptu, zwłaszcza że niedowierzając zaspakajającym jego argumentom, w obec gromadzących się chmur na horyzoncie, starsi gospodarze nieczekali nieszporów, siadali na wózki z kobietami swemi i ruszali do domu — a i młodzież zaczęła się oglądać kiwając głowami — plac wyraźnie się wyludniał — wtém pod nos wprawny biednego artysty, zaleciała woń doskonałych zrazów, w których przyrządzaniu exkucharka zdawna uznaną była arcymistrzynią; na tak miłe zachęcenie niby niechcący powstał i wsunął się do domu pod pozorem zapalenia, fajki — bodajby już lepiéj żart mimo uszu puściwszy, gadatliwéj kumoszce dotrzymał był placu!

W kuchence stół chędogi, podłoga czysto umieciona

szeregi lskniących się rynek, rądlów i garnków na półkach, świadczyły o walności gospodyni — a głos jéj w ustawiczném ćwiczeniu dosięgając co najwyższych tonów, przekonywał ze szkodą zbyt delikatnych uszu, że nią była całą gębą. W chwili największego ferworu, dał się za nią słyszeć słodziutki głosik powoli na palcach skradającego się pana Bartłomieja.

— Zrazy, zraziki...

— A waść tu po co? — było miłe przywitanie słodkiéj połowicy — zwietrzył jadło to już mu zaraz i wleźć; a tam kieliszki i szklanki schną tymczasem — albož to ja na to krwawo pracuję, żeby waści jak mówi ksiądz proboszcz *pieczone gołąbki leciały do gąbki*?

— A zaraz na mnie z góry! — dzisiaj przynajmniéj wstydziłabyś się serdeczna Magdusiu — przełożył małżonek ze wszelką przyzwoitością.

— Oj, wstydziłabym się, wstydziła, to prawda! Ale Bogu dzięka nie za siebie. A gdzie waszeć byłeś? brat za brat z chłopstwem; co raz to panie Bartłomieju, panie Janie, panie Mateuszu, hę? A mówiłam już raz na zawsze, że to ludziom naszego stanu nie uchodzi.

— Czy Jan, czy Jędrzéj, czy Piotr czy Paweł, wszystko to jedno — Kuba zaś taki człowiek jak i Bartłomiéj mówi także ksiądz proboszcz, zwłaszcza żeśmy dziś wszyscy podobno byli u spowiedzi świętéj.

— A! to waszeć tu przychodzisz żeby mi leźć w oczy i jeszcze ze spowiedzią wyjeżdżasz? Kiedyś tak skory do poprawy patrzałbyś siebie samego. Miły Boże, takież to serce, taka wdzięczność tych ludzisków.

— Magdusiu moja jedyna... ja nie dla tego to mówię... za cóż bo tak zaraz się gniewać?

— Trzebaż było zaślepienia, jakiego Bóg na mnie za cudze grzechy chyba dopuścił — kończyła rozżalona małżonka — abym dla gładkich waścinych słówek, coś

mi jakby wąż jaki zapuścił w ucho, odmówiła organiście! — Z tym to święte byłoby życie! z alteracyi przez dwie niedziele niemógł śpiewać! — wszystko to na waćpana sumieniu!

— Och! prawdać to prawda! ależ srodze za to pokutuję! —

—A! pokutujesz? doprawdy? — przerwała — z coraz to wzrastającym zapałem — patrzaj go! A kto dom oporządził? kto się ochędóstwa na starał? kto na nogach od wschodu aż do zachodu słońca? kto ni we dnie ni w nocy niema wypoczynku? Ja, wszystko ja! a waszeć co? w nocy chrapiesz jak wół, a dzień cały dukwiesz nad malowidłami za które nikt nieda i złamanego szeląga, nie tylko trzech groszy — w piecu niemi podpalę, zobaczysz!

Na tę ostatnię groźbę do reszty struchlał nieszczęśliwy artysta któremu tym razem bardzo wybaczony gust do zrazów nie poszedł w pożytek; pani Pędzlewiczowa była w wenie wymowy i kto wie do czego by jeszcze przyjść mogło, gdyby klask z bicza i turkot powozów wczas nie położył końca tej małżeńskiej scenie.

— Hola! ho! panie gospodarzu, pani gospodyni! cóż u licha, niemaszże tu nikogo? — Dał się wnet słyszeć donośny głos podróżnego.

— Matko wielkiego Miłosierdzia! idę, idę — ozwała się pani Magdalena, a zwracając się do męża: i czegóż stoisz safanduło, gdyby słup soli, Boże odpuść! czy w ziemię wrosłeś?

Biedny Bartłomiéj niedał sobie powtórzyć słodkiego pytania — rzuciwszy raz jeszcze tęskne spojrzenie na dosmażające się zraziki, wyleciał za próg zapominając i o małym palcu prawej nogi, rad że skurę całą unosi na grzbiecie. Wkrótce też i małżonka niedowierzając jegó talentom spiesznie świątecznym czepkiem przykry

ła rozczochraną nieco głowę, chustkę jaskrawą zarzuciła na plecy i pośpieszyła na ganek.

Okurzony powóz stał przed domem, a służący w barwie dobywał zeń pudełko w którem wprawne oko gospodyni przeczuło z pewnym niesmakiem prowizye podróżne; zoczywszy wszakże i bryczkę, a w niej rozpierającego się z hardą miną kamerdynera, bardzo trafne ztąd powzięła wyobrażenie o wysokiéj godności nowoprzybyłych, a więc w jak najwyśmienitszem ich przyjęciu nieszczędziła trudu; aż biedny Bartłomiej gdzieś w kąt zaparty i do reszty wszechstronną przewagą połowicy swéj zbity z rezonu, dziwował się w duszy zkąd jéj się brały te wszystkie talenta — i zmalały głębokiem przekonaniem o własnéj niższości, z zupełną pokorą skłaniał kark swój pod żelazne jarzmo.

Pani Magdalena tymczasem uprzejmie otworzyła gościnne pokoje, których ściany zdobne w utwory jej małżonka, wywołały uśmiech na usta młodszego z podróżnych. Był on wzrostu miernego, lecz udatny i zgrabny — pomimo bladej i znużonéj twarzy niezdawał się mieć nad lat dwadzieścia kilka; włosy ciemne w lekkich pierścieniach spadały na wyniosłe czoło — brwi równe ocieniały powłóczyste oczy, rudawy wąsik nie do zbytku przysłaniał usta po których zwykle cień jakiejś ironii się błąkał, a ręka zniechcenia zwieszona na czarnym jedwabnym temlaku, całej osobie młodzieńca dodawała jakiegoś tajemniczego uroku. Towarzysz, dobrze starszy, barczysty, krępy, ogorzałą twarz z kurzu i potu ocierał, podczas gdy pierwszy ziewając wyciągał się na twardej, domowem płócienkiem obitéj kanapie — a nieprzysiadłszy nawet, ruszył znowu na dwór aby powozy i konie obejrzeć, ludziom zaś wydać stósowne zalecenia i rozkazy. Jego też to głos przebił się był przez piskliwe krzyki pani Magdaleny nowy i zbawienny nadając kierunek jej zapałowi.

Zaledwie słońce przekroczyło południe, aliści ranne przepowiednie zaczęły się ziszczać. Kłęby szarych obłoków co się od rana uwijały po niebieskiem sklepieniu, skupiwszy się oblekły widnokrąg groźną oponą — biedne jaskułki niespokojnem świergotaniem zwiastując burzę nieśmiało krzyżują się w powietrzu, a jeśli która wzbije się w górę na chwilę, to wnet przypada do ziemi i skrzydełkiem muska jéj powierzchnię. Coraz ciemniéj i straszniej na Bożym świecie; coraz szerszą ławą, bliżéj i bliżéj, ponad głowy pędzi czarna chmura, we wzdętem łonie kryjąc pocisków tysiące. Jeszcze z góry słońce przypieka skwarnym promieniem, a już zdala głuchy grzmot przeciągle huczy — wszystko się chowa, wszystko szuka schronienia; lecz nim głośno wybuchnie burza, śpi powietrze, śpi natura, tym to snem ciężkim, straszliwe zbudzenie się poprzedzającym.

Tymczasem od Kielc sunie się kareta, za nią stare koczysko z fraucymerem, daléj bryka ład wna z pościelami i wóz z kuchnią, wyglądając rychłego schronienia przed wiszącym po nad głowami postrachem; już widać zdala białe wieżyce kościoła a w koło garnące się pod ich straż i opiekę rozrzucone domki mieściny — chwila tylko a zdążą do niej podróżni. W tem nagle szum powstaje w obumarłéj przyrodzie; drzewa się wstrzęsły, pochyliły, podniosły znowu i nareszcie wierzchołkami poorały ziemię — potężny wicher skruszywszy kajdany rozpuścił swe wodze; zwir, piasek porywa z gościńca, a miotając rudemi kłębami na wszystkie strony, zasypuje oczy ludziom i koniom, zrywa płaszcze, kapelusze — wywraca, niszczy, pustoszy, swawoli! — Błysnęło złotym łańcuszkiem od góry do dołu — i wnet grom straszliwy przeraził powietrze; za nim tuż drugi, trzeci i czwarty; niebo gore — błyskawice, pioruny, padają bez przerwy — kroplisty deszcz jakby gradem

ćwiczy podjęte szkła karety a w środku słychać krzyk przerażenia:

— Pawle! stój, stój, dla Boga!

Ale poraz pierwszy w życiu, stary Paweł głosu swéj pani nie słucha; co więcéj, niezważając na niebezpieczeństwo, pędzi czwałem ku płonącéj ogniem błyskawic mieścinie.

— Stój, stój powiadam..... a Słowo stało się Ciałem!..... Znowu grom zatrząsł niebem i ziemią — a w tejże chwili kareta stanęła przed znajomym nam domem Bartłomieja Pędzlewicza.

Panią Wojewodzinę z całym przyborem relikwiarzów, loretańskich dzwonków itd. wniesiono napół martwą z przestrachu; tuż za nią wyskoczyła Ida zlękniona lecz rada niemal zdarzeniu, które wykryło słabą stronę osoby grzeszącej w jej przekonaniu zbytkiem jakiejś wyrozumowanéj doskonałości. Pani Wojewodzina bowiem co się nigdy nieuniosła czułością ni gniewem, truchlała na widok chmurki, bała się grzmotów — a nawet drogi, gór, mostów i koni; i w takim razie nie będąc już panią siebie, uczyła nas swym przykładem że słaby z gruntu człowiek, nędznej swéj natury przerobić nie w stanie, chociażby nawet pokonał w sobie niektóre jéj popędy, jeszcze się ze zwycięztwa nadymać nie może— gdyż nieraz poruszenie uprzedzi wolę, jak gdyby na przypomnienie nam że i ją nawet nie z siebie mamy.

Damy nasze, wprowadzone do gościnnych pokoi, zastały w nich już okiennice starannie zawarte, na czem jednak nieprzestając pani Wojewodzina wsunęła się w kąt najgłębszy, a zakrywszy twarz szalem i rękami, gotowała się tak czekać aż przeminie tyle na nerwy jéj działające powietrzne wzburzenie. To wcale nie było po myśli Idy, która w bezpiecznem już będąc schronieniu wspaniały widok burzy przekładała nad ciemnośc egipskie w których się znajdowała. Po rażącem zwła-

szcza oko ogniu błyskawic zrazu nic a nic w pokoju pani Pędzlewiczowéj rozeznać nie mogła i na oślep prawie na pierwszem lepszem krześle co się znalazło na drodze usadowiwszy się, ciemne swe oczy w czarniejszą jeszcze przestrzeń przed sobą wlepiła — Wkrótce wźrok oswojony zaczął rozróżniać przedmioty.... i zdało się jéj że około przeciwnéj ściany coś się poruszyło, coś zaszeleściało — wytężyła oczy i... dostrzegła tym razem jakby zarysy kanapy — na tej kanapie niewątpliwie ktoś leżał, a nie opodal na stołku druga jakaś siedziała figura — straszno jej się zrobiło — nieśmiała prawie odetchnąć, tylko się nieznacznie przysunęła do Wojewodziny i rada była niepatrzeć w tę stronę.... ale jakiś magnes wciąż jéj otwierał powieki — zdawało się jej że z tych ciemności wprost na nią wychodzą jakieś wilcze oczy i wnet tuż, tuż nad kanapą zabłysną — o nieba! przez szpary okienic mignęła jasność błyskawicy i w tem przelotnem mgnieniu, dwa spojrzenia niespodzianie schwytane na uczynku, jak dwa promienie z przeciwległych krańców, spotkały się i roztrąciły w chwili zetknięcia — Ida oko w oko spotkała się.... nie z wilkiem jednak — oczy co ją ścigały były kształtne, były ciemne i nie drapieżnego wyrazu... a jednak ich się zlękła! — Błysnęło znowu!... Ale czy na nią kto patrzał, Ida tym razem nie wiedziała, bo twarz rękami miała zakrytą — zadrżała tylko, zadrżeli wszyscy! okna, drzwi, stołki, szafy pani Magdaleny, malowidła jej męża wiszące na ścianach i same ściany się wstrzęsły — wszczął się gwar pomięszany — wpadł ktoś do izby wołając: „pali się! piorun w karczmę uderzył!“ — „Ratujcie się! ratuj nas Boże!“ — dały się zewsząd słyszeć wołania i pani Wojewodzina zachowawczym instynktem pędzona, niepomnąc już burzy leciała bez przytomności — za nią Ida ledwie zdążyć mogła — za Idą pośpieszał młody nieznajomy.

— Do plebanii! — zawołał ktoś jeszcze — i wkrotce skromna izdebka sędziwego proboszcza, która stara jego gospodyni od początku burzy starannie wykadzała święconemi na Boże Ciało ziółami, napełniła się niespodzianemi gośćmi. — Nadbiegł i dwór pani Wojewodziny; przezorny Paweł nieodkładał koni i na pierwsze hasło pożaru wyruszył ze stodoły wraz z całym taborem. — Grzmiało ciągle w powietrzu, a dom biednego Bartłomieja gorzał jak świeca. W mgnieniu oka płomienie objęły dach cały, nie było ratunku! ledwie jaki taki sprzęcik ocalić zdołano! — Z łaski uczynnych sąsiadów kuferki i skrzynki, zedle i ławy, jedne za drugiemi leciały przez okna. Pędzlewiczowa straciwszy przytomność wybiegła unosząc jakiś potłuczony czerep, zamiast skarbonki z zaklętemi talarami, dopiero opatrzywszy się po czasie, z jękiem rzuciła się na powrót.— Dach się już dopalał, rozżarzone krokwie i belki z łoskotem się waliły jedne po drugich, rozrzucając daleko palące się głównie i kłęby gorzkiego dymu. Bez widocznego narażenia się na śmierć prawie pewną, nikt niemógł wniknąć w tę otchłań — zaczęto wołać na gospodynię — lecz ona znikła z ogniem i dymem. — Bartłomiej z innéj strony zajęty gaszeniem, krzyk usłyszawszy rzucił wiadro i drabinę, a niewidząc żony jak szalony skoczył w płomienie.

— Panie! miej litość nad duszą jego — zawołało kilka głosów.

— Czy oszalał? — wykrzyknął splunąwszy podchmielony nieco parobczak — Wolałby Bogu dziękować że się niewinnym sposobem mógł pozbyć jędzy przeklętéj!

Wnet kilka głosów sfukało mówiącego:

— Alboć to śmierć i żona nie w niebie naznaczone? wtrącił jeden.

— Alboż to się godzi radować ze zguby duszy chrześciańskiéj? — dorzucił drugi.

— Oto lepiéj zginąć im nie dajmy! — zawołał trzeci — kto w Boga wierzy, za mną!

Ale zaledwie domówił, resztki dachu osunęły się z łoskotem — przez okna buchnęły płomienie — kilku śmielszych co się na to ostatnie wezwanie było posunęło naprzód, wstrzymało się i cofnęło. Już biedny Bartłomiej zginiony! już mnodzy przyjaciele boleją nad jego stratą, pod obłoki wynosząc poświęcenie — gdy tymczasem on osmolony, okopcony, jak mara wychodząca z piekła, ukazał się z przeciwnej strony, dźwigając swoją zemdloną Magdusię.

— Pan Bóg niechciał zguby grzesznego człowieka— zawołał składając drogi swój ciężar w miejscu bezpiecznem i znużony sam się opuścił na ziemię, spokojnem już okiem patrząc jak płomienie pożerając cały jego dobytek, dokonywały dzieła zniszczenia.

Tymczasem burza nieco się uspokoiła; wtenczas dopiero pani Wojewodzina zaczęła witać proboszcza, przepraszając go za najście uczynione na jego plebanię. — Staruszek dziękował pokornie za zaszczyt jaki go spotykał, a turbując się ze niema czem godnie przyjąć tak dostojnych gości, prosił by przynajmniej niewzgardzili filiżaneczką kawy, którą właśnie na tacy wnosiła gospodyni, ze śmietanką i sucharkami — Pani Wojewodzina naturalnie z uprzejmością właściwą polskiej matronie odpowiedziała na to wezwanie, po czem obejrzawszy się do koła wpatrzyła się w nieznajomego młodzieńca i zawołała zdziwiona:

— Być że to może? książe Włodzimierz?

— Pani Wojewodzina, dobrodzika! — odrzekł ten nawzajem witając matronę z uszanowaniem.

W tem nadbiegł i drugi podróżny a Ida zoczywszy

go zbliska i przy dziennem świetle, zawołała ledwie oczom swym dowierzając:

— Wszak to pan Franciszek!

— A! i panna hrabianka tu!

— Zkądże ta znajomość? — zapytała trochę zdziwiona Wojewodzina.

— O, z dawnych, bardzo dawnych czasów — odrzekła Ida uśmiechając się i rumieniąc na wspomnienie poczciwéj Łowczyny.

— Nosiłem hrabiankę na rękach kiedy miała dwa lata i potem miałem szczęście widywać ją nieraz — wtrącił pan Franciszek z przyzwoitem uszanowaniem.

Tu w kilku słowach nastąpiło wytłòmaczenie stosunków matki pana Franciszka z rodziną Idy — a pani Wojewodzina która zwyczajnie pani z pań, umiała czcić i cenić wierność i zasługi, łaskawie odpowiedziała na niski ukłon pana Franciszka. Złe on wszakże nowiny przynosił młodemu księciu — pożar wszczął się był od stodoły i to z taką szybkością, iż z niemałą biedą zaledwie zdołano uprowadzić z niej konie, powozy zaś wyprzężone stały się pastwą płomieni, zaledwie z nich kamerdyner z narażeniem się własnem uśpiał wydobyć szkatułkę i potrzebniejsze rzeczy.

Młodzieniec w widocznym był kłopocie; gniewać się nieśmiał — ale nie wiedział co począć — co widząc pani Wojewodzina ofiarowała mu miejsce w swojej obszernej karecie, pod warunkiem aby u niej na wsi chciał czas niejaki wypocząć; ma się rozumieć że ofiarę przyjęto bez ociągania się, nawet z wdzięcznością. Dopiero nastąpiło przedstawienie księcia Idzie, skutkiem czego, a może też jeszcze i z innych jakich powodów dość prędko zawiązała się znajomość.

— Ależ mój książe — zaczęła pani Wojewodzina powiedz mi proszę, jakim dziwnym trafem tuśmy się spotkali!

— Najszczęśliwszym w świecie ponieważ mi nastręczył tak miłą niespodziankę!

— Najszczęśliwszym?..... wtrąciła Ida — przynajmniéj nie dla wszystkich! ci biedni ludzie — dodała wyglądając okienkiem — ci biedni ludzie zapewne wszystko stracili!

— Gdybyś pani raczyła przyjąć pod swoją opiekę małą ofiarę którą dla nich złożyć umyśliłem, podwójnejby przez to nabrała wartości.

Ida się zarumieniła — było w tonie, w całéj osobie księcia, coś co ją raziło — chciała coś odpowiedzieć, ale ją pani Wojewodzina wybawiła z kłopotu.

— Oto co się nazywa mówić *en galant chevalier!* przez grzeczność dla dam zapominasz mój książe, że szanowny proboszcz najlepiéj ci w tym dobrym uczynku dopomódz jest w stanie.

Książe skłonił się ugryzłszy się za język.

— Chciéj téż przyznać mój książe — kończyła daléj Wojewodzina tonem bardzo łaskawym — iż trzeba było chyba tak dziwnego zrządzenia, aby cię przyprowadzić do domu twojéj staréj krewnéj.

— Przyznać mogę to tylko, iż będąc jeszcze słabym i do niczego niezdatnym, nieśmiałbym w takim stanie umyślnie stawać przed nią.

— Powiedz raczéj, że bałeś się perory i słusznie — ej, ej, mój książe! Otóż za karę musisz mi teraz wytłómaczyć, co znaczy ta obwiązana ręka?

— Ale... znaczy, znaczy... *une affaire d'honneur*, dla któréj właśnie doktorowie skazali mię na zagraniczne wody...

— I posłuszny radom doktora jakby spowiednika, poddałeś się wyrokowi bez szemrania, nieprawda? Chciéjże pierwéj u mnie odsiedzieć rekollekcye, choć to zapewne nie wchodziło w skład recepty.

Książe odparł wesoło — żartował ze wszystkiego, nawet z burzy, gdy przeszła, przyznając wszakże że jest bardzo nerwowy, szczególniéj od ostatniéj choroby, i znieść nie może ognia błyskawic i huku gromów niebieskich, podczas gdy strzały ręką ludzką kierowane, żadnego na nim nie robią wrażenia — że się zresztą téj słabości nie wstydzi ani zapiera, bo ją ma po matce i najgodniejszych swoich krewnych. — Tę przymówkę mile przyjęła Wojewodzina — a w tém oznajmiono, że wszystko do odjazdu gotowe. Wojewodzina hojnym datkiem w ręce proboszcza zasiliła pogorzelców, a podziękowawszy słudze Bożemu za chwilową gościnę, i przekonawszy się sama że chmury rzeczywiście przeszły, wsiadła do karety z Idą i Włodzimierzem. Pan Franciszek wkręcił się do starego kocza i wszyscy ruszyli z miejsca.

Powietrze było woniejące świeżością, orzeźwioną zielonością traw i liści, a na gościńcu skropionym rzęsistym deszczem, żaden kłębek kurzu się nie wznosił. Szybko się obracały koła, lecz prędzéj jeszcze leciały myśli podróżnych! Jakby przez wspólną umowę milczeli wszyscy, znać każdy w innéj był stronie — kędy bujała Ida? — Jakiego rodzaju były uczucia, których doznawał Włodzimierz? i czy rzeczywiście doznawał jakichkolwiek? z pewnością powiedzieć nie możemy. — Wzrok jego często zwracał się na Idę — cóż dziwnego? naprzeciw niéj siedział — przygryzanie wąsa zdradzało jakieś zaprzątnienie wewnętrzne — cóż prostszego? mógł myśleć o nowym powozie, o mitrędze i opóźnieniu, o Karlsbadzie wreszcie. — Ale w tym wzroku, w tém zamyśleniu, może bieglejszy badacz i znawca serc ludzkich wyśledziłby co więcéj — my czekajmy, a z kolei starajmy się z nim bliższą zabrać znajomość.

Jeszcze przed nocą stanąwszy w pięknéj wsi pan Wojewodziny, książe wezwał do siebie pana Franciszka,

a dawszy mu polecenia rozmaite, powiedział wreszcie uśmiechając się jakby od niechcenia:

— Cóż przecie myślisz o naszéj przygodzie?

— Myślę Mości książe, że moja matka czasem bywa prorokiem.

— Twoja matka istna czarownica! z tém wszystkiém możesz jéj to zawieźć... od siebie!

To mówiąc zciągnął z palca kosztowny pierścień i podał go panu Franciszkowi. Powiernik skłonił się nisko, hojnemu panu życząc dobréj nocy.

IX.

W panu Franciszku poznał już tedy czytelnik owego syna poczciwéj Łowczyny, o którym nawiasowo wspomniała Ida w początkach swojéj korespondencyi; wartoby się też bliżéj jemu przypatrzyć. Oto naprzód mogliśmy już widzieć na własne oczy, iż krążące w jego rodzinie wieści o faworach książęcych, zupełnie były ugruntowane. Pan Franciszek okazywał się nieodrodnym matki swojéj synem; pilny i biegły w zarządzie dóbr i dworu, sprawny w interesach, szczodry gdy szło o utrzymanie honoru swego pana, lecz baczny na każdą by najdrobniejszą jego szkodę, skrzętny przyzwoicie, akuratny i oszczędny w miarę, a przytém trochę dworak, co to i najostrzejszą prawdę zręcznie w bawełnę uwinąć i gorzką pigułkę, gdy tego potrzeba, suto ozłocić potrafi; nietylko zjednał sobie łaskę i zaufanie księcia, lecz nadto stał mu się nieodbicie potrzebnym; tak dalece, że i w téj podróży nawet, aż do granicy musiał

mu towarzyszyć, pod pretextem kilku ważnych interesów do załatwienia po drodze i baczenia na konie i ludzi w powrocie.

Trzeba wiedzieć że książe Włodzimierz straciwszy zawcześnie surowego rodzica, w najniebezpieczniejszym dla młodzieńca wieku, został był panem ogromnych dóbr i ognistéj woli — a żadnego nie widząc oporu swym huciom, wnet otoczony doradcami chciwemi własnéj korzyści, używał życia i swobody i pełną czarą czerpał ze zgubnego uciech zdroju. Pochlebiali mu młodzi towarzysze, psuły go ładne kobiety, nadskakiwały matki — a młodzieniec upojony zwodniczemi oświadczeniami, wcześnie uczył się poniewierać najszlachetniejsze uczucia, igrając z tém co jest najświętszego w świecie. Taki zaś urok złota i państwa na ziemi, że jeśli kto nawet ganił w duchu marnotrawne zbytki i swawole młodego księcia, usiadłszy za sutym stołem w pozłocistych gmachach, spijając smaczne wino z kosztownych puharów, w końcu wraz z innemi zabrzmiał w chórze jego chwalców — a choćby się wreszcie z ust jakich surowych ozwał głos prawdy, nie przygłuszyłby go wnet gwar szumnych uciech i biesiad wesołych?

Radzi towarzysze, zręczni pochlebcy, głośni wysławiacze, nie nowina to brodzącemu w morzu złota i rozkoszy, lecz o przyjaźni, o przyjaźni szczeréj, świętéj i prawdziwéj, ten tylko sądzić może kto doznał nieszczęść, przeciwności losu! mógłże ją liczyć w rzędzie swych własności, on, ze śmiertelników najszczodrzéj uposażony? — Niestety! nadto nań hojnie zlała natura swe dary, aby nie poznał iż droga którą się puścił zapamiętale, po miękkich kwiatach i różanych listkach wiodła do zgubnéj czczości i gorzkich niesmaków; lecz nie dość miał hartu i mocy nad sobą, aby się z niéj zwrócił i słodką odepchnął truciznę — rzucał się tęsknił i gniewał, ale brnął daléj i daléj.

Tymczasem dóbr praojcowskich rządy, zdane w ręce podłych najemników, szły żal się Boże! pan ekonom co lat parę niby posłużył, sześciokonnym koczem wyjeżdżał obejmować świeżo nabyty majątek; a dziedzic niebaczny na to co się w obrębie dóbr jego święciło, byle mu starczyło na zbytki, nie znając wartości pieniędzy nabytych krwawą pracą biednych kmiotków, obracał je w dym, w kurzawę, rzucał w błoto, i całkiem polegał na umocowanych, którzy z swojéj strony, pewni obojętności pana, nie zapominali o sobie.

Do czasu wszakże dzban wodę nosi, jak mówi przysłowie — czasem małego tylko trącenia trzeba aby się oderwało ucho. Zdarzyło się, iż nadto jawnemi bezprawiami zbudzony Włodzimierz, w tę stronę nareszcie zwrócił olśnione oczy; lecz byłby je znowu zamknął niechybnie na widok nadużyć, bezładu, nierządów i wysnuwających się ztąd zmian, prac, trudów, kłopotów bez liku, których się bał nadewszystko, gdyby mu nie spadł z nieba pan Franciszek — chwycił się go téż oburącz i zdał nań ciężące mu starania, zachowując sobie tylko, w całéj rozciągłości znaczenia tych wyrazów, wolne korzystanie z trudów wiernego sługi — tego ostatniego przeto winić nie trzeba, jeźli i ta *affaire d'honneur* któréj skutkiem młodzieniec nosił rękę na temlaku, nie tyle może była honorową, jak to chciał utrzymywać jéj sprawca.

Skoro pan Franciszek otrzymał oryginalny zaiste list matki, na którym staruszka tak wielkie i świetne pokładała nadzieje, uśmiechnął się naturalnie z projektu, najmniejszéj nieprzywiązując doń wagi i byłby go wraz z listem na wieczne czasy schował do kieszeni, gdyby przypadkowa okoliczność nie zrządziła inaczéj. Przyszedłszy dnia tego jak zwykle na wieczerzę, znalazł księcia w najgorszym humorze — żeby go więc zabawić, opowiedział mu zręcznie treść otrzymanego pisma,

wszakże w sposób w niczem nieuwłaczający Idzie, dla któréj rodu tradycyonalną cześć chował w sercu i w pamięci — nieomieszkał nawet dotknąć wszystkich jej zalet, dodając przytem obojętnie że gdyby rzecz mogła była sama przez się przyjść do skutku, obu stronom możnaby powinszować. Książe się rozchmurzył, śmiał się, żartował... lecz niemniéj przeto cała rzecz poszłaby była w niepamięć, gdyby nie spotkanie oryginalne którego byliśmy świadkami.

Niepodobna wyrazić radości z jaką Łowczyna dowiedziała się o tym niespodzianym wypadku i przyjęła podarek księcia w zakład niechybnego ziszczenia jéj świetnych nadziei. Z wielkiego ukontentowania błogosławiła księcia, syna, żyda arędarza, burzę, pożar, Wojewodzinę — widziała już w rzędzie wizerunków, których się napatrzyła za młodu, portret Idy niezgorzéj figurujący w mitrze i gronostajach — piastowała w myśli przyszłe książątka, układała już dla nich bajki i rodzinne podania o przodkach, a w całém tem zrządzeniu widząc palec Boskiego przeznaczenia, nadymała się staruszka że ją właśnie Opatrzność wybrała za narzędzie do spełnienia swych wielkich wyroków.

Naturalnie daleko obojętniej wieść tę przyjęto w Topolówce, kiedy z nią zaraz nazajutrz pospieszyła pani Łowczyna — Było około piątej po południu, gdy się przed gankiem zatrzymała jéj zasłużona bryczka, a całe domowe grono powiększone odwiedzinami starszej córki z mężem i przybyłym na wakacye Bronisławem, w cieniu rozłożystych topoli przed upałem szukało schronienia. Pani domu pełna łagodnéj powagi i ujmującéj prostoty, ukształcona bez pretensyi, dobra bez przesady a przedewszystkiem rozsądna, naturalna, gościnna i szczera, z rozpogodzonem obliczem robiła małą kołderkę na drutach, zapewne w zapas dla pierwszego wnuka — obok niéj Teresa, w któréj rysach malowało się wymo-

wnie ciche zadowolenie i spokojne szczęście, zwijała moteczek jedwabiu, od czasu do czasu uśmiechem i giestem strofując męża że go trzymał niezgrabnie — młodsze jéj siostry z dzieci podrastające już na panienki, potulne i skromne, obiecujące wkrótce wdziękami dorównać siostrze, a nawet ją przewyższyć, haftowały pilnie, wszyscy zaś słuchali z uwagą jak Bronisław pełen zapału deklamował:

Sto lat mijało jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził itd. itd.

Wtém między drzewami ukazała się Łowczyna z synami — nasz lektor złożył książkę z poruszeniem złego humoru, a wszyscy staruszkę kolejno witali — podano jeszcze parę krzeseł, a gdy się towarzystwo na nowo usadowiło:

— Miarkujże pani sobie, — rzekła Łowczyna tajemniczo a jednak dosyć głośno, przechylając się ku gospodyni domu. — A nasz książe taki trafił gdzie mu trzeba było.

Pani Prościńska ruszyła ramionami śmiejąc się jak zwyczajnie z dziwactwa osoby zasługującéj na pobłażanie. —

— Jaki książe? — zapytał Bronisław.

— To nie wiesz panuleńku? — zawołała nieposiadająca się Łowczyna.

— Książe Włodzimierz *** krewny po kądzieli JW. Wojewodziny — wtrącił pan Franciszek.

— Będzie, będzie może i jeszcze czyim — dodała Starościna uśmiechając się i mrużąc figlarném niegdyś okiem.

— Jakież to zagadki? — zapytał z cicha siostry zniecierpliwiony Bronisław.

— A co pani? kończyła Łowczyna — czyż nie słusznie mówiłam zawsze, że panna Ida urodziła się na księżną panię? pani dobrodzika gniewałaś się na mnie, a ja sobie milczałam, czekałam, i doczekałam się — już co ma być, będzie — to darmo.

— Otoż masz odpowiedź — szepnęła bratu Teresa, a głośno dodała: Czy pan Franciszek czasem nie przywiózł mi listu?

Z żalem oświadczył syn pani Łowczyny, że mu żadnego pisma nie poruczono, — a matka jego dodała mrugając figlarnie:

— Pani Dobrodziko! przyznaj sama, czy czasem niewybaczono — zamilczeć?

— O kobiety, kobiety! — bąknął nareszcie Bronisław orientując się nieco — Oto ich stałość!

— Dla kogóż naprzykład? — także półgłosem odparła Teresa.

— Niby nierozumiesz!... to ta przeklęta koronacya zawróciła jéj głowę, potrzebnieście ją puścili!

— Kto wie?

— O, kobieta zawsze kobietą!

— Chciałżebyś żeby była mężczyzną?

— Przynajmniéj by na was rachować można.

— Ach!... westchnęła Teresa żartobliwie, lecz wnet dodała zmieniając ton: po cóż mamy się spierać moj bracie kochany, domyślam się o czém mówisz i dla tego właśnie znajduję, że gniew twój trochę śmieszny.

— A toż proszę dla czego?

— Boć chyba duchem świętym trzebaby odgadywać co się tam w czyjemś sercu dzieje — a to nie nasza rzecz!

— W t,m razie można było zrobić wyjątek!

— Nie widzę przyczyny.

— Ale bo wy go nie znacie!

— A czyjaż w tém wina?

— Ciekawe pytanie!

— Jeżli ci co mówił, to co innego.

— Jak żeby to koniecznie zaraz mówić trzeba!

— Przyznam się że nierozumiem twego tajemniczego bohatera — że raz jeden przyjechał, to nic nie dowodzi! że może spoglądał na nią częściéj jak na innych, że się zbliżał, rozmawiał, czyż to już zaraz brać za dobrą monetę i wzdychać doń, czekać, marzyć, pragnąć i wyglądać jak zbawienia? Jeśli miał rzeczywiście jakie zamiary, czemuż się raz, drugi niepofatygował?

— Dobraś! w parę dni zaraz wysłaliście ją do Warszawy... i pytasz jeszcze czemu?

— Warszawa nie za górami! a wreszcie..... nie grzech byłoby i o Topolówce niezapominać.

— Otóż masz!... tegom był pewien!... o Topolówce nie zapominać!... a któż wam mówi że zapomniał? Trzeba było go ośmielić... trzeba było.

— Na szyję mu się rzucić, nieprawda? — Nieco z żywością obrażonéj niewieściéj dumy dokończyła Teresa— Jeśli mam prawdę powiedzieć to się już i tak boję, czy nie zanadto mu okazano, że się podobał.... co się zaś tyczy całéj téj książęcéj historyi, przyznam ci się, że jéj wcale nie wierzę i właśnie dla tego to mię gniewa sensu w tém wszystkiém niema za trzy grosze, mogę cię o tem upewnić. Kocham poczciwą naszą Idkę, i szczerze dla niéj pragnę tego, co szczęściem prawdziwem nazwać można; gdzie zaś, jak i przez kogo je znajdzie, wszystko mi jedno — byle tylko znalazła.

— Bardzo przepraszam! z Zygmuntem tylko pozwalam jéj być szczęśliwą — jeżli nie, to sobie ze swoim miłym księciem niechaj rusza choć do antypodów — obejdę się honoru poznania Jaśnie oświeconego kuzyna — za wysokie to progi na moje nogi.

Wzrastający zapał Bronisława niemógł dłużéj się utaić przed resztą towarzystwa; pani Prościńska domyśla-

jąc się jego przyczyny, spojrzała na syna, który też umilkł natychmiast — albowiem matka jego umiała była zachować tę rodzicielską powagę, która niezawadzając bynajmniéj czułości, owszem wzmagając ją głębokim szacunkiem, dzieci i w dorosłym nawet wieku utrzymywała w obawie zasłużenia na jéj chociażby najmniejszą naganę. Zamilkł tedy Bronisław, lecz przez resztę wieczoru był strasznie kwaśny, co nie uszło uwagi poczciwej Łowczyny, która podobno po swojemu rzecz tę sobie wytłómaczyła, lecz jako osoba dyskretna i sercem oddana całemu domowi, nikomu ani nawet panu Franciszkowi, uwag swych w téj mierze nie udzieliła. Co do Bronisława, jak to często bywa w skutek dziwactwa serca ludzkiego, w końcu tak się jakoś stało, że całe swe nieukontentowanie i całą winę rzucił na tego właśnie którego sprawę popierał przed chwilą z tem większym zapałem, im mniéj słusznych powodów widział do jego obrony. Niewiedząc nic o spotkaniu przyjaciół w zamku Stanisława, gdyż Zygmunt w listach swych zawsze przyjacielskich unikał wszystkiego coby mogło mieć jakąkolwiek styczność z uczuciem jego, niemógł w gruncie sam pojąć postępowania, które mu się dosyć dziwném wydawało — i całem sercem dąsał się na siostrę, na Łowczynę, na pana Franciszka, na wszystkie kobiety — a najbardziéj na biednego Zygmunta. — „Poczekaj!“ — zawołał przyszedłszy już na noc do swego pokoju. — „Kiedyś doprawdy taki zimny, to ja cię rozgrzeję!“

Rzucają (i poniekąd słusznie) kamień na kobiety, za ich nierozważne, niekonsekwentne nieraz postępowanie, które się objawia najczęściéj w skutek chwilowego rozdrażnienia, lub jakiegoś przemijającego wewnętrznego popędu — ale zdarza się często że i mężczyzna zrobi na gorącym razie coś, czego potem żałować musi, lub

też w ociąganiu się, rachowaniu i ostrożności, czasem przeskrobie, — w ostateczności wpadamy snadnie wszyscy, tak mężczyzni jak i kobiety, bo o prawdziwe umiarkowanie, o równowagę moralną jako o coś bardzo zbliżającego się do doskonałości, w ogóle nie łatwo. Właśnie też w téj chwili dał biedny Bronisław dowód tego niezaprzeczony — bo choć dobrego serca i niezgorszéj głowy, choć mężczyzna i uczeń jagiellońskiéj wszechnicy, postąpił tu prawdziwie jak słaba kobieta, lub nierozsądne dziecko; nieochłonąwszy z niewczesnego rozdrażnienia, bez żadnych rzeczywistych dowodów, jakby jaka stara plotkarka, napisał do Zygmunta w sposób mogący zniweczyć od razu wszystkie jego zamiary i nadzieje, jeśli rzeczywiście miał jakie. To uczyniwszy zawołał na służącego, oddał mu pismo i kazał je raniutko odesłać na pocztę; sam zaś zły i zmęczony rzucił się na łóżko.

X.

Ale czas wrócić do tych którycheśmy trochę stracili z oczu, a którzy mają wszelkie prawa do naszego współczucia. Cóż się stało z Stanisławem naprzykład? co znaczył ów list którym Zygmunta wzywał do Warszawy? — Oto po owem pożegnaniu co biednéj Idzie tyle sprawiło zakłopotania, bratanek pani wojewodziny w saméj rzeczy niezwykle zamyślony, szedł niepatrząc przed siebie; gdzie go nogi niosły, i zaszedł tak do Saskiego ogrodu, zapewne machinalnym skutkiem nawyknienia. Nie była to pora przechadzki modnego świata

i Stanisław bez obawy spotkania znajomych a tym razem natrętów, gdzieś na ustroniu strudzony i zamyślony rzucił się na ławę.

Żeby pojąć to medytacyjne usposobienie; mające zaiste prawo zastanowić czytelnika, trzeba nieco się zatrzymać nad kolejami przez jakie stopniowo przechodził ten którego tu mamy przed sobą, od czasu widzenia się z przyjacielem. Widzieliśmy naprzód że się był rozstał z Zygmuntem w gotowości dogodzenia widokom ciotki, niespuszczając bynajmniéj z oka własnych materyalnych korzyści; w takiem usposobieniu przybył do Warszawy i ujrzał Idę, o któréj niedoświadczeniu i potężnym zasobie ufności w świat i ludzi, mogliśmy sądzić z jéj własnych listów. Badacz dosyć powierzchowny, nienawykły do zgłębiania tysiącznych odcieni serca ludzkiego, uczuł wprawdzie do razu wpływ jaki całą młodością młoda, całem szczęściem szczęśliwa istota zwykła wywierać na otaczających ją, z tem większą potęgą im oni sami dalsi od téj lubéj i wdzięcznéj prostoty ale osądził ją po swojemu. Widział w niéj nową i wcale miłą zabawkę... i bardzo wygodne życie w przyszłości; a żadnych nieprzewidując przeszkód do ziszczenia powabnych planów pewien prawie zdobyczy, zawczasu spoczął na wawrzynach. Pod wpływem tak pomyślnych okoliczności, wnet z przyrodzoną sobie lekkością napisał do Zygmunta, donosząc mu o pożądanym skutku mającym zapewne uwieńczyć zbawienne jego rady, przez co zabił w jego duszy ostatni promyk nadziei co się jakoś mimowolnie był zakradł i zakrył w głębinie.

Ale, niebezpieczna z ogniem zabawka! póty się motyl kręci około świécy, póki sobie nieosmali skrzydeł, i nasz Stanisław dopóty się bawił z dziewczęciem dopóki mu ono na dobre niezajechało w serce. Odkrycie to winien był nagłéj zmianie w postępowaniu Idy — a zmiany téj widzieliśmy jaka była przyczyna. Coraz więcej

céj przesiadując u ciotki, w saméj rzeczy jak słusznie dostrzegła Ida, statkował się coraz widoczniéj a w miarę wzrastającéj skłonności, słabła pewność osiągnienia celu, wzmagała się bojaźń, wątpliwość. Lecz o tem już przyjacielowi donosić nie miał czasu... ani ochoty.

Razu jednego wcześniéj niż zwykle zaszedłszy do pani wojewodziny, bo zegarek jego coś bardzo śpieszyć zaczynał z rana... za co go wieczorem u ciotki regularnie cofał, nikogo w pokojach niezastał i z salonu wszedł do gabinetu, z gabinetu jeszcze daléj — aż zajrzawszy przez szparę z lekka tylko przymkniętych podwoi, poznał że to pokoik Idy— należało się cofnąć— ale nikogo w pokoju nie było, a porozrzucane graciki tak miłym go czyniły!...na otwartem biórku leżały papiery ręką właścicielki pisane!...Stanisław sam niewiedząc co czyni, wszedł powoli...rzucił okiem na około... przypadkiem słów kilka w niedokończonym liście go uderzyło, a dostrzegłszy je ani się spostrzegł jak chciwym wzrokiem jął resztę wyrazów pożerać... prawda, źle to było! źle i nie dyskretnie— nieborak tym postępkiem zasłużył na karę, i otrzymał ją sroższą niż się w najgorszym nawet razie mógł spodziewać— nagle aż mu się zaćmiło w oczach i coś się w piersi wstrząsło, pchnął gwałtownie biórko, na którem oparta ręka zadrzała, papiery się zsunęły, a on jakby desperat mieszkanie ciotki opuścił. Przez dni kilka niewidziano go nigdzie, poczem zdobył się na odwagę by z udaną spokojnością zmyślonym interesem, wojewodzinę oszukać, Idę zaś pożegnać...na zawsze pożegnać, zimno, obojętnie, lekko...jak gdyby go to nic niekosztowało, jakgdyby o niéj nigdy ani pomyślał! Chciał ją ukarać— i myślał że ją nienawidzi! Biedny Stanisław! Czy mu się w saméj istocie snuły po głowie niedobre zamysły, za to ręczyć nie możemy— lecz dumał głęboko i niemile, gdy nie o podal prowadzona rozmowa, na którą z razu

niezważał wcale, niespodzianym obrotem wywiodła go z osłupienia, całkiem nowy kierunek nadając myślom jego.

Wiemy iż nadchodził czas kontraktowy, czas krytyczny dla wielu i że o téj porze ludność Warszawy zwiększa się niezliczoną liczbą przybywających ze wsi braci szlachty, godnych obywateli, za wszelkiego rodzaju interesami, ten dla kupna, ów dla sprzedaży, tamten dla oddania, ten dla otrzymania pieniędzy, słowem każdy dla napełnienia lub wypróżnienia cudzéj lub własnéj kieszeni, bo na tem świat fizyczny, świat dotykalny, stał, stoi i stać będzie do skończenia swego. W ulicach, ogrodach, na przechadzkach i wszelkich publicznych zgromadzeniach, pokazują się figury niemiejscowe wcale, zdradzające wiejskie nawyknienia, wiejskiego krawca, wiejskiego szewca i rękawicznika, a co więcéj wiejską ciekawość i naiwność, która *dziwi się gmachom i o wszystko pyta.* Ogród Saski o rannych godzinach zwłaszcza był zawsze uprzywilejowanem i najdogodniejszem miejscem schadzek przybyłych kontraktowiczów, którzy na świeżem powietrzu, w cieniu rozłożystych kasztanów i akacyi, rozprawiali, rozprawiają i rozprawiać będą zawsze tak żywo i głośno, iż przechodzący nawet bez najmniejszéj chęci podsłuchania spraw cudzych, wtajemniczeni bywają w kłopoty gospodarskie, stosunki rodzinne lub interesów, nie jednéj poważnéj głowy z ogorzałą twarzą i szpakowatą czupryną, któréj ręka fryzyera ni perukarza nigdy się nie tknęła.

Tak też i w tym razie od jakiegoś już czasu dwie osoby siedziały nie opodal Stanisława na najbliższéj ławce, tyłem wszakże doń obrócone że go widzieć nie mogły żwawo dyskurując.

— Proszę uniżenie! — mówił głos dobywający się z jakiegoś jegomościa imponującéj cyrkumferencyi, którą osłaniał jak mógł surdut szaraczkowy wespół z nan-

kinowemi spodeńkami i białą dobrze wymaglowaną kamizelką, ktoby się tego mógł spodziewać? dałeś mi Waćpan dobrodziéj twardy orzech do zgryzienia! Sto tysięcy! posag mojéj nieboszczki, fortuna mego drobiazgu! Ale ja się będę prawował, ja się nie dam skrzywdzić, pozwę go na sąd ludzi i Boga — ja mu to wydrę z gardła, to woła o pomstę!...

— Jużcić to i niezginie, odparł drugi zżółkły, zwiędły, z pergaminową twarzą, szaremi oczami z dziur głębokich przenikliwe rzucając spojrzenia i śmieszek złowrogi chowając w wyszarzanym halsztuchu, przestrzegam tylko że trzeba działać ostrożnie i zręcznie.

— Działajże na miłość Boską, działaj! masz moje pełnomocnictwo; tylko śpiesz się żebym nie osiadł na bruku.

— Hę, odparł stary dobywając tabakierki — nie myśl pan jednak żeby to było tak łatwem jak się zdawać może; taka tam plątanina, takie zawikłanie tych interesów, że mądrym będzie kto w nich ładu i składu dojść potrafi, ja co ich umyślnie od dawna zdaleka pilnuję, powiadam panu że trudno porządnemu człowiekowi wyobrazić sobie co się to tam dzieje, i dla tego miałem sobie za święty obowiązek ostrzedz pana zawczasu, żeby i nas czasem ta Babilona niepochłonęła.

— Ale zmiłuj się mój kochany panie, jakże do tego przyjść mogło?

— Czy to wiele trzeba? Zebrać majątek, trudno, ale strwonić, nic łatwiejszego. Ludziom wierzyć, w interesa nie wchodzić, rozchodu z przychodem nieporównywać, pieniędzy ustawicznie potrzebować, ot i cały sekret! — a koronacya! myślisz pan mało kosztowała? wiem ja jak i u kogo na nią dług nowy zaciągnął i powiadam panu że...

Tu liść zaszumiał, Stanisław nadstawił ucha, lecz

wietrzyk uniósł ostatnie słowa, doleciał go tylko ostry śmieszek mówiącego i wykrzyknik zdziwienia i zgrozy drugiego interlokutora.

— Ale ma się rozumieć, tym sposobem konanie swoje przedłużył do Śgo Jana, kończył pierwszy.

— A toż rzecz niesłychana! — zawołał drugi — taki pan co się zowie rozumny!...

— Hę, mości dobrodzieju, toż to, to właśnie! rozum pański u nas nikogo od ruiny nigdy nieochronił.

— I taki ten miły, grzeczny, uczciwy zdaje się... kończył daléj poczciwy grubulek.

— Tak jest; grzeczny... zwłaszcza kiedy się stara o pożyczenie pieniędzy... proszę pana na tabaczkę... uczciwy, rozumie się... że swoje stracił, to uczciwości nieprzeszkadza, mógł z tem robić co chciał, choć prawdę mówiąc majątek sukcessyjny... ale że fortunę małoletniéj któréj jest najbliższym krewnym i opiekunem w tę przepaść wtrącił...

— Co waćpan mówisz!

— A tak; toć przecie nie nowina.

— Jak to? sierota wychowana na pańskich wygodach i zbytkach, miałaby zostać bez przytułku, bez przyjaciół, bez kawałka chleba? boć ja to wiem jak jest na świecie! bez przyszłości słowem, bez losu, dla tego że tam ktoś kaduczem prawem strwonił i zmarnotrawił jéj dostatki? A mój panie łaskawy, gdzież sprawiedliwość?

— Hę... sprawiedliwość, tam gdzie i pańskie sto tysięcy! — wtrącił szczwany lis z satyrycznym uśmiechem. — Nigdzie, albo w kieszeni.

— Fundusz mego drobiazgu, moich biednych sierot! niech mię Bóg skarze jeżli nie uzyszczę wszystkiego co do szeląga i na ich krzywdę zezwolę!

Naturalnie! każdy to samo powie i będzie miał ra-

cyą — a więc i to naturalnie że panienka zostanie bez posagu. Ale nie mamy po co się o nią troskać; o męża, rozumie się, teraz będzie trudniéj, ale bez kąta i kawałka chleba jużci nie zostanie — ma krewnych po matce, wprawdzie nie z magnatów, ale uczciwych ludzi, u których sią wychowała — pani Wojewodzina***, u któréj teraz przebywa, bezdzietna, może w testamencie o niéj niezapomni — jest tam wprawdzie gotowy sukcessor, syn rodzonego brata! Ale to także wór dziurawy, złamanego szeląga nie zatrzyma przy duszy... niechże ich tam teraz kto skojarzy, kontrakt ślubny przynajmniéj nie zrobi kłopotu, cha, cha, cha...

Na te słowa porwał się Stanisław, któremu z gniewu krew uderzyła do głowy — pierwszem jego poruszeniem było chwycić nieznajomego za kołnierz, by mu zdał sprawę z tego co tak bezczelnie przed lada kim śmiał rozpowiadać — lecz chwila rozmysłu i widok nędznego antagonisty, powstrzymały go w zapędzie; uznał iż zamiast polepszenia pogorszyłby tem jeszcze sprawę, okrywając ją i siebie śmiesznością. Powstał zatem czemprędzéj, by nie słuchać dłużéj i śpiesznie się zwrócił ku swemu mieszkaniu. Próżnobyśmy teraz usiłowali ścigać nici krzyżujących się jego myśli — ledwie nie tyle były splątane i zawiłe ile interesa, o których stanie dowiedział się przed chwilą. Dopiero wpadłszy do pokoju i wypróżniwszy sporą karafkę zimnéj wody, zaczął cokolwiek przychodzić do siebie.

Stanisław w gruncie miał dobre serce — nie samemi zmysłami, nie samą miłością własną tylko był pokochał Idę; a choć ona teraz bardziéj niż kiedy zdawała się straconą dla niego, użalił się nad jéj losem — kto wie nawet, może pomimo straty całkowitego jéj majątku, tego pierwszego wdzięku co go był znęcił, na przekor swoim dawnym zasadom idąc za popędem serca gotów

by był z nią się ożenić... gdyby to co pomódz mogło! śmiech szatański chudego starca wciąż mu dzwonił w uszach — nie był że sam równie ubogim jak ona? Ochroniłżeby tem pana Referendarza? — Majątek ciotki choć znaczny, nie był w jego rękach... a gdyby wreszcie i tak było? ona, Ida... na to ostatnie wspomnienie; stanął mu przed oczami ów list nieszczęsny, niepozwolonym sposobem przeczytany o którym był prawie zapomniał, ujrzał przed sobą na nowo litery, wyrazy — uczuł jak po raz pierwszy całą srogość, całe upokorzenie niespodziewanego zawodu, a wściekając się na świat cały biegał po pokoju i wołał do siebie:

— Dobrze ci tak, panie Stanisławie, dobrze! — Masz czego chciałeś, masz! — Ale do trzystu bab i dziadów! tegom się, tego nie był spodziewał!... tak dobrze mi szły interesa!... to jest zdawało mi się że tak dobrze idą! — Ale bo to jakieś głupstwo... jakaś egzaltacya dziecinna... to nie ma sensu za trzy grosze... a w końcu, to być nie może!... wszakżem ją widział... dziś jeszcze, przed chwilą widziałem... nie zmieniła się dla mnie... zawsze dobra i miła, milszą była niż kiedykolwiek...a jednak, czytałem sam na własne oczy czytałem czarno na białem!... O, złości! o pioruny! — potrzebnie mi to było leźć... i wklepać się jak żak! bo się wklepałem, to darmo! — Myślałem żem ją znienawidził, że cierpieć jéj już nie mogę... a tymczasem jéj widok, jéj głos, jéj spojrzenie... Ach! dziśbym gotów przed nią upaść, tak jak głupiec jaki upaść na kolana, gdyby mnie, mnie kochała, a nie jakiegoś tam Bóg wie kogo! Żebym że choć mógł wiedzieć kto on! żebym choć miał ukontentowanie stłuc w gorzkie jabłko tego gałgana!... Ale ba!... że nie wart i jednego palca mojéj staréj rękawiczki, to nic pewniejszego — z kobietami zawsze tak! Alboż one znają się na dobrém? Albož umieją poznać się na ludziach?... bo i pytam,

kogo tam porządnego widzieć mogła na parafii? — O, to przechodzi wszelkie wyobrażenie! — — — Alboż i ci znowu! — dodał po chwili, przypominając sobie z kolei rozmowę w Saskim ogrodzie — pięknych mi naśpiewali rzeczy!... co tu począć? biedz do Referendarza? z dobrą nowiną, niema co mówić! i cóż z tego? cóż mu powiem, czegoby sam sto razy lepiéj odemnie nie wiedział? — Czekać spokojnie aż go zaczną grabić, rozrywać chudobę starca, chudobę biednéj... ej, do licha ciężkiego! tego nieścierpię!

Wymawiając jednak te ostatnie słowa, coś mimowolnego wnęciło się do duszy — ot tak, jakaś zła myśl przeleciała — ona biedna! a więc... tamto może się rozerwie, może nic z tego nie będzie... a zatém... ani mnie ani tobie! — to pociecha miłości własnéj... lecz że nie sama tylko miłość własna jak już mówiliśmy, w téj chwili sercem Stanisława miotała, wkrótce z właściwą sobie żywością przeszedł do lepszych uczuć, a rozmyślając szczerze nad tém coby przedsięwziąść należało w tym razie, zawołał wkrótce zniecierpliwiony:

— Żebyż było przynajmniéj kogo się poradzić! Czego bo ten Zygmunt siedzi tam gdzieś jak szczur w swojéj norze, jak ślimak w swojéj skorupie!... oryginał nieznośny!... Musi mi odpowiedzieć za wszystkich — innego nie widzę sposobu.

I nie długo czekając usiadł i na pierwszym arkuszu co mu wpadł w ręce, nakreślił spiesznie co następuje:

„Na miłość Boską Zygmuncie, przybywaj tu niezwłocznie; rzucaj książki, papiery, pigułki, lancety, a leć na skrzydłach przyjaźni — każda chwila droga! resztę za zobaczeniem się objaśnię ci — przyjeżdżaj, czekamy cię jak zbawienia!“

Jak już widzieliśmy, Zygmunt na to szczególne wezwanie, pożegnawszy matkę, nie bez wewnętrznego

wzruszenia wybrał się do Warszawy. Bóg wie co mu się roiło przez drogę — i nie dziw! Chłodny na pozór i zamknięty w sobie, w istocie serce miał płomienne a nawet wrodzoną skłonność do marzycielstwa — potrzeba mu było nieraz wytężenia żelaznéj woli aby poskromić lub choć głęboko utaić w sobie wyskoki nader żywéj i wrażliwéj wyobraźni — ktoby się tego domyślił? To też w ogólności z daleka nie mógł być poznany ani oceniony według swéj prawdziwéj wartości — a któż powie ile mylny nieraz sąd ludzi, wpłynąć mógł za młodu na wyrobienie się jego charakteru? Sam nawet Stanisław, chociaż towarzysz w dzieciństwie i przyjaciel w późniejszych latach, często ani się domyślił jak dotknął czułéj i drażliwéj strony serca jego. — Ale Zygmunt urazy do nikogo nie chował, może dla tego że siebie dość wysoko cenił — nawykły do poświęcenia i ofiar, w ponoszeniu i hartowaniu ducha w ten sposób, znajdując może skryte zadowolenie szlachetnéj dumy wyższym umysłom właściwéj od którèj całkiem wolnym nie był, i w tym także razie bez wahania się pospieszył z pomocą, któréj odeń żądano, pewien zawczasu, że się nie cofnie przed niczém, co się da zgodzić z prawami sumienia i honoru. Nie przypuszczał wcale aby w całéj téj sprawie coś pocieszającego dla niego być mogło — owszem, słowa: „Czekamy cię jak zbawienia!“ jakby jakie kolce utkwiły mu w sercu — wyraźnie już nie był jeden Stanisław, zatém już wszystko skończone — a los jego na zawsze połączony z losem istoty, w któréj na chwilę zabłysło mu podobieństwo szczęścia na ziemi, podwójne miał odtąd prawa do jego współczucia.

Jadąc dniem i nocą, nad rankiem stanął w Warszawie, a zażywszy parę godzin zaledwie przerywanego wypoczynku, wybrał się do wiadomego mu mieszkania przyjaciela. W miarę jak się zbliżał do kresu, serce silniéj biło, lecz tém spieszniéj postępował naprzód;

stanąwszy u celu, odetchnął, spojrzał w koło siebie potém w górę mimowolnie na okna — i wszedł do domu. Dziwiło go trochę, że Stanislaw żeniąc się, nie zmienił kawalerskiego mieszkania — zastanowiło to, że w przedpokoju nie zastał żadnego zwinnego i wygalonowanego lokaja, i nic nie zwiastowało téj elegancyi, która zwykle otacza nowożeńców wielkiego zwłaszcza świata, i małżeństwo w mniemaniu młodych głów dziewczęcych tak powabném czyni, a nawet nie jednéj po światowemu skojarzonéj parze, zrazu za szczęście prawdziwe starczy do czasu — chwilkę był w niepewności czy się nie pomylił i nie zaszedł do cudzego mieszkania, gdy głos Stanisława z drugiego pokoju dolatujący, wybawił go z kłopotu. Idąc za nim, zastał przyjaciela w niewielkim gabinecie, wylegającego się na szezlongu, z tureckim cybuchem w ustach, jeszcze w szlafroku, krymce i pantoflach — i w złym humorze, co u każdego innego z biedy za symptomat matrymonialnego stanu ujśćby mogło. Był to właśnie dzień wyjazdu pani Wojewodziny, a wysłany na zwiady *famulus* tylko co był wrócił z doniesieniem, że już opuściła Warszawę; wybaczmy mu przeto chętnie tę cierpkowatość, zwłaszcza że na widok Zygmunta z żywością zrywając się z miejsca swego, zawołał:

— A! przecież, przecież! w samą porę przybywasz — Ale, coś mi tak wyświeżony! czy prosto z wozu?

— Niedawno.... lecz pozwól, niech ci wprzód powinszuję!

— Bóg zapłać! nie ma czego.

— O, to dobre tylko w satyrze — odparł Zygmunt niebardzo zręcznie nadrabiając rezonem.

Cóż tak ozięble dziękujesz? etc. etc.

— Dajże pokój! nie w żartobliwym dziś jestem humorze, a żebyś sobie próżno głowy nie łamał, powiem

ci żem tu w téj chwili takim co do joty, jakim mię zostawiłeś *pas plus avancé que cela*!

Zygmunt osłupiał.

— Cóż się stało?... nierozumiem...

— To się stało, żem największe zrobił głupstwo słuchając was wszystkich — i kwita!

— Wytłómacz proszę...

— Ciekawa rzecz! cóż mam tłómaczyć? widzisz, słyszysz, wszakem nie po hebrajsku dotąd mówił.

— Ale... wszakżeś się ożenił! — wtrącił Zygmunt po niejakiem wahaniu się, tonem, przez który mimowolnie przebijała się świtająca nadz eja usłyszenia przeczącéj odpowiedzi — a w téi niepewności była słodycz męczarnia.

— Utrapiony człowiek! — zawołał Stanisław ruszając ramionami — I powiadają że on rozumny! a głowa twarda jak mur!

— A więc... przerwał Zygmunt z uśmiechem.

— A więc, rzecz bardzo prosta, która nam obu jednak nie przyszła do głowy — uprzedzono mnie — kochala już i kocha jakiegoś tam innego: i to z całym zapałem świeżego, dziecinnego serca, młodéj, egzaltowanéj głowy! — Ale nie o to teraz chodzi; chciałbym...

— I owszem, o to, właśnie o to, o to przedewszystkiem — przerwał Zygmunt z niezwykłym zapałem — zkądże to wiesz?

— Zkąd wiem to wiem, dość że wiem — jużcić wolałbym domyślać się czego innego!

— Ale bo ja to koniecznie wiedzieć muszę!

— A to proszę, szczególniejsza ciekawość! — No, wiem... z własnego jéj listu.... do jakiejś tam przyjaciołki od serca naturalnie — znalazłem zaczęte pismo... i...

— Przeczytałeś! — zawołał Zygmunt ledwie się posiadając.

— Cóż ci jest? niepoznaję cię na honor!

— Mówże! czytałeś, czytałeś?

— Naturalnie.... na moje nieszczęście! — Ale do trzystu... zaczyna mi się coś rozświetlać... tam do licha!... ty ją znasz?

Zygmunt nieodpowiedział.

— Znałeś ją przedemną? widziałeś przed samym jéj przyjazdem do Warszawy, w téj przeklętéj Topolówce?

— Widziałem.

— I niepowiedziałeś mi tego od razu? I pozwoliłeś mi tu przyjechać?...

— Nie takem winien jak ci się zdaje.

— Więc to ty! ty w saméj istocie!... O, tak, zapewne — poświęcenie! ofiara!... piękne słowa, piękne rzeczy dajmy!... lecz któż cię o nie prosił? kto potrzebował poświęcenia, ofiary?...

Zygmunt milczał.

— Zawsze, zawsze ten sam! a ja tymczasem... Ale ponieważ tak się mają rzeczy, jakoś to się układa — na mnie zatem kolej winszować szanownemu panu — dodał w końcu z niejakim przekąsem.

— Mój Stanisławie! — wyrzekł Zygmunt serdecznie z przepełnienia uczuć, bo mu się szczerze żal zrobiło przyjaciela; dręczyła go też zarówno chęć dowiedzenia się czegoś o Idzie; lecz przez delikatność niechcąc o nią w téj chwili pytać, dodał tylko: Czegóż odemnie chciałeś i czem ci służyć mogę?

— Nie tak pilno; — mówiłem już że się dobrze składa....

Po chwili zaś dodał z niecierpliwością: I czemuż nie pytasz o to co wiedzieć przedewszystkiem pragniesz?... niecierpię téj skrytości, tego udawania!

— Ponieważ tak dobrze zgadujesz — odparł Zygmunt z powolnością — to powiedz gdzie jest... gdzie są te panie?

— Te panie! — pani Wojewodzina wyjechała na wieś, temu kilka godzin.

— A panna Ida? — ciszéj dodał Zygmunt.

— A panna Ida — powtórzył Stanisław z dziwnym jakimś uśmiechem — gdzież sądzisz naprzykład, hę? — I zbliżając się nagle do drzwi w głębi, i z lekka je otwierając, jak mógł najsłodszym głosem do drugiego pokoju wrzucił słowa: „*Mon coeur, mon amour*, czy można? Oto nasz dobry przyjaciel pan Zygmunt...“

Gdyby był w téj chwili piorun upadł pod nogi Zygmunta, nieprzeraziłby go tyle ile ten zwrot niespodziewany — włosy dębem stanęły mu na głowie, oczy się zaiskrzyły, usta konwulsyjnie zadrżały, krew zcięła się w żyłach, — słowem pokazał się tak odmiennym człowiekiem od tego jakim go znał od lat tylu Stanisław, iż ten się uląkł skutków niewczesnéj mistyfikacyi i zrozumiał że za daleko tym razem żart posunął — w téj chwili znikły ostatki rozdrażnienia, od jakiego się nie mógł był uchronić, parsknął czem prędzéj głośnym śmiechem i biegł uściskać przyjaciela wołając: żartowałem tylko, żartowałem!

Zygmunt zrazu niemógł przemówić ani słowa, aż w końcu przemógłszy wzruszenie powiedział tylko: Niepoprawiony... to się niegodziło!

— Oho! mój drogi! takiego figla gładko przepuścić? dobryś! trzeba mi było zemsty — a teraz gdym jéj dopełnił... no, no, wstydź się, cały blady, cały wzruszony! przecieżeś mąż, i nieladajaki!... Alboż nie wierzysz? masz słowo i rękę — co więcéj, całemi siłami służyć ci przyrzekam, choć na honor... ale tak jak jest, lepiéj jest jakby być mogło! los przecie choć raz sprawiedliwszym od ludzi się okazał, co mu się nie zawsze zdarza... wszak zgoda? — Chwała Bogu! — A teraz winieneś mi wytłumaczyć jak gdzie, kiedy i zkąd

się to wzięło, etc. etc — bo do prawdy w głowie mi się kręci.

— Albo mnie się nie kręci? — odparł Zygmunt z uśmiechem — gdybyś wiedział...

— Bravissimo! widzę że *en fideles bergers* wzdychaliście do się wzajemnie, choć potajemnie lecz nie nadaremnie;... dobrze i to kiedy lepiéj być nie może.

— Śmiej się, śmiéj, niegodziwy bez serca....

— Na honor, chciałbym płakać, lecz gniewać się nie mogę — O, panno Ido, panno Ido! będziesz mi to wszystko kiedyś musiała oddać z procentem! — A dobry gust, niema co mówić — lepszy niż myślałem! bodaj te kobiety! póki żyję niechcę mieć z niemi do czynienia.

(*Dokończenie w następnym zeszycie*).

Maryan Dobrowolski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Różne charaktery krytyki — krytyka wyłączna służy za narzędzie tylko partyom. W katolicyzmie partye są zgorszeniem — krytyka niewyrozumiała i apodyktyczna chybia celu. — Zabójcza krytyka zabija tylko nieboszczyków. — Wiek dzisiejszy powinien podnieść krytykę do wysokości artystycznéj kreacyi.

Jeden to z najwdzięczniejszych obowiązków krytyki, jeżeli natrafia na utwór godny zalecenia go czytelnikom; wtenczas bowiem zdobywa sobie tarczę przeciw tak częstym pociskom wymierzanym przeciw niéj: że wyszukuje z urzędu same tylko ujemne strony; że dziesięć miejsc pięknych nieobstoi u niéj za jeden błąd; że niema żadnéj uwagi na dobrą intencyę, że dla piękności i poezyi stępiało w niéj uczucie itd.

Chociaż na te zarzuty, wtedy słuszne, (jeżeli krytyk bierze na siebie rolę wyżła wietrzącego zbiegłych murzynów) — odpowiedź jedna jest i sprawiedliwa: wytykam błędy bo szerzysz fałsz, gorszysz lub zniżasz w duchu — to zawsze niemożna policzyć do miłych umysło-

wych zajęć, tego borykania się krytyki z zarozumieniem, pasożyctwem, niedołęztwem, a często ze złą wiarą i moralném skażeniem piszących.

Jeżeli wytknięcie dokonanego błędu zawsze po czasie przychodzi — co stanowi w pewnym względzie najsłabszą stronę krytyki — to znowu ma swoje znaczenie na zdal, bo ostrzega autora, aby w podobne niepopadał zboczenia, a razem usposabia sąd czytelnika i oświeca go, otwierając mu oczy na niejedno, co mógł zdrowym rozsądkiem i czuciem potępiać, ale dowodami obalić i sformułować nie umiał.

O ile tego rodzaju krytyka jest potrzebną i użyteczną, o tyle znowu inna na nieszczęście zbyt praktykowana dzisiaj, niepomiernie się szerzy — rozumiem tu owe sprawozdania z książek, których autorowie stoją na liście skazanych na potępienie; cokolwiek też napiszą, choćby nosiło cechę talentu i pracy, bywa najczęściéj zbrudzone i sponiewierane o ile tylko można sponiewierać człowieka, podsuwając mu poziome cele, wkładając mu w usta rzeczy, o jakich nawet niemyślał, przypisując błędy, jakich niepopełnił, z umysłu tłumacząc najkrzywiéj najjaśniejsze intencye, a nawiasem podsuwając zdanie: że praca jego nic nie warta, gorsząca, że naród gubi itd.

Jeżeli autor należy w rzeczy saméj do odważnych a rozpaczliwych mierności, to niewidzę potrzeby pastwić się nad mizerną ramotą, bo publiczność sama spełni na niéj ten wyrok — przeciwnie, jeśli pisarz mający pewne wyrobione już stanowisko, a co więcéj górnie nawet chwalony przez to samo pióro, wybrany zostanie na ofiarnego kozła poruszonéj żółci krytycznéj — godziważ rzecz, aby zdzierać listek po listku z tego lauru, w który ubraliśmy go sami? Wiemy że i najwięksi poeci nierównéj wartości tworzyli dzieła; czyż nie słuszna wyrazić się o słabszym utworze z oględnością na inne, znane pochwalnie i zaszczytnie? Godziż się tytuły na-

byte talentem i pracą deptać dla jednéj słabości, a często nawet i nie słabości, ale osobistego odwrotu? — Podobne, namiętnością powodowane sądy, uwłaczają powadze krytyki, któréj wolno sądzić i rozbierać podług zasad i wyobrażeń jakie sobie założyła popierać, ale niewolno bawić się korsarskiem rzemiosłem. Można mieć zasadę katolicką, protestancko-filozoficzną, konserwatywno-tradycyjną, liberalno-demokratyczną, z wszystkiemi *ultra* i umiarkowanemi odcieniami; można do nich stósować swój sposób widzenia o rzeczach, choćby promień oka nie sięgał jak po za bardzo szczupły zakres w którym króluje zasada — można i powinno się w imie principium walczyć i na tem polu dochodzić w jakiéj zasadzie tkwi sporsza cząstka zbawczéj prawdy, przypadającéj do potrzeb, skłonności, naturalnych kierunków narodu; można być nawet w sądach swoich wyłącznym, bo jeżeli się coś ukocha, w coś wierzy, tém samém zaciąga się obowiązek stawania w jego obronie, i wytykania nieprzyjacielskich pozycyj. — Ten sposób walki o zasadę przy wykazywaniu błędnych dążności w dziełach autorów, nazywam walką regularnéj armii krytycznéj, i nic zarzucić tu nie można, chyba gdy zarzucimy przeciwnikowi źle obrane stanowisko, które dla tego samego, że źle obrane, przyczynia się do łatwiejszego pobicia go. — Lecz na nieszczęście rzadką bywa w naszym świecie krytyki rozprawa na tém polu; jedni, jakby nieśmiejąc przyznać się do swojéj wiary, bawią się tylko w harce, podkopy i miny, odkładając jeneralny szturm do chwili jakiego kataklizmu, który na pociechę świata nigdy w téj saméj formie niewraca — inni znowu, aczkolwiek walczą pod wyraźną chorągwią i jednéj hołdują zasadzie, wybierają sobie czasami przeciwników ze swojego prawie obozu i wyzywają na rękę: rzekłbyś dla niestracenia, lub nabycia wprawy. W takiéj grze, gdzie o zdobycie stanowiska nie idzie, bo pole

jedno, zaczepna strona chcąc zaimponować, ubiera się zazwyczaj w hełm, który myślałbyś że nosił sam Michał Archanioł, a teraz szanownemu krytykowi przez grzeczność pożyczył wraz z włócznią ś. Jerzego — tak zuchwale wstrząsa kitą, a tak spokojnie przebija oszczepem przeciwników, że jeszcze każe im dziękować za to, że poległszy od świętego oręża, pewnie się dostaną do raju. — Proszę mi przebaczyć tę metaforę, ale niemogłem znaleść starowniejszéj figury dla zobrazowania téj niepospolitéj zarozumiałości, jaką krytyk poznańskiego pisma przybiera względem reszty piszących, nawet jednego ze sobą koloru. Wiemy to, że wiara w zasadę, któréj się broni, a szerzy piórem, zarówno hartuje oręż, jak i podwaja siłę; lecz niewidzę znowu powodu, żeby wyjeżdżać na popis z tą potęgą, i uderzać na pismo przejęte temi samemi zasadami, tylko wygłaszanemi z nie tak wybitnym fanatyzmem wyłączności, a większem wyrozumieniem dla tych różnorodnych żywiołów rzeczywistości jaka się rozpościera na świecie Bożym, co właśnie jest wynikiem dojrzalszych przekonań opartych na próbie życia czyli doświadczeniu, uczącem tylokrotnie: *że wszelki zbytni nacisk w jednym wyłącznym kierunku, psuje najlepsze dzieła i intencye, bo sprowadza oddziaływanie, a z niem niepotrzebną, wyniszczającą obie strony walkę.*

Wystąpienie pisma katolickiego przeciw pismu tegoż ducha, niemoże się liczyć do dobréj taktyki, owszem do najgorszej, bo dyktowanéj czy zarozumieniem czy namiętnością — niewiem, ale wiem, że piórem krytyka niekierowało wzniosłe uczucie wyrażone w tym wierszu Odyńca:

„Dać wzór i radę, lub go w błędnéj drodze
„Wstrzymać, miłością, nie pychą w przestrodze“.

Prawda katolickiego kościoła wcielona w ogół narodu od dziewięciu wieków, schodzi w tym przypadku na mizerne narzędzie partyi, z czego więcéj zapewne zgorszenia dla umysłów daléj widzących, niż z listów paryskich, lub humorystycznego szkicu o Włoszce przejmującego takiem zgorszeniem poznańskiego krytyka.

Na szczęście nieśniło się dotąd u nas o partyach między wyznawcami katolicyzmu; każdemu (prawowiernemu) zdawało się że w miarę jak go łaska Boża oświéca, tak wierzy i pojmuje prawdy podawane przez Kościół. Słyszeliśmy w prawdzie o partyi *Uniwera* i *Korrespondenta* we Francyi, toczących ze sobą bój zajadły na polu wyobrażeń katolickich, ale myśleliśmy sobie, że przedmiot ich sporów daleki od nas, przynajmniéj niewiedzielibyśmy co z nim robić, kiedy we Francyi ma rzeczywiste znaczenie i następstwa; tymczasem przez niewczesne wystąpienie pisma poznańskiego w duchu bezwzględnym z apodyktyczną krytyką *Dodatku*, w którym przez ośmnaście tomów ściga najprawowierniejszych pisarzy z gorliwością tchnącą raczéj Veuillotoską goryczą niż zapałem, namiętnem uprzedzeniem partyzanta, niż dobrą radą miłującego chrześcianina— przez wystąpienie to nieumiarkowane, przebija się jakby intencya odgraniczenia swego katolicyzmu doskonałego *par excellence*, od innych katolicyzmów zapewne w jego rozumieniu mniéj doskonałych, a raczéj mniéj wyłącznych, bo nieobranych z wyrozumiałéj miłości.

Niechcę, ani powinienem podsuwać innych pobudek pismu poznańskiemu, które nasz rzetelny szacunek posiada— lecz brak dziennikarskiéj taktyki sprawił to najprzykrzejsze wrażenie, że ton podniosły nieledwo protekcyjno-mentorski względem *Dodatku* kazał się dorozumiewać jakby oburzenia w krytyku, że jakiś tam *Czas z Dodatkiem* ośmielił się być katolickim organem bez jego najwyższéj sankcyi, w skutek czego chcący, nie-

chcący sformułowała się jakaś niby partya arcy wiernych, i mniéj wiernych katolików.

Ktokolwiek wyłączności hołduje, ma dar rozbijania, a nie kojarzenia; partyjność choćby w najświętszéj rzeczy ma to do siebie, że wyrabia męty kłamstwa i niesprawiedliwości. Ktokolwiek zaś wmówi w siebie, że jest udzielnym panem wyłącznéj prawdy, już tem samem hołduje duchowi partyi. Jeżeli do tego zmierzał krytyk poznański, aby się z partyą swoją odrysował na tle powszechnego kościoła, do którego się każdy prawowierny bez wyróżnień przyznaje, tedy niepowie żeśmy mu dopomogli do tego. Dwókrotna polemika, długa jak książka, została bez odpowiedzi z naszéj strony; nie dla tego żeby argumentów zabrakło w dziennikarskim arsenale *Czasu*, lecz że przezto mogłyby się wyraźniéj odznaczyć dwie partye; a z nimi powstać polemika mogąca skompromitować sprawę katolicką w samem jéj łonie.

Zresztą *Czas z Dodatkiem* jak nawet bez pozwolenia *Przeglądu* od samego początku był zawsze wyznawcą zasady katolickiéj, tak pozostanie i nadal, ze stałem przedsięwzięciem nigdy nie tworzyć osobnego koła lub ciała w massie katolickiego społeczeństwa. Wyrzekając się partyi, musi tem samem niebyć wyłącznym, czyli niedzielić, nieosłabiać, niedyskredytować wpływu Kościoła i jego nauki, przez szorstkie odpychanie i wyróżnianie pojawów życia towarzyskiego zaprawdę niezawsze budujących, ale skłonniejszych do poprawy na słowa wyrozumiałéj miłości, niż purytańską mrukliwość miotającą pioruny potępienia.

Kto wiarę ogranicza do saméj-li religijnéj gorliwości, i nieumié tylko zżymać się na występki wieku, a potępiać lada słabostkę bez miłosierdzia — ten chybi celu, i pewnie ani jednéj rany niezagoi religii balsamem, ale każdą jeszcze bardziéj zajątrzy lub rozedrze. Sama

gorliwość bez namaszczenia miłości — to rzecz pogańska — bo i mahometanizm umié tę sztukę.

Niechciałbym aby téj nawiasowéj wycieczce, przypisywano charakter odpowiedzi polemicznèj — nie w tym celu ją zrobiłem — tylko, mówiąc o naturze i powołaniu krytyki, chciałem pokazać jak zbytnia wyłączność zasady choćby najświętszéj posunięta za daleko, fałszuje sąd nieraz zdrowy i trafny. Wszelka bowiem wyłączność, jak każde stronnictwo czyli skoncentrowana namiętność, musi być namiętne, i popełniać błędy w taktyce przez despotyczne stosowanie zasady, w skutek czego nie przyciąga i jedna, ale odstręcza i różni; szerokiego światła prawdy nie rzuca, bo widzi tylko to, co chce widzieć; nieuwzględnia, a lekceważy wszelki fakt po za jéj obrębem dokonywający się; a co najgorsza, traci uczucie prawdy i wymaga absolutnie aby cały świat przeciskał się przez jéj system jak przez dziurkę od igły.

Kościół katolicki może mieć tę wyłączność, bo sam est stróżem objawionéj prawdy i dogmatów i przyznał mu to każdy prawowierny katolik; — ale indywiduum uzbrojone w absolutną prawdę jeżliby chciało robić porządek w świecie, i wywracać wszystko, co mu nieprzypada do miary, a wywracać bez wyrozumienia i miłości, z całą pychą przywłaszczonéj nieomylności, przybiera charakter burzący, odstręcza i budzi namiętne nienawiści.

Jeśli gdzie, to w krytyce tworów umysłu i uczucia, system ten kiedy jest posuniętym do ostateczności robi prawdziwe spustoszenie — niemówię tego do krytyki poznańskiéj, bo ta umié się często utrzymywać na wodzy, a jeśli karci wybryki przeciwne wierze narodu, to słusznie — tylko tam, gdzie o wyobrażenie religijne zaczepić niemoże, a szuka zaczepki, traci równowagę, słucha namiętnego głosu stronnictwa, i nad ofiarami, które wybrała pastwi się niepochrześciańsku, bo nawet jak po-

wiada: choćby z całego serca chciała uznać zasługę i pracę, to niemoże się na to zdobyć. Przepraszam — ale tego doradzcę należałoby czasem posłuchać, bo on nietyle co wyłączna namiętność zaślepia i zdradza.

Wyrozumiałość zatem na zboczenia pisarzy z talentem, wielce się przydać może dla krytyki — ale nie ta wyrozumiałość co oczy sobie zasłania na usterki, na fałszywe kierunki, na przeżuwanie rzeczy przeżutych— tylko ta, co w naganie znajduje miarę i wagę— co ją podaje w kształcie przyjaznéj rady, a nie poniżenia, co rzeczy pilnuje, osoby nietyka. Sąd też o dziele każdem, powinien zawsze trzymać się w karbach względności, czy to w pochwale, czy w naganie. Przesada w jednem jak w drugiem nieosięga żadnego celu; a jak daleko wolno posunąć się w jednem i drugiem, niema na to prawidła, ale jest miara w indywidualnym smaku i uczuciu piszącego. Dla téj przyczyny nierozumiem zarzutu zrobionego mi przez poznańskiego krytyka żem Syrokomlę, Rzewuskiego i Trypplina, za łagodnie skrytykował. Mnie się zdawało że kiedym podniósł słabe ich strony w tonie umiarkowanym, to mi nigdy niesłużyło prawo przechodzić w ton nieumiarkowany, czyli zedrzeć z nich odblask wszelkiéj zasługi i przeszłéj i przyszłéj i tak obdartych, rzucić na wzgardę publiczną. Przecież tak Syrokomla jak Trypplin przy talencie wrodzonym, mogą przejść na lepszą drogę, jeżli uznają, że uwagi były słuszne i przekonywające, i że niemiałem chęci tak ich uderzać maczugą, żeby już niepowstali. Co do Bartłomieja Michałowskiego, podobnież wypadało mi uwzględnić niepospolitość pisarza, którego choćbyś spiorunował, cisnął na wzgardę z najhaniebniejszem piętnem — rozśmieje się z tego na całe gardło — a publiczność podzielająca oburzenie się krytyka, nieprzestanie mimo tego, z takiem zajęciem jak dotąd czytać pism autora Soplicy. Dlategom niepiorunował i niehańbił ale

spokojnie wykrywałem fałsze i złe intencye, aby niewierzono wszystkiemu co drukowane, aby czytelnik miał się na ostrożności przeciw sofizmatom, bluźnierstwom i fałszom.

Wyrozumienie koniecznie jest potrzebne szczególniéj względem autorów obdarzonych większą siłą geniuszu i talentu — jak znowu nierozumiem wyrozumienia dla płaskich mierności, które choćby przy najlepszych intencyach nie są w stanie nic dobrego zrobić, bo czego się dotkną to najczęściéj w ręku ich żyć przestaje. Pastwić się nad nimi, niewidzę potrzeby; ale też niewidzę zasługi tam, gdzie niema zdolności ani do złego, ani do dobrego. Pan Bóg w miłosierdziu swojem zapewne inaczéj sądzi ubogich w duchu, ale w literaturze popłacają tylko te przymioty, przez które literatura podnosi się i kwitnie. Jeżeli dobremi intencyami brukowane piekło, jak mówi przysłowie, zacóżby je krytyka miała uwzględniać z uszczerbkiem jeniuszu i talentu? —

Aby wyświecić ducha książki, czy on zły czy dobry, wytknąć czy kierunek jéj zgodny lub niezgodny z zasadniczemi prawdami religii naszéj, z uczuciami i pojęciami wyrobionemi tradycyą wieków — czy autor nieobraża prawdy? czy nieszczepi zwątpienia? czy niegorszy brudnemi obrazami? — wszystko to można przecież powiedzieć bardzo łagodnie, bez rzucania biednéj ofiary na madejowe łoże, bez wyklinania ze społeczeństwa wiernych, a co najwięcéj: bez dotkliwego obrażenia miłości własnéj, któréj w skutek drażliwych nerwów i żywéj wyobraźni daleko bardziéj podlegają autorowie niż inni śmiertelni.

Tylko organa partyjne, gdzie namiętności bywają skoncentrowane, nierozumieją dróg łagodnych; dla tego radbym żeby szanowny krytyk poznański niezapisywał mi téj recepty, ani sam jéj używał; bo to oręż który się najczęściéj przeciw temu obraca, co go używa.

Cóż powie między innemi na krytykę *Gladiatorów*? Czy ona mimo całego talentu z jakim napisana, zrobiła zamierzony skutek? — A przecież krytyk straszny w niéj jak który lew w opisach lwobójcy Gerarda, porwał ofiarę, połamał kości, mózg wyżarł, krew wypił — i resztki wzgardliwie rzucił hienom i szakalom... I na cóż to widowisko, kiedy mimo téj okropnéj rzezi lirnik żyje, czytają go, śpiewają, żyje między nami, i będzie długo żył w właściwym sobie żywiole melodyi gminnéj.... Tego co dokonał, co przeszło na naszą własność, co było tak cenione i po polsku i po francuzku, trudno zniszczyć jednem cięciem, choćby lwiéj siły... Nikt téż niebierze takiéj recenzyi na seryo, nie opiera na niéj sądu swego o *Gladyatorach*, tylko domysły robi, składając czy to na osobistą niechęć, czy na demonstracyę potrzebną dla popsucia szyków przeciwnikowi. — Krytyka taka wychodząc całkiem z reguł krytyki, należy tylko do nadzwyczajnych środków używanych przez terroryzm — bo do gilotyny literackiéj, która ma to dobrego, że mówiąc terminem myśliwskim, *żywi* jak zła flinta...

Przyznam się, że nieczytałem *Gladyatorów* — ale nigdy w to nie wierzę żeby Lenartowicz mógł stać się winnym tylu grzechów, a głównie, żeby zarobił na takie oburzenie się krytyki. Mogła mu się kompozycya nieudać, mógł zadąć na swojéj multance jak na surmie bojowéj, mógł błędy porobić historyczne i archeologiczne, liche rymy poklecić — ale czyż to już taki występek? I czy ten grzech jeden maże wszystkie zasługi?

Nie lękam się o autora *Gladyatorów*, bo nabój był zbyt przeładowany aby w cel trafił — ale mi żal, że tak znakomite pióro krytyczne dało się uwieść namiętności. U nas o złe nietrudno, bo ten chwast wszędzie rośnie bez zasiewu, ale zły przykład dany przez talent wyśmienity, spotęgowane przynosi szkody.

Wiem jak to trudno wyrobić w sobie wyrozumiałą bezstronność — jest to ciężka praca wewnętrzna; doskonałość absolutna nigdy się w niéj nieosięga, tylko w przybliżeniu, tak samo jak sądy nasze niemogą być ostatecznemi wyrokami, w zastósowaniu do sądów przyszłości. — Jednakowoż radbym, żeby krytyka nasza więcéj sympatyzowała z tém co piękne, jak z tém co szpetne. Ażeby odkryć błędy i niedostatki, czyli ujemną stronę — czegóż potrzeba? trochę złéj intencyi; przeciwnie, ażeby sympatyzować z cnotą i talentem, zrozumieć je, czuciem przeniknąć — potrzeba koniecznie talentu, wspaniałości i dobroci.

Wyrozumiałość i łagodność — córki bezstronności — były zawsze przymiotem najznakomitszych talentów, które pióra swoje poświęcały niekiedy krytyce.

Tu mi właśnie trafia w przekonanie jeden ustęp jaki znalazłem w jedném dziele angielskiem: *Sharp's Essays*. czytam go sobie, i uczę się: „Znałem najpoufaléj (mówi ten głęboko uczciwy pisarz) największe jeniusze ostatnich czasów, i przekonałem się że jeżeli grzeszyli, to zbytkiem wyrozumiałéj łagodności. Zawsze uzbrojeni w najdoskonalsze argumenta, umieli osłaniać cudze wady i niedostatki, przesadzając raczéj w podniesieniu niż poniżeniu jakiéj zasługi. Burke, Johnson, Fox, Pitt, Canning, Walter-Scott umieli być nawet dla mierności względnymi. — Synu mój — (mówi tenże autor) nie unoś się w sądach swych pychą zarozumienia, i nie depcz po ludziach żebyś się wydawał wyższym dla tego, żeś na powalonym nogę postawił... Wierz mi Fenelon, który ciągle przebaczał był stokroć szczęśliwszym niż Gacon satyryk; a poczciwy biskup Berkley niebyłby zamienił swego żywota za świetny, ambitny, swarliwy żywot tego doktora Swifta, który żyjąc bez serca umarł bez głowy.“

W duchu téj myśli wyrzekłem na początku: że niema przyjemniejszego i wdzięczniejszego obowiązku, jak podnosić zaletne przymioty jakiego dzieła. — Zapewne— bo wtenczas wypowiadamy tylko ten entuziazm jaki się w duszy rodzi na widok piękności we wszystkich swoich częściach doskonałéj i skończonéj. Ale na nieszczęście nie zawsze przychodzą takie książki pod nóż anatomiczny — częściéj trafiają się płody porończe i chorowite, tém gorsze, że nadęte zarozumiałością fałszu, albo w niesumiennym celu robione. W takim przypadku krytyka musi uderzyć, musi przekonać że autor na drodze zgubnéj i gorszącéj postępuje. Obwijanie w bawełnę nic tu nie warte — bo wtenczas idzie o sprostowanie błędu popełnionego w zasadzie, błędu, który może umysł zbłąkać, zgubić duszę, otruć naród. — Trafia się to szczególniéj przy książkach filozoficznych odwodzących od wiary objawionéj, dla jakiegoś systemaciku wylęgłego w głowie profesora niemieckiego. — Trafia się przy płodach literatury lekkiéj, gdzie tak często zbrodnia i występek bywają upoetyzowane, że do cichéj nie awanturniczéj cnoty nabywa się wstrętu: gdzie namiętności rozpasane zawsze mają przodek przed hamulcem powinności i obowiązku. W takich razach krytyka musi wystąpić z całą surowością, bo to jéj rzecz przestrzegać w literaturze podobnych nadużyć, iżby zaraza zepsucia nieszerzyła się do cichych ognisk domowych, gdzie zepsuty człowiek nieznajdzie przystępu, ale książka zawsze się przeciśnie. Krytyka jest tu we właściwym urzędzie, byle znowu nie była zbyt drobiazgową i lada czem niealarmowała się i jak sztywna kwakierka na lada żart i dowcip swobodniejszy, światowszy obrazek, niepowtarzała stereotypowego: *shocking*!

W średnich wiekach tak na wskróś katolickich, gdzie wiara gorąca tworzyła prawdziwe cudy we wszystkich kierunkach umysłowéj i fizycznéj czynności ludzkiéj —

nie skandalizowały nikogo tak bardzo, ani zbyt wolne pieśni trubadurów, ani powieści cokolwiek rubaszno tłuste — bo Kościół miał na to wyrozumienie, gdy krewkość odezwała się w życiu światowém głośniej niż pozwalała dyscyplina i włosienica. W „piersi nie na miarę krawca lecz Fidiasza,“ mieściło się potężne życie zarówno wielkie w cnotach i poświęceniach się, jak silne w namiętnościach — przebaczano jednym dla drugich, tém bardziéj, że wiedziano z mądrego doświadczenia, że bujność życia nieda się przytłumić ogólną regułą klasztorną. Dzisiaj przy maleńkich cnotach i maleńkich słabostkach urodziła się maleńka purytańska drażliwość zżymająca się na wszelki najzwyklejszy objaw namiętności w światowém życiu. Jeżeli w piśmie jakiem odmalowany żywo obraz spółeczeństwa z natury wzięty, ze wszystkiemi słabościami i wybrykami, jeśli opisany iaki dziwoląg natury, z resztą bardzo ciekawy — zaraz to gorszy krytykę, zaraz przykłada jak wielki plaster na zwykłe zadraśnięcie, ogromne słowa o „zatruciu ducha narodu!“

Niepotrzebna przesada, lekarstwo heroiczne nie na chorobę, ale na zwykłą słabość natury ludzkiéj i wszystkich spółeczeństw istniejących od stworzenia świata i tych co pisać będą o tém spółeczeństwie ulotne kartki. Żaden duch narodu tém się nie otruł, że w literaturze przedstawiano spółeczeństwo lub człowieka jakim jest — bo jeżeli odmalowano zepsucie, to zepsucie widać już było przed malowidłem, a zatem gdzieindziéj miało swe źródło. Czyż Juwenalis, Petroniusz, Lukrecyusz, popsuli spółeczność rzymską, czy też sami znaleźli się w powszechnym potopie zepsucia?

Ducha narodu nie trują mniéj więcéj jaskrawsze obrazki — ale go truje duch pychy i niezgody, a zatem brak miłości między ludźmi. Trują go kłótnie i poróżnienia wzniecane częstokroć w samolubnych widokach śle-

poty namiętnéj, pragnącéj wyłączność swoją narzucić drugim jak się narzuca wszelkie jarzmo — bez miłości. Widzieć to można w rzeczach wiary, szczególniéj kiedy walczący pod jéj sztandarem w imie Chrystusa i jégo Kościoła, zapominają radzi, że prawdy te święte, jeśli się nie unoszą na skrzydłach miłości i ofiary, to padają jak złe ziarno, z którego nic się nie zbierze, albo jak wiatr z którego tylko zbierają się burze. — Historya niejeden pokazała przykład w tym rodzaju — a historya to przecież mistrzyni życia. Ona nam opowiada jak tylekroć najszczytniejsze godła służące tylko za pokrywkę dumy, lub małych interesów ziemskich — sprowadzały klęski na całe narody, po których następowało wycieńczenie sił żywotnych . . . Złote słowa powiada w tym sensie Arciszewski w liście do Władysława IV: „Dawno „się już temu dziwują oczy moje na świecie, że kiedy „Bóg lekko i krótko prowincye jakie karać chce, to po- „lityczne tylko kwestye na nie przypuszcza — ale kiedy „okrutnie i z gruntu karać ich chce, to kwestye o reli- „gią d. . . . . wzniecać każe“ — a znowu daléj: „Obser- „wowałem też dawno to, że w takowych dziejach *nun- „quam agebatur de religione, sed de regione*“.

Potrąciłem o te rzeczy nie z powodów aktualnego jakiegoś niebezpieczeństwa, bo przecież u nas niema kłótni i bojów o kwestye religijne — jako w narodzie jednego wyznania — ale chciałem tylko to podnieść że i najlepsze słowo przejęte wysoką mądrością, jeżeli nie jest w czystéj intencyi i nie z miłością podane, najczęściéj przeciwny osiąga cel jak powinno było osiągnąć.

Wszystko to stosuje się do krytyki jak ją pojmuję w ogóle, do jakiéj wzdycham naprzód dla siebie, a potem dla drugich, tem więcéj że dziś krytyka literacka ma tak rozległe granice, o tyle przedmiotów i pytań różnorodnych naraz potrąca — że niepodobna poprzestawać na samych przepisach Arystotelesa, ale także

głębiéj i szerzéj sięgać w życie i niespuszczać z uwagi drobnych nieraz objawów, które przy zdarzonéj okoliczności mogłyby się zamienić w szerokie pole wypadków.

Chciałbym jeszcze sprostować jedno mylne twierdzenie o krytyce, z jakiém się spotykałem po pismach, i w rozmowie z ludźmi wykształconymi. Utrzymją niektórzy że krytyka więcéj szkodzi niż pomaga rozwijaniu się i doskonaleniu literatury, że to jest dziecko reformy itd. Tymczasem krytyka jak cień za człowiekiem, idzie ślad w ślad za tworami umysłu i byle stósowne pole do wystąpienia znalazła, występuje zaraz. Tryumf jéj najwyższy bywa wtedy, kiedy społeczeństwo stanęło u szczytu cywilizacyi — a tém samém kiedy na obszernem polu myśli i wyobrażeń doskonale uprawném przez wyższe geniusze i talenta, może zbierać przykłady, prawidła, punkta i miary porównania. Niektórzy w krytyce upatrywali symptomata upadku i zgaśnięcia ducha twórczego — lecz to sofizm bardzo gruby, znany w szkolnéj formułce: *post hoc, ergo propter hoc*. Zdaniem ich literatura, sztuki piękne, mniej rzucają blasku odkąd krytyka się wzmaga — a więc krytyka tłumi literaturę, sztuki piękne itd. Bardzo to na rękę wszystkim niedołęztwom pióra i pędzla, ale ten syllogizm nieratuje ich przecie, bo to rzecz prosta że krytyka będąc wynikiem wszystkich innych sztuk czyli powstawszy z porównania wzorów istniejących przed nią — przyszła najpóźniéj i dla tego tak spotężniała, i na równi sadowi się z dziełami kreacyi. — Z resztą i to dołóżmy, że im świat starszy, tém dziedzina krytyki bogacieje i rozprzestrzenia się; oparta na przeszłości, rośnie w miarę jak się przeszłość powiększa. Ztąd wynika że epoka nasza daleko więcéj ma w sobie pociągu do krytycyzmu, niż epoki co ją poprzedziły; — co wszakże niekaże wnosić żeby

wszelkie zródła natchnienia wyschły do szczętu — Nietraćmy otuchy, z tych krynic co wyczerpane, niech czerpią sobie ci, co nawykli lać z próżnego — genialne talenta, gorętsze dusze, będą umiały na świeższe natrafić źródła.....

Lucyan Siemieński.

LUTY

1858.

Dziesięć lat temu głos Reformy, który we Francyi stawiał barykady, wywracał tron Ludwika Filipa, ogłaszał rzeczpospolitę i wybory powszechne, przeleciał lotem błyskawicy całą Europę i zatrzymywał się na granicy państwa rosyjskiego. Pomimo całéj gwałtowności burzy, którą w przechodzie swoim wywoływał, pomimo zmian jakie sprowadzał, i zniszczenia jakie po sobie zostawiał, niezdołał przełamać w ówczas zapory ręką Samodzierzcy Wszech Rosyi wzniesionéj.

Dziś głos Reformy rozlega się swobodnie nad brzegami Newy i Wołgi; Cesarz rosyjski przychyla się do życzeń szlachty litewskiej żądającéj usamowolnienia włościan; profesorowie w Moskwie rozprawiają o zmianach politycznych i społecznych, a studenci zabierają się do pisania dzienników. We Francyi tymczasem Cesarstwo z Regencyą, Cesarz oświadcza iż „niebezpieczeństwo nie leży w nadużyciu władzy, ale w braku represyjnych ustaw“; Ciało prawodawcze uchwala te ustawy'

cała Francya dzieli się na pięć wojennych okręgów czyli marszałkostw, jenerał obejmuje ministerstwo spraw wewnętrznych, a dzienniki milczą — możnaby myśleć, że ich nie ma.....

Les extrèmes se touchent....

W zetknięciu się tych ostateczności, czyli w zestawieniu różnicy położenia Francyi i Rosyi w lutym 1848 i w lutym 1858, mieści się cała historya lat dziesięciu; w różnicy téj odbija się najlepiéj sytuacya chwilowa polityki europejskiéj.

W historyi téj epoki jakże łatwo będzie kiedyś dziejopisarzom zebrać dowody bijące na scharakteryzowanie owego spółecznego ruchu, który tak szybko w téj dekadzie postępował. Ów głos Reformy nie zmierzał ku wolności ale ku równości. Nic też prawie i nigdzie nie wypadło na korzyść pierwszéj — ale równość zyskała wszędzie; tak dalece, że ściśle rzeczy biorąc, pieniądz dzisiaj tylko różnicę między ludźmi stanowi. Nie idzie o to czy spółeczność na tem zyskała, skoro innej nierówności ludzie znosić już niechcą; a jeżeli tę znoszą, to dla tego że muszą. Prawda nienaruszalna, iż zupełnéj równości nie może być na świecie, bierze tym sposobem upokarzający dla ludzkości odwet.

Lecz Reforma chciała równości. Za nic przywileje i wiekowe tradycye, za nic historya i odwieczne prawa, wszystko to ustąpić winno przed prawem równości. Niech żyją wybory powszechne!... W obec tego godła napróżno wolność stawiała parlamentaryzm. Forma ta obok równości ostać się nie może. Bankrutuje też wszędzie. Parlamenta nie wystarczają nigdzie. Stary Albion nawet zaczyna ulegać owemu parciu któremu już cała Europa hołduje. Znikły już stronnictwa torysów i whigów, są tylko konserwatyści i liberały. Jakiż ostatni wyraz dążności tych ostatnich? Wybory powszechne. Broni się arystokracya, ale czy długo utrzy-

ma chwiejący się coraz bardziej *selfgovernment*? Anglia będzie się musiała przyznać w końcu do owej wspólności zasad jaką wyznają państwa europejskie.

W zasadach tych mieści się owa równość do któréj dąży ruch społeczny. Bo społeczność bez zwierzchności obejść się nie może. Takie jest prawo opatrzne, wypadki dowodzą tego nieustannie. Była chwila, gdzie koleje żelazne które są tak wybornym przedstawicielem ruchu społecznego w kierunku równości kosmopolitycznej, pozwalały wątpić, czy ręka zwierzchności nie okaże się zbyt krótką i słabą, aby utrzymać w granicach koniecznych ów pośpiech i liczbę? czy społeczność nie wymknie się z pod wpływu zwierzchności, słowem czy w świecie nie zmieni się odwieczny rzeczy porządek?... Lecz otóż wystąpiły telegrafy, szybsze od kolei, które wnet przywróciły zagrożoną harmonię, i społeczność dzisiejszą, jak dawniej było, pod nadzór zwierzchności poddały.

Czemuż więc państwa miały się sprzeciwiać owym dążnościom do równości, skoro te zamiast osłabiać rządy nowych im sił dodawały? Jeżeli wybory ograniczone do niepodległości wyborców, czyli forma rządu parlamentarna, może być nieraz wielką dla zwierzchności trudnością, to wybory powszechne, na równości bezwzględnej oparte okazały się być nader posłusznem w ręku władzy narzędziem. Francya dowiodła tego stanowczo. Wybory powszechne zawotowały rzeczpospolitę, potem potwierdziły zamach 2go grudnia, potem głosowały za Cesarstwem. Są prawdziwą siłą w ręku Napoleona III. Równość tak we Francyi jak w całéj Europie prowadzić musiała do centralizacyi. Rozczłonkowana społeczność istnieć nie może bez węzła. Skoro społeczność odrzuciła węzeł naturalny czyli hierarchię, zwierzchność całą hierarchię w sobie skoncentrować musiała. Państwo zmuszone było zastąpić centralizacyą, wszystkie

siły społeczne, bo zwierzchność musi się koniecznie na czemś silnem opierać. Równość, do jakiej dąży społeczność, jest tylko możliwą z silną centralizacyą.

Przy takowéj centralizacyi, która z natury rzeczy zabsorbowała w państwie wszystkie prawa i interesa społeczne, i oddała w ręce rządów cały kierunek owego ruchu usiłującego dojść do jak największéj równości przez zindywidualizowanie, a znów do jak największéj siły przez stowarzyszenie owych pojedynczych członków, nic nie było łatwiejszego jak zastósować ekonomiczne zasady, które jakby ostateczny cel społeczności wygłaszał socyalizm. Tak się też stało w całéj Europie. Utworzył się systemat solidarności interesów który jest kosmopolitycznym socyalizmem. Ujęty w karby idei państwa, i w imie państwa zastósowywany, socyalizm zmienił całkiem naturę swoją. Został po prostu administracyą scentralizowaną, która całym ruchem społeczności europejskiej kieruje i takowy organizuje. U dołu zaś, to co nazywają socyalizmem, jest po prostu rewolucya, a socyaliści w niebezpiecznem znaczeniu tego wyrazu to po prostu burzyciele. Socyalizm ekonomiczny przestał budzić w państwach obawy; rządy walczą tylko z socyalizmem który pod tą nazwą więcéj polityczne niż społeczne widoki i zamiary ukrywa.

Zanim atoli idea państwa pochłonęła w sobie ów ruch społeczny, zanim nastąpiło owe administracyjne przeobrażenie, zanim rządy wystąpiły w imieniu stowarzyszeń, przedsiębiorstw, w imieniu nawet kredytu, Rosya nie mogła usłuchać owego głosu Reformy który się w jéj granice przedrzeć usiłował. Stała też niewzruszenie przeciw reformie zapora dopóki głos wznosił się z barykad. Lecz skoro gabinety zaczęły przemawiać za postępem i zmianami w tym samym kierunku jaki sobie obrała europejska społeczność, trudniej było Rosyi pozostać głuchą na tak ogólne żądanie. Państwo

rosyjskie nie było atoli do owych zmian tak przygotowane jak inne państwa w Europie. Ani reformacya ani rewolucya nie zapuściły w Rosyi tak głębokich korzeni jak gdzieindziej. Polska z jednéj strony a z drugiéj sama schizma broniły ją od protestantyzmu; polityka zaborcza, lubo zgadzająca się wybornie z filozofią encyklopedystów, rzuciła ją w szranki jako przeciwnika rewolucyi. Protestantyzm nie podkopał przeto wszelkiej powagi, rewolucya nie zniszczyła wszelkiej hierarchii nie obaliła przywilejów, nie zatarła tradycyi, — słowem wiatr niwelacyjny nieprzeciągnął przez Rosyę jak przez inne państwa. Ruch przeto europejski w r. 1848 tak silnie obudzony, użyć musiał różnych sposobów aby ogarnąć to państwo. Posłużyła mu do dopięcia tego celu wojna wschodnia, i w tem jest dotąd jedyne rzeczywiste tej wojny następstwo. Wojna ta nie była rewolucyjną, bo już wówczas ruchem europejskim kierowały rządy; ale niemniej skutki jéj musiały wypaść na korzyść reform których ruch ten wymaga. Rosya musiała w tej wojnie być sama jedna; bo sama jedna ruchowi temu stawiała zaporę. Musiała uledz, bo tego wymagała nie potrzeba polityczna, ale potrzeba społeczna.

Ogromną więc kartę dziejów społeczności europejskiej zawiera ów okres lat dziesięciu, między lutym 1848 a lutym 1858. Jest to prawdziwa epoka w ruchu ogólnym. Na polu społecznem i politycznem wszystkie potęgi do jednego dochodzą mianownika. Rosya przedsiębierze reformy, co wykształci u niej biórokracyę i do większéj jeszcze centralizacyi zawiedzie; Anglia zagrożona centralizacyą, bo zniesienie Kompanii indyjskiej i oddanie rządów indyjskich Koronie spiesznieby do centralizacyi doprowadziło; Niemcy centralizują swój wpływ w Bundestagu, a Francya jakoby w przewidzeniu, że

sieć pojedyncza mogłaby się niedostateczną okazać, podwaja ją używając do tego żywiołów wojskowych.

Uwaga jednak europejska zwraca się szczególnie na dwie kończyny osi politycznéj, to jest na Francyę i Rosyę. W r. 1848 rozprzężenie było we Francyi; tam zapowiadano reformy. W Rosyi władza absolutna w całym majestacie oświadczała, że żadnych reform nieprzyjmie. Dziesięć lat upłynęło, a otóż rozprzężenie przeniosło się do Rosyi, a Francya uznaje potrzebę poparcia silnej już władzy nowemi represyjnemi prawami. Europa wie dobrze ile ją kosztowało owe dziesięć lat, a rezultat nie koniecznie pocieszający.

Chociaż bowiem reformy w Rosyi innym niż zwykle postępować zapowiadają torem, chociaż idą z góry i na zachowawczym opierają się żywiole, to jest na szlachcie, któż jednak zaręczyć jest w stanie, że kierunku nie zmienią? że usamowolnienie nie przedzierzgnie się nagle w zrównanie? że masy nie okażą się silniejsze od klas wykształconych?....

Podobnież i we Francyi. Któżby zaprzeczył, że osobistość Cesarza Francuzów jest ogromną dla spokoju europejskiego rękojmią? Ależ gdyby jej brakło?..... Zbrodniczy zamach d. 14 stycznia dowiódł, że chęci złych ludzi Opatrzność tylko zniweczyć zdoła. Czy środki przedsiębrane przeciw stronnictwom nieprzychylnym Cesarstwu, nie wytężają zbytnie maszyny rządowéj? Francya chętnie poniosła ofiary, jakich od niej po dniu 2 grudnia 1851 żądano, nie mówi się co do wolności jéj, ale co do charakteru i zwyczajów, bo ofiary te poczytywała za potrzebne i niejako konieczne dla wyratowania społeczności z zagrażającego jéj niebezpieczeństwa. Przedsięwzięte dzisiaj przez rząd francuzki kroki i ogłoszone ustawy wyjątkowe, nie będąż się wydawać Francyi, jakby jedynie zabezpieczenie dynastyi miały na celu? Owa lekkomyślna Francya która tyle

dynastyj od pół wieku przerzuciła, zechceż się w końcu przekonać, że dynastya jest koniecznym żywiołem silnej i organicznej zwierzchności? że dla dynastyi ofiary czynić należy podobnie jak dla utrzymania społecznego porządku?....

Odpowiedź przedstawia się tu nader wątpliwie. To też Europa, która głośno przyklaskiwała wszystkiemu co się we Francyi działo po dniu 2gim grudnia 1851, przygląda się w milczeniu na postępowanie rządu francuzkiego w lutym 1858. Z pewną obawą widzi i ową represyę we Francyi i owe reformy w Rosyi. Obawa ta odbija się i w polityce. W niej istotna sytuacya polityczna. Wszystkie sprawy są jakby w zawieszeniu.

I nie małą oddałby przysługę ten ktoby zdołał ukazać społeczności europejskiej, gdzie ją zaprowadzi w drugim dziesiątku lat droga którą postępuje, skoro po upływie pierwszego dziesiątka, Francya coraz mocniej cofa się z tego kierunku na który Rosya wstępuje.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lutym.

Miesiąc luty na dwie w tym roku dzielił się połowy pod względem swojego towarzyskiego znaczenia, na dwie połowy jak niebo i ziemia różne, a raczéj jak ziemia i niebo, bo pierwsza oddana niemal wyłącznie ziemskim uciechom, druga naznaczona na umartwienie ciała i ćwiczenia ducha. Rozpamiętywać pod koniec miesiąca, w same „suche dni“ zapustną jego połowę, i z trzeźwym umysłem a wystudzoną wyobraźnią wyliczać z pamięci kolejno każdą chwilę ubiegłéj wesołości, każdą głośną oznakę radości, któréj echo już nawet ucichło, byłoby sadzić się na wypracowanie stylowe. Są wprawdzie w dziennikarstwie odrębni referenci obowiązani zdawać sprawę dokładną o wszelkich zabawach i uroczystościach, obrzędach i obchodach, i ci udają się zaopatrzeni w listy polecające, tam, gdzie się dla nich otwiera pole popisów. Mają oni na zawołanie wszystkie programata zabaw; raporta marszałków dworskich przez ich przechodzą ręce; modniarki i krawcy zapraszają ich, aby raczyli obejrzeć z bliska ubiory i stroje mające kiedyś stanowić ważny ustęp w ich opisach, a

materyały tak przygotowane, nie wiele już wymagają zachodu i pracy, by w szczegółowe i systematyczne zamieniły się sprawozdania, które, zanim jeszcze akcya opisywana skończy się, idą pod prasę dziennikarską lub przynajmniéj pędzą parową pocztą do miejsca przeznaczenia swego.

Ale gdzież tu szukać wspomnień z nienotowanych wrażeń karnawału ubiegłego w Krakowie? jak z nieprzygotowanych materyałów skleić obraz tego, co albo się nie widziało, albo co się już zapomniało? Przebrzmiały skoczne dźwięki muzyki balowéj, pogasły światła, zwiędły bukiety świeżych kwiatów zazdroszcząc nieśmiertelności swym podobiznom paryskiéj fabryki, perły i brylanty ukryte napowrót w ciemnym futerale spoczywają niewidzialne w żelaznéj skrzyni jak skarby skąpca, biały trzewik atłasowy poniewiera się przykurzony w garderobie, a krakowska sukmana kuligowa dziwi się swéj zuchwałości, że śmiała na jedną noc ściągnąć z ramion pańskich frak Dussautoie ostatniéj mody i miejsce jego zająć.

Gdyby sny i marzenia młodéj dziewczyny pierwszy raz na świat wstępującéj, nie były tyle tajemniczemi; gdyby opowiadania rozlicznych przygód życia zapustowego przeciągające się aż do półpościa, wolne były od przechwałek, a choćby tylko od uprzedzeń miłości własnéj; gdyby każde słówko które się wymknie pośród wiru tańca, odbiło się jak telegram na stoliku sprawozdawcy; gdyby nadto pugilares brodatego ambulansowego bankiera nie przechowywał tak troskliwie pamiątek karnawałowych aż do terminu ich saldowania, — możeby się z tych różnorodnych źródeł dało uzbierać niejedno ciekawe i pouczające spostrzeżenie, mogące posłużyć za komentarz obecnych stosunków towarzyskich.

Nie mając tak jak owi sprawozdawcy wielkich uroczystości dworskich i obrzędów publicznych, na zawołanie programatów zabaw, nie będąc przypuszczony do tajemnic toaletowych, nie zostając w żadnych stosunkach z wielkim marszałkiem, wielkim kuchmistrzem i innymi dygnitarzami dworskimi balujących w Krakowie domów, ani téż z intendentami widowisk publicznych, nie postarałem się zawczasu o dokładne notatki

statystyczne, i teraz niewiem jaki porządek był tańców, na wiele osób stół zastawiono, wiele wyszło wina i jakiego gatunku, a nawet jakie stroje nazywały się *à la* tak, a jakie *à la* owak.

Co do balów publicznych i *quasi* publicznych, straciłem wszelką miarę ich ilości. Zgubiłem się w stosach afiszów różnéj wielkości, barwy i języka, z datami i bez dat, z podpisami i bez podpisów, drukowanych i pisanych, kwadratowych, podłużnych i poprzecznych, rozlepianych wprost i na ukos; a wyszedłszy pewnego razu wieczór z domu w zamiarze udania się na jeden z takich balów, zabłądziłem mimowolnie na inny, tak mi się w pamięci pomięszały nazwy ich. Nie są to bowiem nazwiska dawnych znajomych „Knotza,“ „Lubowidzkiego“ i t. p. lecz cale nowe, pierwszy raz obijające się o uszy. Tyle się bowiem namnożyło w tym roku przedsiębiorców zabaw publicznych, że rogi ulic ledwie wystarczyły na pomieszczenie ich ogłoszeń. Im bliżéj było ostatków, tém liczba ich rosła, a w ostatnich dniach zapust zdawało się, że w każdéj kawiarni, piwiarni i szynkowni, jest bal publiczny. Widocznie, że chciano się wytańcować i za styczeń, który dość cicho przeminął.

Mamże przechodzić o ile zapamiętam wszystkie zabawy, bale, maskarady, pikniki, kuligi, tańcujące wieczory, bale dziecinne i inne różnéj nazwy karnawałowe zebrania? mamże w przypuszczeniu obliczyć, ile one kosztowały pieniędzy, płuc, zawiedzionych nadziei, zranionych miłości własnych i zranionych serc? a natomiast ile przyniosły korzyści tym co pracują dla zabawy drugich, ile krwi zastygłéj rozruszały, ile obudziły nadziei, połechtały miłości własnych, ile serc napełniły roskoszą? Zyski i straty, korzyści i szkody znoszą się nawzajem: to co jeden utracil, drugi zarobił; idzie tylko o to, kto utracił, a kto zarobił.

Bale publiczne straciły od pewnego czasu dawną wziętość swoją; bo wtedy gdy Kraków w szczupłych swych rozmiarach osobnego państwa, zamknięte mieścił społeczeństwo, bale publiczne miały niemal cechę zabaw przyjacielskich i familijnych. Spotykało się na nich te same dobrze znajome twarze, które się widywało codziennie, u siebie i u drugich; a bal na który każdemu

służyło prawo wstępu, odpowiadał zupełnie instytucyom rzeczypospolitéj. Kiedy patrycyat miejski zaczął tracić przewagę, a rząd kraju skupiał się w pewnéj liczbie urzędników, ustała pierwsza myśl balów wyłącznych *quasi* publicznych a nie publicznych; bo komitet kierujący pamiętnemi trzema balami, które zakłócono hukiem petard, miał sobie powierzone rozdawanie biletów wnijścia. Republikancka instytucya balów publicznych zniknęła, i odtąd chyba cel jakowy dobroczynny łączył napowrót w jednéj sali rozbite na partye i klasy towarzystwo krakowskie. Rozbrat ten w zasadzie, nie mógł zrodzić spójni w zastósowaniu. Widziano téż na balach na ubogich, to jest na balach publicznych, odrębne na wspólnéj sali koła, które widocznie wykazywały niepodobieństwo zjednoczenia. Jedna strona niepotrzebowała już szukać popularności bezskutecznéj, druga na względy liczyć przestała. To przymusowe zejście się na jedném miejscu, nie mogło wpłynąć na ożywienie zabawy; zwolna téż i bale na ubogich upadały, a tegoroczny do zupełnie chybionych policzyć się musi. W imię miłosierdzia i dobroczynności można jeszcze zjednoczyć ludzi różnego stanu, mienia i znaczenia, ale już ich nie połączy w sali balowéj. Dobre uczynki niechaj będą same sobie celem, a nie środkiem.

Dawne ogólne bale rozpadły się na mnóstwo balików podrzędnych, gdzie w szczuplejszych kółkach, bliższe sobie stykają się żywioły. Zabawy te urządzane po największéj części przez właścicieli kawiarń, są jakby miniaturowemi odbiciami wiedeńskich Elizeów, Daumów, Sperlów i t. d.

Bale maskowe gonią już ostatkami. Maskarady weneckie utrzymywały się dotąd; Comber tłustoczwartkowy, owa maskarada krakowska, już tylko w podaniu i to niedokładném przechowuje się. Na maskaradach tegorocznych w mieście naszém przesuwało się kilkanaście, a co najwięcéj kilkadziesiąt masek, którym się przyglądała gromada widzów, przybyłych, nie żeby dzielić zabawę, lecz żeby się bawiącym przyjrzeć. Wygodna rzecz iść na maskaradę bez maski, w paletocie, kapeluszu na głowie, przechadzać się między maskami, mówić im w oczy to coby się im mówić nieśmiało gdyby zdjęły maskę, rozciekawiać się nad poznaniem osoby,

któréj nasze skrytości są wiadome, usłyszeć nawet słowo prawdy, któreby pod inną formą obrazić nas musiało. Ależ maski teraźniejsze nie obudzają naszéj ciekawości, nie pokrywają one żadnéj tajemnicy, a za to osłaniają niekiedy zbyteczną tylko jawność.

„Jak mi kto dzisiaj powie, że się dobrze bawił — dowodzi w swéj ostatniéj powieści Walery Wielogłowski — to nie uwierzę, bo o takich zabawach jakie były dawniéj, to już młodsze pokolenie nie ma wyobrażenia. No gdzież się bawiłeś? zapytam. Może chodziłeś stępa w kontradansie, alboś się utrząsł w polce? Może wśród balu wypaliłeś na schodach cygaro, bo bez tego ani rusz!“... „Przychodzisz do salonu jak wymustrowany żołnierz na paradę, i tam rozpoczynasz rolę twoją lichego aktora lub tylko figuranta. Odgrywasz dramat niezgrabnéj uprzejmości, fałszywéj przyjaźni, udanéj wesołości, obłudnego zachwytu, a sam oszukany gospodarstwa gościnnym układem, wzajem ich oszukujesz wdzięcznym twym wyrazem, i chwaląc śliczny wieczór, złorzeczysz mu wewnątrz, boś się unudził, uziewał w kącie, a utęsknił za twoją poduszką, za cygarem i za szlafrokiem, z któremi się rodzisz, żyjesz i starzejesz.“

Jeżeli ten znawca obyczajów taki skreślił obraz zabaw prywatnych tegoczesnych, to już mi nie pozostaje iść z nim w zawody. Słowa te jego są wprawdzie wstępem do opisu kuligu, a przeto przeznaczone były na to głównie, aby przeciwstawieniem uwydatnić i podnieść przymioty i zalety staropolskich najazdów zapustowych. Osłabną one wielce gdy nie będą służyły na koloraturę dla kuligów; bo i gdzież teraz szukać kuligów? Może jeszcze istnieją one w owéj Sandeckiéj ziemi, w któréj się odgrywa powieść p. Wielogłowskiego, ale w Krakowie kuligów niema, a przynajmniéj niema takich kuligów o jakich tam mowa. I zaprawdę, dobrze że ich już niema. Patrząc na niejedną ciemną stronę teraźniejszości, nawykliśmy przedstawiać całą ostatnią przeszłość naszą w barwach tak ponętnych, iż same nawet wady jéj tyle dla nas zgubne w skutkach swych, nabrały w oczach naszych pozoru cnót i zalet. Gdyby było mniéj na owych kuligach wina i hulanki, bo jak sam p. Wielogłowski w końcu przyznaje, że „o tém

finale kuligowéj sprawy, lepiéjby i nie mówić," możeby tegoczesny salon inny przedstawiał obraz aniżeli jak go on odmalował, bo mówiąc daléj słowami p. Wielogłowskiego „grzech tylko a nie oświata zaciera narodowy obyczaj, grzech wprowadza cudzoziemskie podrygi, grzech wypędza z pośród nas swobodę, prostotę, miłość wzajemną, uprzejmość i serdeczną ochotę, a wprowadza w to miejsce fałsz, obłudę, przymus i uprzywilejowane nudy, które się dzisiaj jakby przez szyderstwo zabawą nazywają."

Czyliż pijaństwo nie było jednym z owych ciężkich grzechów? Mądry Polak po szkodzie. Oszczędność i wstrzemięźliwość dzisiejsza jeżli nie jest zasługą, to przynajmniéj koniecznością i potrzebą.

Któż ośmieli się dziś zajechać długim rzędem sań na kulig do szlachcica! zjadłby go za parę dni z nogami, musiałby mu pożyczyć zaraz na następną ratę podatkową. Rozumiem kulig nowoczesny z ulicy na ulicę, polski bal kostiumowy i nic więcéj, o tyle lepszy od innych balów kostiumowych, że nie wymaga przepychu w strojach, nie podnieca żądzy wystawności ubiorów, a tę ma wyższość nad frakowym balem, że kuligową swobodę wprowadza na salony pańskie, a obyczaju dawnego przechowuje tradycyę.

Jeden z takich kuligów odbył się w Krakowie tych zapust. W grono tańcujących krakowiaków wcisnęło się parę masek, jeden żyd i dwa domina, zapewne nie obce, bo służba je puściła, i oto zawiązek maskarady, połączenie karnawału włoskiego z zapustami polskiemi.

Dając ten krótki zarys tegomiesięcznych zabaw, nie mogę pominąć balu Towarzyszów sztuki drukarskiéj, danego w lokalu drukarni *Czasu,* na który paręset osób się zebrało. Bal ten rozleglejsze ma znaczenie, niż je wskazywać może prosty cel zabawy, albowiem jest on z jednéj strony znamieniem życia korporacyjnego, z drugiéj zaś świadczy o liczbie pracujących w zawodzie tym, tak ściśle związanym z literaturą i umysłowym ruchem. Bal ten nie wstrzymał ani na chwilę wyjścia dziennika, który niemal równo z jego zakończeniem wyszedł był o zwykłéj godzinie. Sądzę, że to jedyne publiczne tego zakładu na tém miejscu wspomnienie, nie zaciera uznania rozleglejszego wpływu jego.

Karnawał tegoroczny nie ściągnął do Krakowa licznych z okolic gości i ograniczył się prawie wyłącznie na stałych mieszkańcach miasta, lub tych, którzy zwykli w nim zimę przepędzać. Dopiero posiedzenia Towarzystwa rolniczego krakowskiego ujrzały kilkudziesięciu obywateli umyślnie w tym celu przybyłych z bliska i z daleka. Oprócz wyboru prezesa i członków wydziału zajmowano się na tych zebraniach rozbiorem ważnych pytań bieżących pod względem gospodarstwa krajowego. Oprócz wymiany wzajemnych spostrzeżeń i uwag, zebrania te są zarazem jakoby reprezentacyą interesów rolniczych kraju i jedyną dziś reprezentacyą własności ziemskiéj. Kto w nich nie brał udziału, ten jakoby dobrowolnie wykluczał się nietylko od praw sobie służących, ale zarazem od obowiązków tak swoich prywatnych, jako i publicznych.

Poznań w lutym.

Pierwszy poszyt z bieżącego roku, literackiego pisma poznańskiego w tych się dniach ukaże. Głównym jego artykułem ma być, jakeśmy zasłyszeli, kazanie księdza Semenenki przeciw nauce Towiańskiego wymierzone. Wiadomo jest, że ksiądz Semeneńko został w Rzymie mianowany konsultatorem Indexu, ztąd wnosić należy, że jak o tem już donoszono, pisma wykładające marzenia Towiańszczyzny uznane zostaną za przeciwne nauce Kościoła, i w spisie rzymskim ksiąg zakazanych umieszczone będą. Dziwić by się można, że takowe ich rozpoznanie i ocenienie wcześniéj nienastąpiło, czem by może nie jeden z uczniów autora „Biesiady“ został był wstrzymany wśród mylnéj drogi, którą ciż uczniowie coraz się daléj zapuszczając doszli do zupełnego zbłąkania się a raczéj obłąkania, jakiego ostatnim czynem i pismem, był ów najdziwaczniejszy adres przez nich ułożony. Zdaje się iż dotąd mało w Rzymie zwracano uwagi na dzieła w polskim języku wychodzące, teraz przyzwany sąd i czujność jednego z naszych rodaków, wśród duchowieństwa głęboką nauką i bystrym poglądem celującego, stać będzie na straży czystości pol-

skich przekonań religijnych, lub mających styczność z nauką kościelną.

Nie chcę ja śledzić początków, celów Towiańskiego mistycyzmu, przyczyn dla których byli między naszymi rodakami tacy którzy się nim przejęli i weń uwierzyli; czas to wszystko dopiero rozświeci i zupełnie wytłumaczy; lecz dziś po skutkach tylko sądząc o wartości tych marzeń (choć i inne pewniejsze jeszcze mamy do sądu naszego prawidło) dość się wydziwić nie można, iż znalazły się w zdrowym stanie umysły, z których jedne zająć się niemi potrafiły, drugie się im opanować dały. Wprawdzie wiek obecny, tak mądry, tak uczony, tak rachunkowy, dziwne przedstawia sprzeczności: niewiarę i łatwowierność, dążenia ścisłej rachubie poddane i upodobanie w wyobrażeniach niepodobnych do urzeczywistnienia, poszukiwanie materyalnych korzyści i zamiłowanie nadzwyczajności. Czy następcy nasi nie będą się dziwić, że przez pewien czas w XIX wieku, wielka część umysłów zajętą była pukającemi duchami i wirującemi stołami? Co więcéj, czy uwierzyć zechcą, że były zalata, w których towarzystwo swych elementarnych zasad uczyć się na nowo musiało, i że jeden z najpoważniejszych pisarzy Francyi, ten który bywał u steru jéj rządu *) uczuł potrzebę napisania dzieła *o własności*, w którem jéj konieczność i świętość wykazywał. Gdy społeczeństwo wieku obecnego takiem doświadczeniem bogate, taką wiedzę posiadające, tylu klęskami mądre, zapomniało tych pierwszych prawideł społeczeńskich, mogło to nas było tak dziwić, jak gdyby Humboldt, Guizot lub Lord Brougham zapomniał wszystkiego czego się był nauczył, i zaczął na nowo uczyć się abecadła.

W wieku więc Proudhona, Cabeta, Blanka, Huma, cóż dziwnego że przez niektórych rodaków naszych zdala od kraju przyjęła się nauka będąca płodem ułudnych marzeń, i którą władzą ducha swego i swojéj chwały poparł, a raczéj utworzył wielki wieszcz narodowy.

Nie chcę ja uchybić pamięci jego, i chętnie mniemam że on tą nauką przejął się z całą dobrą wiarą swéj

*) Thiers.

duszy, uniesiony gorącem uczuciem, prądem poetycznéj wyobraźni, a przytem zbytniem zaufaniem w potęgę swego ducha. Mniemał on, że przekonanie swoje w ogół rodaków wpoi, że wyobrażeniami przez siebie powziętemi zaleje wszystkie umysły. Ta dobra wiara głównego apostoła nie osłabiła szkodliwości nauki, lecz owszem powiększyła ją. Im potężniejszy jest umysł, tem obłęd jego jest i głębszy i rozleglejszy, a razem niebezpieczniejszy. *Corruptio optimi pessima.* Wprawdzie mimo całego wpływu jaki wywierał na rodaków duch i przykład Mickiewicza, nie wielu nauka przez niego głoszona znalazła jawnych zwolenników zapisanych pod sztandar nowo wywieszony, lecz między nimi znajdowali się tacy, których odpadnięcia od zdrowego społeczeństwa żałować przychodzi, którzy mogli mu być jeszcze użytecznymi nie w jednym zawodzie. Niektórzy z nich upamiętali się w błędzie, byli jednak tacy, którzy w nim upornie wytrwali. Lecz téj nauki podniesionéj do znaczenia wiary dwa były następstwa najwięcéj szkody przynoszące. Pierwsze, sparaliżowanie twórczości ducha poetycznego naszego poety który już go nie pismem, lecz tylko słowem mówionem i czynem zapragnął objawiać. Rzucił on z pogardą i roztrzaskał lutnię swoją, kiedy? oto w całéj sile wieku, w całéj dojrzałości swego talentu. Jaka strata dla chwały jego, dla chwały narodu, dla uciech umysłowych i pożytku rodaków. Kilka lat zmarnowanych w takiem życiu, co za ogromne marnotrawstwo! Wiemy z waszego pisma jak mało po zmarłym wieszczu nieznanych pism pozostało. Od czasu jak popchnięty został w odmęt błędu, zgasło jego natchnienie, utracił w zawodzie poetycznym włos siły Samsonowéj, uderzony został jakby karą za błąd. Błąd był wielki, ale i kara wielka. Drugiem następstwem pożałowania godnem był wpływ nieznaczny, niewyraźny, ale jednak nie wątpliwy, jaki nauka Towiańszczyzny wywarła na umysły polskie, nawet na niektóre najznakomitsze. Rzućmy uważnem okiem na pisma, na poezye, które się w owym czasie pojawiły, a wpływu tego dostrzeżemy. Ulegli mu i tacy, którzy się zawsze lękają być prześcignionymi w postępie wyobrażeń i objawów ducha, i ci którzy się zacnem i gorącem czuciem, a razem żywością wyobraźni unosić dają. Inni nakoniec uwiedzeni przykładem

tych wyższych umysłów, nie śmieli ufać własnemu rozsądkowi, mówili do siebie: „Może tam jest jaki zaród i cząstka prawdy“ — i nie odważyli się przypuszczać obłędu natchnienia. Skutkiem tego wywartego wpływu na umysły, było wyzucie dusz z prawdziwego hartu, usposobienie ich do marzycielstwa, a więc odjęcie niejednemu z nas zdolności do działania, do stania się użytecznym w zakresie jaki mu był dozwolonym. Jeżeli ośmieliłem się na tę wycieczkę w krainę Towiańszczyzny, to dla tego tylko, że śledząc uważnie usposobienia umysłów dzisiejszych, z pociechą przychodzi wskazywać objawy powrotu do zdrowych, do czerstwiejszych wyobrażeń. Rozpatrując się w tem kole błędnem, wśród którego przez lat trzydzieści obracaliśmy się, tak w literaturze, filozofii, w mistycyzmie, w nauce politycznéj, jak i w teoryach spółecznych, z radością twierdzić możemy, że powoli z niego występujemy. Otrzęśliśmy się już z ciemnéj kurzawy filozofii niemieckiéj, poznaliśmy już czczość dogmatów mistycyzmu, upamiętaliśmy się nieco wśród szału literackiego, spodziewajmy się więc, że na wszystkich ścieszkach ducha rozsądek publiczny okaże się dojrzałym i zdolnym przewodnikiem, że ochładzając naszą wyobraźnię zachowamy zawsze gorącość serca. Umysł rozogniony jest twórcą tylko marzeń lub szkodliwych działań. Same ciepło serca płodzi zacne i użyteczne czyny.

Wracam do literackiego dziennika poznańskiego. Drugim jego artykułem ma być bardzo zajmujące wspomnienie z życia jenerała Michała Grabowskiego poległego w roku 1812 pod Smoleńskiem, skreślone przez F. M. — W wspomnieniu tem jest nadzwyczajność, a jest jednak ścisła prawda, wiarogodnemi ustami zaświadczona. — Poszyt ten mieścić ma jeszcze ważny artykuł o dyecezyi Chełmskiej, i recenzyą licznych bardzo poezyj, które się w ostatnich czasach pojawiły. Patrząc w księgarniach na te mnogie tomy poezyi, które ciągle jakby z jakiej bujnej ziemi wyrastają, w różnych kształtach i pod rozmaitemi tytułami, przebiegłszy je szczególniej okiem, pytamy się, co za korzyść dla publiczności, dla piśmiennictwa i dla samych nawet autorów, z tej skwapliwości do drukowania wszystkiego co się napisze.— Utwory te przechodzą po największej części

niespostrzeżone, i zaledwie się zrodziły, giną w otchłani zapomnienia. Daje się wprawdzie spostrzegać naprawa naszej Rzeczypospolitej literackiej, lecz ta jeszcze zupełną nie jest. Już Powieść — owa Powieść wszechwładna, która tak w dumę wzrosła była, iż przez usta jednego z swych twórców głosić śmiała, że wkrótce całą literaturę opanuje, i że nawet historyę zastąpić będzie mogła, ta uzuchwalona dorobkowiczowa strącona została na miejsce, które jej się w piśmiennictwie należy, i może przecież ten wyłączny popęd do niej piszących zwolni się nieco; lecz szatan rymów jeszcze nie poskromiony, żądza wierszowania jeszcze nie ostygła. Żądza ta nie jest nowa, objawiała się ona we wszystkich wiekach: bywali zawsze Moewiusze, Trissotiny, Vaduise i Skribleriusze, tylko dziś ta namiętność wierszowania połączyła się z żądzą drukowania; otóż ją z trudnością sobie wytłómaczyć można. Nie znam nic lichszego w świecie, nad wiersz lichy, ani nieużyteczniejszego członka towarzystwa, nad zupełnie miernego wierszopisa.— Czemuż jednak tylu piszących naraża się na niebezpieczeństwo tej nieużyteczności? Czemu muzyk lub śpiewak zupełnie nędzny nie występuje z publicznym koncertem, a tak zwani lutniści, śpiewacy poetyczni ciągle w wyprawianych koncertach kaleczą uszy publiczności źle naciągnionemi stronami lub fałszywym głosem.

Po recenzyach różnych poezyj ma być umieszczone sprawozdanie obszerniejsze z dzieła p. Edmunda Stawiskiego: *Poszukiwania do rolnictwa krajowego,* poprzedzone uwagami jakie ukazy cesarza Rosyjskiego o zmianie stosunków włościańskich wywołują. Uwagi te oddają podobno hołd należny zamiarom dobroczynnym monarchy, a razem uszanować starają się piękny przykład, szlachetne i przezorne usposobienie z jakiem szlachta polsko-katolicka pierwsza wystąpiła. Lecz w tej tak ważnej sprawie, która z dziś toczących się w Europie może najwięcej godna zwracać na siebie uwagę, każdy dzień odznacza się nowym ruchem, nowym postępem. Gdzie idzie o wydźwignienie z stanu niewoli, tak sprzecznego duchowi chrześciańskiemu tylu milionów chrześcian, nikt z nas widzem obojętnym tej wielkiej przemiany być nie może; każdy najszczęśliwszego doprowadzenia jej do skutku i zabezpieczenia równie

praw jednej strony, jak przyszłej pomyślności drugiej życzyć musi, lecz razem każdy ciekawe i troskliwe oko zwraca na kierunek w jakim ta sprawa postępuje, na bieg którym się posuwa naprzód. Kierownicy jej, ci którzy przekonani o potrzebie jej załatwienia, lecz razem o oględności z jaką prowadzoną być winna, spotykają z jednej strony opór jej przeciwników, z drugiej czują parcie tych, którzy zbyt pospieszny ruch nadać jej usiłują. — Zaledwie szlachta polska okazała gotowość do przystąpienia do dzieła, już podobne usposobienie objawiło się w szlachcie rosyjskiej kilku najznaczniejszych gubernij państwa. Już następnie donoszą, że kijowska gubernia oświadczyła chęć oddania bezzwłocznego, bez żadnego wynagrodzenia, na własność włościanom zagród ich, z których się przez lat dwanaście stosownie do zasad przez rząd postanowionych, wykupywać mieli. Lecz więcej jeszcze nad to uwagę zwracać należy na oznaki tworzącej się, kształcącej i śmiało objawiającej się opinii publicznej w państwie Rosyjskiem. Do najważniejszych policzyć trzeba bankiet urządzony i odbyty w Moskwie w dniu 9 stycznia w celu poparcia dzieła usamowolnienia włościan, na którym kilku mówców głos zabierało, a p. Kokerew przewódzca bankietu, nie mogąc dla braku czasu odczytać w całości przygotowanej mowy, podał ją do druku. Ogłoszoną więc została w *Gońcu Rosyjskim* i trzy jej wydania w jednej chwili rozebrano. Zaczął ją mowca od tych słów: „Jasność i ciemność „są w ciągłej walce z sobą, jeżeli ciemność przemoże „nadchodzą dni smutne, ludzkość trętwieje, odwaga od„pada, siła ludu słabnie. Częściej jest ciemno jak jasno, „lecz niech światło przemoże, wnet się cały widnokrąg „rozświeca, cienie znikają jakby ich nigdy nie było. „Ten obraz dziś mnie uderza, a te promienie dobro„czynne wylewa dusza wspaniałomyślna Cesarza Ale„ksandra II. Ten Monarcha postanowił wyprowadzić wło„ścian, braci naszych, z stanu ucisku, który i im i „nam od trzech wieków blisko ciężył. To światło oświeca „teraz i ogrzewa Rossyę. Przy blasku jego, rok 1858 „powstaje. 15 milionów ludzi *) ujrzą jutrzenkę swoich

*) Jeżeli ta cyfra jest dokładna, dziwić może tak mały stosunek ludności wiejskiej do ogółu mieszkańców całego państwa. Jest tu tylko może mowa o ludności osiadłej na gruntach.

„praw cywilnych. My wszyscy w nowe życie wstępujem. „Dla wszystkich nadszedł czas odrodzenia“.

Wszystkie pisma, mowy, poezye, ukazujące się dziś w Rosyi, tchną podobnym duchem. Podobnemi dźwiękami nigdy jeszcze powietrze Rossyi nie brzmiało.

Drugi numer *Teki Wileńskiej* z tego powodu zajął tu bardzo uwagę, gdyż jest już odbiciem obecnego stanu rzeczy. Nad wartością tego pisma, które się nie zdaje być czem innem jak tylko zbieranką literacką, zastanawiać się nie będę. Lepiej tego już dopełnił w części, i może w zupełności dopełni Przegląd piśmiennictwa w *Dodatku do Czasu.* Chcę tylko wspomnieć o artykułach wskazujących, jakie się dziś dążności w Rosyi objawiają i jaką znajdują możność objawiania się. Uderzył nas najprzód przekład z rosyjskiego z Benedyktowa, wiersza pod tytułem: „Rok 1857“. W nim po oddaniu czci Monarszę, woła poeta:

Dobrych czynów ziarno,
Sieją w Boży lud
Więc nie zginie marno,
Wzrośnie plonów cud,

Nim się rok przeniesie
My stworzemy wiek,
W górę, w górę pnie się,
W niebo dąży człek.

Prawdy kto nie kocha,
Jéj nie słucha słów,
Zdrzemnął w drodze trocha,
Bywaj bracie zdrów!

Zostań w mdłéj czeredzie
Gdy biedz nie masz sił
Lecz tych co na przedzie,
Nie odciągaj w tył.

Długo prawdy blask
Cmiła fałszów noc,

Błysnął promień łask,
Pęknie piekieł moc.

Następnie przywodzi pisarz zdania tych, którzy zdrzymali się w drodze, zowie ich nocnemi ptakami, odpiera ich mniemania, potępia ich udaną gorliwość o dobro kraju, w trzydziestu trzech czterowierszach głosi swoje nadzieje, i kończy swoją poezyę następującą strofą:

Nowéj ery zorzą
Błyśnie kraj tych pól
Gdzie miłością Bożą,
Rządzi światły król!

Lecz godniejszy jeszcze uwagi artykuł bezimienny w dzienniku *Wieść* wychodzącym w Moskwie, przełożony przez p. Korytyńskiego. Tytuł jego: *Zadania Społeczne.* Myśli w nim nie nowe w innych krajach, nowe w Rosyi, wypowiedziane z całą swobodą. Dzieli się on na kilka ustępów. W pierwszym sławione jest słowo, jako najsilniejsza potęga i pierwsza potrzeba ludzkości, jako broń w walce umysłowéj. Ustęp ten kończy się temi wyrazami „Bądź więc pozdrowiona Walko! a bądź potężną, nielitościwą, zacną i sumienną“ — Następnie zastanawia się autor nad znaczeniem tego wyrazu Naród, daléj przechodzi do Oświaty i woła: „Nie pojmujemy, jak można się lękać oświaty, toby znaczyło lękać się światła, ale prawda światła się nie lęka, tylko fałsz okrywa się pod zasłoną ciemności.“ Mówiąc o Narodowościach, o potrzebie aby istniały, kończy ustęp wykrzyknikiem „Niech żyje każda Narodowość! Zaczynając oddział następny od wyrazów „Naprzód, „biegnijmy naprzód! bez wytchnienia, bez przerwy „Naprzód! daléj a daléj“ tłómaczy co rozumie przez ten wyraz naprzód, to jest przez postęp, i zamyka ustęp słowy: „Naprzód więc, lecz naprzód ku prawdzie“ — Daléj zajmuje się ludem i opinią publiczną.

Nie chcemy się wdawać w ocenienie myśli w tym artykule wyrażonych, staraliśmy się tylko podać wyobrażenie o charakterze który je znamionuje. Przecież dorzucim słowo o ustępie o ludzie, w którym uderzają wyobrażenia może szlachetne lecz niedostatecznie wyro-

bione, nacechowane młodością, neofityzmem w nauce spółecznéj, teoretyczne bez użyteczności praktycznéj wszędzie, a tem więcéj w Rosyi, i które każą się lękać aby to *Naprzód* autora, nie uniosło go z drogi do *Prawdy* prowadzącéj, któréj on poszukuje.

Między wierszami oryginalnemi polskiemi znaleźliśmy jeden wśród *Okruchów* p. Korytyńskiego, o którym słowo rzeknę. Tytuł jéj *Pieśń zmyślona*, treścią zaś pochwała dobrego pana przez włościanina jego wsi, każda jéj zwrotka zaczyna się od słów *u naszego pana.* Przytoczę z nich parę.

U naszego pana, malowany dwór
Powaga u ludzi i obfity zbiór,
Spojrz jeno na łany, pszeniczne i żytnie
To powiesz jak sioło — tak pole mu kwitnie.

U naszego pana na przednowku kmieć
Nie cherla że Bogu prosto duszę zleć,
I grosza nie lada, zapytasz we włości,
Lecz w ziemię nie kryje, bo pan nie zazdrości.

i daléj:

U naszego pana, nie trzeba się kryć
Bo kiedy przyzywa, to pewnie nie bić,
Psem ciebie nienazwie, z podełba nie patrzy
Lecz mówi mój bracie, jam tylko bogatszy.

W tego rodzaju jedenastu zwrotkach autor przedstawia obraz dobrego pana, na który im z większą przyjemnością spoglądamy, tem nieprzyjemniej nas razi tytuł jego *Pieśń zmyślona.* Jeżeli jest zmyśloną, więc cała ta pochwała jest tylko okrutnem szyderstwem. Więc między litewskimi panami, niema żadnego o którym by lud w podobny sposób mógł śpiewać. Jest to więc wiérsz przypominający *Lalkę* i *Przepióreczkę* Syrokomli które tak boleśne wywołały wrażenie. Nie wiem jak się w Litwie dzieje, mogę jednak zapewnić, że dawniéj w Galicyi, a dotąd w królestwie nie jeden z właścicieli na podobną pieśń nie szyderczą, lecz szczerą zasłużył. A przecież to, ci panowie litewscy, przez litewskich

śpiewaków tak obmawiani, pierwsi w państwie Rosyjskiem dali dziś przykład światłych wyobrażeń, poświęcenia i troskliwości o dobro ludu.

Wyszedł w téj chwili w Poznaniu nakładem Zupańskiego: *Pamiętnik Adama Moszczyńskiego do Historyi polskiéj w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Augusta.* Nie jest to więc zbiór wspomnień z całego długiego życia autora, gdyż je tylko do roku 1768 doprowadza, nie jest to także *Pamiętnik*, lecz tylko ułamek pamiętnika lub raczéj zapiski pamiętnikowe, niewprawném piórem kreślone, pozbawione ścisłego związku z sobą, lecz obejmujące wiele ciekawych szczegółów i wiadomości z owego czasu. Niektóre z nich już znane były, są zaś takie, których mi się nigdzie spotkać nie zdarzyło. Trzeba by tylko przekonać się, o ile są zgodne z dokładną prawdą. Większéj bowiem części wypadków które autor opowiada niebył naocznym świadkiem. Za panowania Augusta III był zbyt młodym, aby je w własnéj pamięci zachował, wyszedłszy ze szkół dopiero r. 1763. Początków panowania Stanisława Augusta także nie był widzem, służąc w tym czasie w wojsku pruskiém Fryderyka II. Opisuje więc to co słyszał, nie co widział. Wróciwszy dopiero z służby pruskiéj, na krótki czas przyłączył się do Konfederacyi Barskiéj. — Najciekawsze ustępy są o ministrze Sułkowskim, o negocyacyi Stanisława Augusta o rękę Arcyksiężniczki austryackiéj, o porwaniu senatorów przez Repnina, i niedość jasny zaciemniony nieumiejętnością pisania, ale obszerny i dokładny wykład przyczyn powstania Żeleźniaka i Gonty, i opowiadanie całego w niém biegu wypadków. Autor nie jest przychylnym wychowaniu OO. Jezuitów, nie zdaje się być jednak irreligią skażonym. Jest on także nieprzyjaznym domowi Czartoryskich, przecież księcia jenerała ziem podolskich zasługom oddaje sprawiedliwość, zwłaszcza tym które położył w urządzeniu i prowadzeniu szkoły kadetów. Stanisława Augusta znał wybornie, będąc przy nim przez lat kilka, szambelanem, i nie pochlebny lecz z trafionem podobieństwem kreśli jego obraz. Żałować przychodzi, że wydawca nie opuścił niektórych szczegółów mniej potrzebnych dotyczących, osób żyjących jeszcze lub rodziny tychże, i że nie przyłączył wiadomości o dalszem

życiu Autora. Zdaje się bowiem, że tenże jest tym samym Moszczyńskim, który był posłem na sejmie czteroletnim, następnie ulubieńcem i pomocnikiem Potockiego w dziele Targowickiem, o którym Plater w ciekawéj korespondencyi umieszczonéj w naszym grudniowym z r. 1856 *Dodatku do Czasu* wspomina. Nakoniec powinien był wydawca zawiadomić publiczność, czyli ogłoszone wspomnienia są tylko ułamkiem obszerniejszego pamiętnika, czyli téż całą pozostałością po autorze. Od czasu jak publiczność zasmakowała w tego rodzaju pismach, jak tyle się ich ukazuje, z których jedne są autentyczne drugie podrobione, od czasu jak powszechność krajowa zrażoną została ogłoszeniem skłamanych pamiętników Bartłomieja Michałowskiego, wydawcy wszelkich wspomnień powinni by dołączać do nich wiadomość o życiu ich autora i historyę samego rękopismu. Tym bowiem tylko sposobem mogą w czytelnikach wzbudzić ufność osłabioną haniebnemi spekulacyami literackiemi.

Jakkolwiek bądź, pamiętnik ten stanie się nie do pogardzenia przyczynkiem do dziejów owéj epoki, przebiega się go z zajęciem, i chętnie będzie czytany przez tych, których obchodzi przeszłość, w któréj żyli ich pradziady i dziadowie.

Berlin w lutym.

Traktat o cywilizacyi gęby berlińskiej zaskoczyły nadzwyczajne okoliczności. Gdybym w kronice bieżącego miesiąca rozpoczętą rzecz dalej prowadził, nie mając względu na uroczystości, które się w czasie tym w Berlinie odbywały, ten i ów z mniej łaskawych czytelników mógłby pomyślić sobie, „*parva componens magnis*“, żem chciał naśladować Goethego, który wśród wstrząsających świat pierwszych tryumfów generała i konsula Bonapartego trudnił się kranologią.

Aby uniknąć takowego zarzutu, gdy rozmyślam nad tem jak pogodzić w opowiadaniu jeden przedmiot z drugim, wpada mi w ręce *Kreuzzeitung*, która w opisie uroczystości tego miesiąca przytacza między innemi ten

ciekawy szczegół, że pewien rzeźnik w dzień wjazdu księcia Fryderyka Wilhelma z młodą małżonką swoją do Berlina sprzedał sam jeden ośm tysięcy *wurstów* wiedeńskich! *Kreuzzeitung* nie powiada, ile drudzy sprzedali, ale przyjąwszy, że z 500 rzeźników z górą, którzy są w Berlinie, sprzedał każdy w przecięciu tylko po 800, wypadnie, że w tym dniu radości skonsumowano ogółem samych wurstów 400,000, prawie tyle ile wynosi liczba mieszkańców stolicy. Inny dziennik nadmienia, że u jednego piekarza „pod Lipami“ rozkupiono 5000 bułek; inny, że u jednego cukiernika spożyto 2000 filiżanek czokolady; żaden nie oblicza, ile wiktuałów przyniósł z sobą na plac uroczystości każdy męski i żeński widz w kieszeniach, woreczkach, koszykach. Zapasy były zapewne ogromne, bo gęba publiczności na trybunach była jak towarzystwa siedzącego za stołem, zanim przeszła w chwili przejazdu młodej książęcéj pary do funkcyi okrzyków i wiwatów, wznoszonych z całą energią pełnego żołądka.

Ale niczém były te niewinne wursty, bułki, butersznyty, czokolady i tym podobne przysmaki w porównaniu z masą pochłoniętego rozgrzewającego płynu, służącego za antidotum przeciwko skutkom sześć stopniowego mrozu i ostrego wschodniego wiatru. Probierza alkoholu, powiada Kossak w swojéj *Montagspost*, żadna redakcya nie wzięła do ręki. Wedle opowiadania wiarogodnych świadków i jego własnych spostrzeżeń, dokazano jednak w użyciu płynu tego nadzwyczajnych rzeczy, tak że podupadła nieco reputacya stolicy co do postępowego doskonalenia się instytutów destylacyjnych, została całkowicie przywróconą. Mało było, mówi on, takich domów pod Lipami, których sienie i podwórza nie były dały schronienia poległym w nierównych zapasach z bożkiem Spirytusem, chyba, że niepowodzenie ich skutkom spożytych bułek i czokolady przypiszemy. W przemarszu cechów działanie silnego antidotum użytego przeciwko zimnu, było widoczne i niezaprzeczone. Niektóre chorągwie kłaniały się ustawicznie jakby z grzeczności przed zgromadzoną publicznością; kawalerskie te pokłony były jednakże tylko skutkiem zmieniającego się nieustannie punktu ciężkości tych co je nieśli.

Postrzeżenia Kossaka nie są zwykle wolne od przesady i złośliwości. Uroczystość wjazdu nowożeńców odbyła się w całym swym ciągu z wzorowym porządkiem, jaki tylko uobyczajona i ucywilizowana publiczność wśród tak wielkich mas ludu, bez przyczynienia się policyi, utrzymać jest zdolna. Pojedyńcze wybryki lub nieprzyzwoitości ginęły niepostrzeżone w uroczystém usposobieniu ogółu. Żaden takowy przypadek nie wzmógł się do publicznego skandalu ani wśród tłumu widzów, ani wśród nieprzeliczonych uczestników uroczystego orszaku. Taki sam duch porządku i przyzwoitości panował w masach ludu zapełniających ulice podczas oświetlenia miasta, taki w uroczystościach dni następnych. Gdzie wyższa myśl przeniknie ducha jakiejkolwiek społeczności lub narodu, tam można być pewnym, że porządek sam się zrodzi, i instynktowo, bez policyjnego nadzoru, utrzyma. Tak było podczas ostatnich uroczystości w Berlinie.

Możnaż więc mieszkańcom brać za złe, albo godziż się wystawiać ich na szyderstwo, że przy téj sposobności trochę więcéj jedli i pili? Nie mogło być inaczej, a byłoby nienaturalnością, gdyby inaczéj było. Jadło i napój rozweselają duszę, rozweselona dusza żąda jadła i napoju dla ciała. Taką jest natura człowieka, taką po wszystkie wieki była i będzie.

Najdawniejszym uroczystościom i obrządkom, o których nam dzieje powiadają, religijnym, publicznym, prywatnym, towarzyszyły biesiady i uczty.

Brzuch kęsy dzielił z bogami ofiarne, śpiewa nieoszacowany Kantorbery. Bogi Olimpu powagę zgromadzeń swoich nektarem i ambrozyą podsycają. Najsławniejsi filozofowie greccy objawiają wśród biesiad najgłębsze tajniki ducha ludzkiego. Chrystus Pan uświęcił raz na zawsze obecnością swoją i cudem na weselu w Kanie Galilejskiej obyczaj łączenia obrządku ślubu małżeńskiego z gościnną ucztą. Największa tajemnica wiary naszéj objawiona była przy Wieczerzy Pańskiej. Gościnność pogańskich Słowian miała charakter nieustającéj biesiady; wszystkie uroczystości i obrządki ich kończyły się radośną ucztą; smutne nawet pogrzeby zamykała stypa, będąca dotychczas w zwyczaju. Zachowały u Słowian i chrześciańskie święta narodową cechę da-

wnéj gościnności i biesiadującego wesela. Któż nie zna u nas obchodu świąt wielkanocnych? Co kraj to obyczaj. Ale wszędzie ten sam nierozerwany, bo przyrodzony, związek usposobienia i objawiania się ducha i ciała. „*Panis et circenses*", w dobrém i złém znaczeniu, stały zawsze i stoją podziśdzień nierozłącznie obok siebie.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy brzuch łaknie, głuche rządzą troski;
Gdy syt, swoboda i wesołość pusta
Otwiera usta.

Czyż w zwrotce téj filozoficzny wieszcz nasz nie głębiéj pojął naturę ludzką, niż zdający sprawę z uroczystości tego miesiąca najzawołańsi literaci filozofującéj stolicy, którzy się dziwią i nieomal za złe biorą rozweselonéj ludności, że instynktowo jadła i piła, uspasabiając serce i usta do okrzyków bez miary i końca, jakiemi uczcić chciała wjeżdżającą do miasta książęcą parę?

Dziennikarze tutejsi zapomnieli nawet, jak się zdaje, o psychologicznych postrzeżeniach nowoczesnéj i najnowszéj historyi, gdy się nie wahali szydzić z ludności jedzącéj wursty i pijącéj kimel. Zapomnieli, co historya zapisała o kongresie wiedeńskim, że tańcował. Jakże nie miał tańcować, mając żołądek biesiadami do wesołości usposobiony? Jakże nie miał biesiadować, mając myśl swobodną i uroczyście nastrojoną, po zwaleniu z tronu olbrzyma wieku? Zapomnieli, co powiedziano o niedawnym kongresie paryskim, że przewyższył wszystkie dawniejsze kongresy liczbą i wykwintnością biesiad. Jakże mogło być inaczéj? Skończono z chlubą cywilizacyjną wojnę o brodę Mahometa; wprowadzano po raz pierwszy janczarską muzykę w harmonią koncertu europejskiego; polewał ognisko nowo odbudowanego własnego domu synowiec dziedzic wielkiego bohatéra, oddając chléb za kamień starym Europy dynastyom.

Mieszkańcom metropoli protestanckiego kościoła, państwa, przemysłu, handlu, ekonomii, nauki, sztuki, wreszcie charakteru i obyczaju, możnaż się dziwić, że całą gębą, to jest, najobszerniejszém użyciem obu jéj

funkcyj, obchodzili pożądany od wieku związek zjednoplemiennym, materyalnie i moralnie podobnie usposobionym, a na domiar tego najpotężniejszym na świecie narodem? związek idealizujący się młodością, miłością, prostotą, dobrodusznością połączonéj ślubem małżeńskim książęcéj pary, która ma kiedyś zasiąść na tronie, i spełnić położone w niéj z szczególną wiarą i niezłomném zaufaniem nadzieje?

Co to ma do tego, że radość ludności stolicy objawiła się szczególnie w spożyciu tylu kroci wurstów obok stosunkowéj ilości innych wiktuałów, oraz wypiciu nieobliczonéj masy kimlu obok weisbieru i innych napojów. Mniejsza o sposoby podniecenia zapału, byle zapał był jak należy, prawdziwy, szczery, godny i przyzwoity, jakim też w istocie był. Smak bywa różny i bardzo dziwaczny, nie tylko u pojedynczych ludzi ale i u całych narodów, a stara przestroga: że „*de gustibus non est disputandum*“ popłaca podobno najwięcéj w rzeczach jadła i napoju. Będę miał jeszcze sposobność mówienia o téj różności i dziwaczności smaku w dalszym ciągu niniejszego rozdziału. Tu nadmieniam tylko, że nie po pierwszy to raz wursty służyły za środek ku objawieniu radości publicznéj.

Kiedy w r. 1831 po zajęciu Warszawy przez Rosyan stara Moskwa oświetliła z radości mury i domy swoje, pewien rzeźnik, chcący naocznie okazać wielkość cesarza Mikołaja, wywiesił w oświetloném oknie wielki rząd kiełbas, jedna grubsza i dłuższa od drugiéj, najgrubsza i najdłuższa w środku, i umieścił pod nim w transparencie taki napis:

Kak eta bolszaja kałbasa meżdu małymi,
Tak car meżdu wsiemi!

Że rzeźnik ten był poetycznie usposobionym, o tem nie może być żadnéj wątpliwości. Nie powziął zapewne idei do swego realistycznego transparentu i poetycznego napisu naczczo, lecz wpakował poprzednio do żołądka kilka łokci kiełbasy, zjadł w dodatku parę funtów sadła, i wypił na to, pierwsze sześć stakanów czaju z rumem, drugie sześć stakanów także z rumem, a trzecie sześć już tylko samego rumu.

Tak rozumiem, że się można do poetycznego zapału i twórczego natchnienia usposobić. Znamci jednego z pierwszych naszych wieszczów, który się zwykle nadzwyczajnemi chociaż innego rodzaju sposobami do poetycznéj twórczości podniecał; przyznać muszę, że z naturalnym i czarującym skutkiem. Wiemci, że towiańscy mesyaniści w najświetniejszéj epoce swego istnienia także się sztucznemi środkami podnosili w sfery fantastycznych — absurdów. Będziemyż się dziwili temu? Wszakże nie inaczéj robiła, siadłszy na trójnogu, sławna na cały świat starożytny wyrocznia delficka.

Gdyby magistrat tutejszy, wzywając chudych i głodnych literatów stolicy do utworzenia dla niego stósownéj ody na dzień wjazdu nowożeńców, był znał, jak się spodziewać należało, fizyczno-psychologiczną naturę ludzką, i wezwanym, zamiast obiecanéj lichej pieniężnéj nagrody, był w gronie swojém i innych proszonych gości wyprawił sowity obiad z ostrygami, truflami, rybą morską, pieczenią bażańcią i szampanem; byłby może, zanim się obiad skończył, otrzymał improwizowany dytyramb, stokroć lepszy aniżeli nadesłane ramoty ośmiu konkurentów, i nie byłby się widział na stare lata przymuszony, sam wsiąść na pegaza bez ognia, o schwaconych nogach, i bez skrzydeł wyobraźni.

Magistrat na pegazie! Pocieszna to zaiste grupa. Szkoda, że Rauch umarł, bo niezawodnie byłby ją monumentalnie unieśmiertelnił i przeznaczył na wieczną pamiątkę rzadkiego w dziejach magistrackich wypadku. Wypadek prawdziwy. Z nadesłanych wierszy żaden się nie podobał.

Kiedy poecie żołądek się ścieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni,
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Magistrat więc, z pełnym żołądkiem, rzucił się na „*disjecta membra*“ rozłożonych przed sobą wierszydeł, i wybierając, odejmując, dodając, zmieniając, złożył nareszcie z niezaprzeczoną sztuką rodziméj berlińskiej refleksyi jaki taki wiersz, którym powitał wjeżdżającą do stolicy z małżonkiem swoim księżniczkę Wiktoryą.

Słuchajcie, jak górnolotnie unosi się fantazya magistratu w wrotce wstępnéj:

Du kommst, o hohe Fuerstin, ueber's Meer,
Es jauchzen Deiner Fahrt die freud'gen Wogen,
Umrauscht von Jubelruf kommst Du hierher,
Wohin der Liebe Allmacht Dich gezogen.
Dich fuehrt beglueckt Dein fuerstlicher Gemahl,
Mit frohem Stolz darf er dem Volk Dich zeigen,
Hoch schlaegt sein Herz, hell glaenzt des Auges Strahl:
Denn, wo Du nah'st, sind Dir die Herzen eigen.

Druga wrotka mówi podobną wierszowaną prozą o potędze, przemyśle i handlu Anglii; trzecia o jej wolności, w któréj do pięknego cytatu z Szekspira magistrat następującą przyczepił prozę:

Vom Eiland, „in die Silbersee gefasst“,
„Das niemals lag zu eines Siegers Fuessen“,
Kommst Du zu uns, nicht als ein fluecht'ger Gast,
Nein! als die Unsre duerfen wir Dich gruessen.

Czwarta wrotka porównywa Anglią i Prusy do dwóch drzew, których gałęzie z sobą się schodzą. Piąta mówi o Wielkim Kurfirście, który goi rany wojen religijnych, szósta o Fryderyku W. z którym Anglia stała w przymierzu; siódma o czasie wojen francuskich, doznanym ucisku i zerwaniu kajdan przez bohaterstwo Prus, które się stało pełnym nadziei zarodem jedności niemieckiéj. Ostatnia wrotka tak brzmi:

La belle Alliance — Du heller Ruhmestag!
Zur Schlacht sahst unsere Voelker Du verbuendet;
Victoria fortan erfuellen mag,
Was jener Kampf so glorreich hat verkuendet.
So Heil denn, Heil dem schoenen Friedens-Bund —
Er macht der Zukunft weite Bahnen offen —
Und dieses Liedes Stimme thu' Dir kund,
Was Millionen Herzen fuehlen, hoffen.

Widzicie, że rymotwórczy magistrat wszystko powiedział co wiedział. Nie przepomniał, że księżna przez

morze przejechała, że przybywa w towarzystwie małżonka swego, że przybywa z państwa w którego posiadłościach słońce nie zachodzi, w którém żyją szlachta i mieszczaństwo, kwitnie rolnictwo, pływają floty, pracują machiny, które rządzi się prawami i używa wolności; nie przepomniał trzech ważnych epok historyi pruskiej i równoczesnych związków z Anglią; nie przepomniał nawet i jedności Niemiec, i szeroko otwartych podwoi przyszłości brzemiennéj wielkiemi nadziejami.

Jest to czysta proza, którą tylko rzeczywisty chwilowy zapał narodu podniósł do poezyi. Magistrat bowiem ma racyą gdy mówi:

A głos tej pieśni niechaj ci zwiastuje,
Co milionów serce pragnie, czuje.

Za to kaligraficzne i malarskie ozdoby tego poematu są z nadzwyczajną pięknością i troskliwością wykonane. Pomiędzy wszystkiemi pięknemi sztukami, które ubiegały się pomiędzy sobą w składaniu czci i hołdu młodej książęcéj parze, poezya stanęła ostatnią w rzędzie, z spuszczonemi oczyma, widząc się przyćmioną nawet przez przyrodnie siostry przemysłu. To nie jej wina. Na piasku brandenburskim nie rodzą się poeci. Rymotwórców tylko jest bez liku. Wiersze ich tak wygładzone, tak wyrobione, że nie wiedząc kto ich autorem, możnaby uwierzyć, że to nieznane dotąd utwory Schillera lub Goethego. Gdy odwrócisz uwagę od formy i zaczniesz rozpatrywać się w treści, poznasz, że to sztuczny refleksyjny wyrób wedle obcych wzorów, lub błyszczący własnéj roboty szych bez żadnéj realnéj wartości.

Niekiedy znasz osobiście rozsądnego, wykształconego, uczonego, ale zimnego, flegmatycznego, pozbawionego wszelkiego zapału i fantazyi literata. Wiesz z doświadczenia, że weisbier i szampan równy na nim czynią skutek, to jest, że ani jeden ani drugi nie nastraja wyżéj ducha jego. Przez głowę ci nie przejdzie, żeby ten człowiek miał pretensyą do zostania wieszczem. Naraz czytasz, że napisał tom poezyj, poemat, dramat, ba nawet tragedyą. Nie wierzysz oczom swoim, biegniesz go zobaczyć. Ten sam, niezmieniony ani na jotę. A przy-

słane ci poezye? Stoją nierozcięte w szafie. Można poprzestać na przeczytaniu krytycznego rozbioru w którym z dzienników.

Nie dziw się więc, szanowny Redaktorze, że magistrat berliński w dzień poetycznego wjazdu nowożeńców sam dosiadł pęgaza i cwałował jak mógł po bruku stołecznéj prozy. Co miał robić? Muzy nie kupić. Obiad, dany w celu wzniecenia poetycznego zapału w którym z samozwańczych wieszczów, nie byłby może także sprawił pożądanego skutku, bo Muza poezyi przechadzała się na cały tydzień przed uroczystością widocznie tylko pomiędzy ludem, i nad nim też w sam dzień wjazdu rozciągła swoje panowanie, podsycając radośny zapał jego w wznoszeniu w niebo bijących okrzyków wurstem i kimlem, na wstyd dla tych, którzy nie byli zdolni wydać go w słowach pieśni, podsycani ostrygami, truflami i szampanem. Niech żyją wurst i kimel!

Wieleby było jeszcze do pisania o uroczystościach i biesiadach tego miesiąca, ale nie stoją one w takim z sobą związku, abym opis ich wciągnąć mógł do obecnego rozdziału. O właściwościach zaś biesiad, obiadów, potraw i napojów, słowem, o smaku berlińskim w szczególności, będę mówił w następnym liście.

Paryż w lutym.

Przyjęcie Augiera do Akademii sprawiło chwilową przerwę w politycznych zajęciach Paryża. Sążnista mowa nowego członka odwiecznym obyczajem wychwalającego swego poprzednika — niemniéj długa oracya którą p. Lebrun go przyjmował, dostarczyły dziennikarzom jeżeli nie treści, to przynajmniéj frazesów, do zapełnienia niewinnie coraz to trudniejszych do zapchania gazetowych kolumn. Mowa młodego Akademika jak chłodny strumyk przepłynęła po spiekłych mózgach francuzkich; w powszechnem rozdrażnieniu umysłów, mile przyjęto ustęp, w którym Augier gorszące się niewdzięcznością i lekkomyślnością swych ziomków skorych do zrzucania z tronu najlepszych monarchów (mówił o Filipie), znużonych gladiatorów na łono nauki zaprasza — pogląd

zaś jego na ducha Francyi i komplement jaki z téj okazyi dla Akademii wystosował, nie wydały się wcale przesadzone.

Dzisiejsza spółeczność francuzka — powiedział Augier — ma tylko jeden cel, jedno pragnienie, jednego boga: złoto. „Cóż widzimy około siebie w tych czasach? Społeczność bez przeszłości, bez tradycyi, bez wiary, nawet bez przesądów — kraj równości, w którym bogactwo stało się celem wszelkich ambicyj, odkąd pieniądz sam jeden stanowi nierówność; słowem, widzimy naród podobny do narodów młodych, które przemysł, owa czarodziéjka dziewiętnastego stulecia, uderzyła różczką starożytnéj Circe. — Czemże się jednak dzieje, że mimo to, Francya jest zawsze głową i sercem świata? Powiedzmy bez fałszywéj skromności: Francya zawdzięcza to Akademii. Wasze to poważne grono, panowie, pośród gorączkowego rozruchu chciwości przechowuje w swojém łonie czystą pracę myśli — ztąd to wychodzi atmosfera wonna sztuki i nauk, która oczyszcza gęste wyziewy przemysłowéj stolicy — krótko mówiąc, jeżeli Francya dotąd jest głową świata, to dla tego że prócz Bursy ma Akademią“.

Powyższy ustęp hucznemi przyjęty oklaskami, jak również słowo pożałowania złożone świętéj pamięci Filipowi, tak wiele dały do myślenia publiczności, że wysłuchała nie zdrzymnąwszy się ani razu, mowy Lebruna, z któréj ostatniem słowem zakończyło się posiedzenie.

Tuż obok Instytutu, w sali przeznaczonéj na prywatne prelekcye, pan Julian Klaczko rozpoczął kurs o Adamie Mickiewiczu. Znane zdolności młodego profesora sprowadziły mu mnóstwo słuchaczy; zadanie jego samo przez się trudne, tem było trudniejsze *que le talent oblige.* Powszedni, mniéj więcéj ogólnikami, wykrzyknikami i kwiatkami upstrzony wykład, wykład taki jakim zwykle prywatni profesorowie częstują i zadowalniają obojętnych słuchaczy, nie mógł tą razą wystarczyć polskiéj publiczności, złożonéj po większéj części z ludzi w których sercu bije żywo zmięszane ze krwią tętno poezyi Adama — z dostojnych przyjaciół wielkiego wieszcza świadomych każdéj jego myśli i każdego czynu — i ze znawców, na których czele zasiadł nieśmiertelny twórca „Irydiona“. Takich sędziów, choćby z najlepszą słucha-

jących chęcią, nie łatwo zadowolnić — a cóż dopiero jeżeli oprócz nich panuje w sali (jak zwykle na polskich zebraniach) wielka różność zdań, sądów i opinij — większa do nagany niż do pochwały skłonność, i narodowa chętka do protestacyi.

Niepodobne na pozór zadanie zadowolenia wszystkich, p. Klaczko rozwiązał bardzo szczęśliwie. Nie tyle zwykła jemu mozajkowa świetność wykładu, ile wolny i młodzieńczy duch prelekcyi, sharmonizowany wybornie z duchem poezyi Mickiewicza, ujął i porwał od razu każdego kto rozumie dzieła Adama, kto wraz z nim powiedzićć może o jego pieśniach:

„Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, o! dzieci wieszcze!
Myśli moje! Gwiazdy moje!
Czucia moje! Wichry moje!“

Po krótkim wstępie, w którym wyłożył trudności swego zadania, młody profesor uchyliwszy kornie czoła przed cieniem wielkiego wieszcza — z gruntowną znajomością rzeczy, a co większa, z głębokiem jéj poczuciem, roztoczył ogólny pogląd na charakter naszéj poezyi; subtelnem cieniowaniem uwydatnił jéj piękności — wykazując zaś różnicę jaka zachodzi pomiędzy nią a arcydziełami innych narodow, różnicę którą stanowi ów wrzący niepokój co jak czarna chmura osłania szczyty polskiéj poezyi — porównał ją do oblicza *Maryi* „w któréj oczach lampa szczęścia się paliła i zgasła... i swym dymem całą twarz zaćmiła“. W końcu powiedział, że spokój będący warunkiem i powabem słonecznych epopei narodów szczęśliwych, w naszéj poezyi narodowéj byłby grzechem: że niepokój wyższy czasami od spokoju — że Mickiewicz tem właśnie góruje nad Dantem, że włoski poeta znużony życiem tułaczem „pax“ wołał, wznosząc ręce do nieba — polski zaś wieszcz nawet na smiertelnem łożu nie pragnął i nie zaznał spokoju....

Potem, zstąpiwszy z hymnu do prostéj powieści, profesor opowiadał pierwsze lata Adama przeżyte cicho w rodzicielskim domu — ową chwilę radosną, kiedy

się zbudził duch wieszcza — rok 1812 w którego poranku wśród tulipanów i narcyzów ujrzał nad brzegami Willii białe rabaty francuzkich żołnierzy, błyszczące tysiącem barw pułki wielkiéj Armii „stada nieznanych ptaków jakby gilów, siewek i szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek“ — słowem, tę wiosnę którą Mickiewicz tak rzewnie wspomina mówiąc:

. . . .

Ja tylko taką jedną wiosnę miałem w życiu!

Na tem skończyła się ta pierwsza lekcya owiana od początku do końca szmerem zadowolenia, co jak dymiące z rozgrzanych serc kadzidło rozchodziło się po sali. W drugiéj będzie mowa o gnieździe naszych wielkich ludzi, o Uniwersytecie Wileńskim.

Mówiąc o poezyi polskiéj wspomnieć tu jeszcze muszę o polskim wynalazku który w tym czasie zwrócił uwagę Francuzów. P. L.... M.......... obecnie professor historyi i geografii w Paryżu, ułożył i wydał *geograficzno-strategiczną grę;* uczona ta zabawka, uznana za bardzo pożyteczną dla młodzieży, w tutejszych szkołach wojskowych wielką pozyskała wziętość. — Trudno jest opisać, a jeszcze trudniéj zrozumieć z opisu reguły téj gry, w którą zdolny strategik przebrał naukę, chcąc pod ponętną szatą zabawy podać młodemu pokoleniu główne zasady ważnéj sztuki wojowania. — Nie wdając się przeto w kwadraty, trójkąty, sieci, etapy itd. których bez rysunku ani sposób zrozumieć, powiem ci tylko ogólnie, iż jestto gra podobna do szachów, których szachownicą może być jaki bądź kawał karty geograficznéj, gdzie oznaczone fortece lub miasta, bronią i zdobywają umyślnie do tego sporządzone czterdzieści figur przedstawiające armie, sztaby i twierdze.

Mam sobie za obowiązek donieść ci o tym pięknym wynalazku, który już praktyczne i światłe umysły francuzkie oceniły, mniemam bowiem, że korzystanie z niego nam się z prawa należy, i że młodzież polska chociaż teoretycznie zechce pokazać Francuzom że nie tylko oni umieją zdobywać fortece.

Gry téj z mapami i szczegółowym opisem, dostać można w Paryżu w księgarni Francka, ulica Richelieu Nr. 67.

W tutejszéj literaturze najważniejszem dotąd zjawiskiem są dwie książki Villemaina: *Trybuna Nowożytna*, i drugie poprawne wydanie przekładu *Rzeczypospolitéj* Cycerona, w teatrach zaś *Le Fils Naturel* Dumasa II. najwięcéj zaciekawia Paryżanów.

Nie mając nic do powiedzenia o wymienionych dziełach czysto politycznéj treści, prócz, o czem już wiesz zapewne, iż są nader liberalne — powiem słów parę o owém nieprawem dziecięciu, którego przesadzona sława już do twych uszu zapewne dobiegła.— „*Syn Naturalny*“ daleko niższy zdaniem mojem ad „*Kameliowéj Damy*“, a mianowicie od „*Diane de Lys*“ najlepszéj ze sztuk Dumasa — zyskał prócz zwykłego uznania przyjaciół literatów, gorącą sympatyę tłumu, którą dzieło swéj powszedniości, a autor swemu szczęściu zawdzięcza.

Nie inaczéj. Szczęściu i tylko szczęściu co mu w kolebce podarowało sławę któréj inni ani większą pracą ani większym talentem dokupić się nie mogą, winien Dumas syn wysoką pozycyę jaką pomiędzy paryzkiemi literatami zajmuje. Szczęście, które w literaturze nie jest czem innem tylko tajemną harmonią z duchem czasu, ludźmi i obyczajami, oto jego talizman — jeden z najdroższych na świecie. Dla tego iż go nie posiadały największe geniusze za wcześnie lub za póżno na ten świat przybyłe, były niezrozumiane i odepchnięte: do zdolności ich mięszały się zawsze rażące spółczesnych opinie, które jak młoty biły rozbijały to, co lepiéj było powoli i po cichu rozwiązać; z téj przyczyny pisarze ci sławę zyskali póżno, a często nawet dopiero po śmierci; Dumas II rozwiązał trudne zadanie zdobywania jéj prędko, bez walki i tanim kosztem.

Obok odziedziczonéj po ojcu drobnéj cząsteczki jego dramatycznych zdolności, syn posiada pozytywniejszą od papy świadomość życia — jeżli nie *powszechnego*, jakie malowali Arystofanes, Szekspir i Molier, to *powszedniego*, a mianowicie téż paryzkiego. Jest on w całem znaczeniu tego wyrazu, dzieckiem swego czasu i jego malarzem — czem zupełnie tłómaczy się owo gorące przyjęcie, jakiego od młodego pokolenia doznaje.— W żadnym utworze Dumasa nie dojrzysz starożytnego wzoru, nigdzie śladu nauki lub tradycyi — wszystkie zdają się wczoraj wyrosłe i rozkwitłe na jakiejś nowéj ziemi. Przeglądając

dzieła jego rzekłbyś że pisał je człowiek, który nigdy nic nie czytał; Dumasa II. najwłaściwiéj można porównać do malarza, któryby nie widziawszy żadnego z utworów wielkich mistrzów, malował z natury obrazy uderzające prawdą, chociaż pozbawione ideału i stylu.

Bardzo powszedniéj kanwy, na któréj Dumas sztukę swą wyhaftował blaszkami dowcipu, jaskrawemi kwiatami bez woni i szklanemi paciorkami mającemi naśladować perlową rosę nieobecnego czucia — szczegółowo rozbierać tu niebędę: w tytule masz rzecz całą. Pierwszy akt uwiedzenie — drugi, opuszczenie i urodziny — trzeci łamanie się ze światem bezimiennego — czwarty, jego *wyjątkowe* powodzenie i jeszcze *wyjątkowsze* dojście do 30,000 dochodu — piąty, nienaturalne umizgi naturalnego ojca który synowi spóźnione swe afekta przynosi, a które syn odrzuca, przekładając nieświetne nazwisko poczciwéj matki, nad dostojne miano niepoczciwego ojca — ot cała historya. Co przez nią chciał dowieść Dumas — niewiadomo.

Odbyła się tu w tych dniach licytacya, na któréj sprzedano kilka ciekawych przedmiotów z czasów Rzeczpospolitéj. Był najprzód plan Paryża z 1793 roku, ze wszystkiemi ówczesnemi przezwiskami ulic i gmachów. I tak na przykład, na planie tym *Palais-Royal* zowie się „*Palais-Egalité*“; ulica *Petit-Bourbon* „*rue de Lucrèce-Vengée*“; *Faubourg Mont-Martre* „*Faubourg-Mont-Marat*“ i t. d.

Następnie licytowano talię kart z téjże epoki. Fabrykant kart owych mniemał, iż dobrze myślący republikanin, nawet w zabawie nie powinien używać wyrazów przypominajacych despotyzm i nierówność. Wyrzucił więc z gry wszystkie asy, króle, damy i walety, i nadał kartom inną nomenklaturę. Asy zowią się u niego *prawami*: jest *prawo* karowe, *prawo* sercowe, *prawo* pikowe i treflowe. Króle zowią się *geniuszami*: geniusz sercowy jest geniuszem wojny; geniusz karowy, geniuszem handlu; geniusz treflowy, geniuszem pokoju; geniusz pikowy, geniuszem sztuki. Damy zostały *bóstwami wolności*; zowią się: wolność wyznań, wolność małżeństwa, wolność rzemiosł, wolność druku. Walety znaczą *równość*: równość obowiązków, równość kolorów, równość praw, równość stopni. Ten ostatni, były walet pikowy, wyo-

brażony jest jako młody robotnik w czapce frygijskiéj ze strzelbą w ręku, oparty o kamień zburzonéj Bastylii. Ta jedna talia zabrudzonych kart znalazła tylu amatorów podkupujących się żarliwie, że od pięciu franków licytowana, za bajeczną summę 1800 franków sprzedaną została.

Na téjże licytacyi sprzedano także bardzo drogo, porcelanową grupę któréj jeden tylko egzemplarz istnieje na świecie. Powodem utworzenia téj grupy przywiezionéj do Francyi za Ludwika XVI, było następujące zdarzenie: Cesarzowa Marya Teresa będąc przy nadziei założyła się z hrabią Dietrichsteinem że urodzi córkę — hrabia utrzymywał że syna. — W parę miesięcy przyszła na świat Marya-Antonina, późniéj królowa francuzka. — Cesarzowa kazała uwiadomić hrabiego że wygrała zakład, i że córka podobna do niéj jak dwie krople wody. Wtedy Dietrichstein wywiązując się z długu, kazał zrobić w Saksonii grupę porcelanową rzadkiéj piękności, wyobrażającą Maryą Teresę z córką na ręku, a jego przed nią podającego na klęczkach papier, na którym wypisany następujący czterowiersz włoski:

„*Jo perdei, l'augusta figlia*
A pagar mi à condannato;
Ma s'è ver che voi somiglia,
Tutto il mundo a guadagnato."

(Przegrałem; córa twa do zapłaty mnie zmusza; ale jeżeli prawda że do ciebie podobna, cały świat wygrał.)

Grupę tę przywiózł do Paryża w czasie zaślubin Maryi Antoniny hrabia Mercy, ówczesny ambassador Austryacki. Jakim sposobem z tak wysokich progów zeszła na bruk stolicy — jestto tajemnica rewolucyjnych huraganów, co wpadłszy w królewskie pałace nie tylko cacka ale głowy monarchów zdmuchnęły.

Jeszcze jedna osobliwość o któréj wspomnieć warto, znajdowała się w tym zbiorze: karykatura, roboty jednego z najsławniejszych malarzy francuzkich, któréj początku taka znowu historya:

Podczas kiedy wojska sprzymierzone gościły w Paryżu, pewnego dnia zjawił się w ogrodzie tuileryjskim anglik przechodzący oryginalnością wszystkie dotąd wy-

śmiewane w Paryżu albiońskie typy. Figura ta, dłuższa i suchsza od mumii, z ruchami gilotyny, w mundurze najdziwniejszego kroju i barwy, pogrążona w głębokiem dumaniu, zaczęła się przechadzać po królewskich chodnikach.

Ledwie ją zoczył zawsze chciwy widowisk lud paryzki, obskoczył natychmiast ową osobę i z nią razem krok w krok spacerował, żadnéj przez to zadumanemu nie czyniąc dystrakcyi.

Widowisko stało się jeszcze ciekawsze, skoro do wychudłego przyłączył się drugi, niemniéj śmieszny człowiek, niski, grubo-płaski, żywe przeciwstawienie chodzącego skieletu.— Podczas kiedy dwaj przyjaciele nie zważając wcale iż są pośmiewiskiem tłumu, żywą zawiązali z sobą rozmowę — młodzieniec jakiś wydobywszy tekę z pod pachy, zaczął rysować portrety dwóch cudaków.

Gdy się to dzieje, otwarto bramy królewskiego pałacu, i stojący tam na kwaterze książe Wellington w paradnéj karecie wjechał w aleę, w któréj obaczywszy owe dwie figury, powód uciechy powszechnéj, wysiadł, przybliżył się do nich z wielkim respektem i do karety swéj zaprosiwszy, odjechał.

Wtedy, młody malarz który właśnie portrety tych panów naszkicował, mocno zaintrygowany tem co się stało, przybliżył się do jednego ze znajomych oficerów angielskich prosząc o wyjaśnienie zagadki: kto są ci panowie, spytał pokazując mu karykaturę? — Są to, rzekł zapytany, dwaj wielcy ludzie których odkrycia ważnemi będą, póki świat światem: pierwszy, ten oto chudy któregoś pan tak komicznie narysował, zmienił zasady mechaniki, przez co świat na nowe wepchnie tory, i zatrudni tysiące robotników — drugi zabezpieczy życie tysiącom: pierwszy jest Watt, praktyczny twórca maszyny parowéj, drugi Davy, wynalazca lampki górniczéj.

Słysząc to Vernet, gdyż on to był ów młody malarz, podarł swój rysunek i rzucił go na ziemię wstydząc się iż śmiał z takich ludzi błaznować. Ktoś z tłumu podniósł podartą karykaturę, zlepił kawałki — i znać schował dobrze, bo dziś tenże szkic pojawił się na licytacyi zupełnie świeży i został sprzedany na wagę nie złota, ale banknotów.

Prócz wymienionych czterech osobliwości, sprzedano jeszcze bardzo drogo kilka obrazów malarzy żyjących: *La Chasse au miroir*, maleńki obrazek Decampa zapłacono 2,190 fr.; *Lwa pożerającego swą zdobycz*, ołówkowy szkic Delacroix, 1000 fr.; *Nimfa i Amor*, Diaza, 2,000 fr.; mikroskopijny obrazek Willemsa *Kokieterya* 3,000 fr. i t. d. Widzisz z tego, że malarstwo popłaca w Paryżu, co niedowodzi bynajmniéj żeby je kochano. Francuzi udają wielką miłość dla sztuk pięknych, zdaje im się bowiem, iż przez to podwyższają w opinii świata swą intelligencyę — ale rzeczywiście lubią oni tylko dowcip; najpiękniejszy obraz nie sprawia im tyle przyjemności co zręcznie ułożony kalambur. W sądzeniu dzieł sztuki zwykli trzymać się mody; ten lub ów malarz wchodzi w modę na rok lub dwa, jak jaki strój lub cacko — bawią się nim, wyrywają go sobie — poczém, rzucają w kąt, i już o nim ani wspomną. Nie tylko żyjący ale i dawni, uznanéj sławy artyści, także prawidłom mody ulegają we Francyi. Dowodem następujące zdarzenie.

Na początku tego stulecia, Watteau, Greuze, Chardin, Lancret, słowem wszyscy znakomici malarze francuzcy z XVIII wieku, popadli w taką niełaskę, że obrazów ich nikt w Paryżu nawet za bezcen kupować niechciał. Widząc to pewien doktor za Restauracyi, równie wielki znawca sztuk pięknych jak natury swych ziomków, powziął myśl zebrania kollekcyi dzieł wszystkich tych pogardzonych mistrzów, pewien, iż rehabilitacya ich prędzéj czy późniéj nastąpi.

Nie wiedząc atoli czy się to za życia jego stanie, a chcąc żeby zbiór jego nie prędzéj był sprzedany aż rzeczywistą wartość odzyska — najął mieszkanie na lat 34 — zapłacił komorne z góry, złożył w niem obrazy starannie w pakach zamknięte, zrobił testament którym wyraźnie zakazał żeby nie otwierano mieszkania, ani nie tykano obrazów aż w roku 1858 — poczem, przeniósł się do wieczności.

Działo się to roku 1824.— Przed dwoma miesiącami upłynął naznaczony przez doktora termin. Otworzono więc pokoje, gdzie od lat 34 spały spowite w białe płótna obrazy, których twórcy dziś już właściwe w hierarchii malarskiéj zajmują miejsce, i znaleziono przepyszną ga-

leryę najrzadszych dzieł zeszło-wiecznych malarzy francuzkich.

Zbiór ten kupiony kiedyś za paręset franków, a wedle cen dzisiejszych wartujący blisko miliona, sprzedany będzie temi dniami na korzyść jedynego spadkobiercy, oficera z gwardyi cesarskiéj, któremu ani się śniło o niespodziance, jaką ś. p. jasnowidzący wujaszek artystom i siostrzeńcowi przygotował.

Florencya w lutym.

Uważałem że z Nizzy aż do Messyny w każdém portowém mieście włoskiém gdzie się tylko zatrzymywałem, zawsze mię namawiano kiedym się puszczał w dalszą podróż, do brania statków parowych kompanij włoskich, to jest neapolitańskich lub piemonckich, nieomieszkując przy téj sposobności oczerniać francuskie parowce towarzystwa *des messagéries impèriales.* Kilka razy dałem się złapać, alem to późniéj zawsze srogo odpokutował. Pięknie to zapewne ze strony Włochów, jeżeli przez ducha spekulacyi lub przez patryotyzm popierają krajowe przedsiębiorstwa, ale turysta który szuka wygody a przedewszystkiém bezpieczeństwa, co jemu do tego, czy zostawi téj lub owéj kompanii kilkadziesiąt franków? Uzbrojony więc w niejedno doświadczenie, odrzucałem czynione mi w różowych kolorach przedstawienia mego *servitore di piazza*, i czekałem cierpliwie w Genui na pierwszy francuski okręt, którym zamierzałem przeprawić się do Livorno. Z resztą czekać w Genui nie jest to żadném ciężkiém lub nudném zadaniem: możnaby całe miesiące spędzać wśród wspomnień téj zgasłéj rzeczypospolitéj, która zostawiła potomkom takie bogate ślady swéj dawnéj dumy i potęgi. Nawet temu kogo nie obchodzą pamiątki historyczne, bogate kościoły lub galerye obrazów, zostają jeszcze piękne położenie miasta, zachwycające okolice ze swojemi willami Pallavicini, Durazzo i Spinola, a wieczorem dobre opery w teatrach „Carlo Felice“ lub „Paganini.“ Ale czyż można być choć raz w życiu pewnym tego, co się zrobi dnia następnego? Na co się przyda i doświadczenie

i niezłomna wola, jeżeli słowo jedno wdzięcznie wymówione, potrafi je odrazu zniweczyć. Chodziłem właśnie po *Strada Nuova* wracając od hr. Maksymiliana Graziani, który nawiasem mówiąc długi czas bawił w Księstwie Poznańskiém i który mnie zaprosił był na próbę opery skomponowanéj przez siebie, a mającéj się przedstawić w Medyolanie lub Turynie pod wiosnę. Czy ona kiedy światło ujrzy, tego niewiem, bo w téj pięknéj Italii gdzie wszyscy komponują i śpiewają, ileż to utworów kryje się skromnie po tekach. Libretto jest pióra p. de Benedetti i nosi nie sympatyczny tytuł: „*Pietro Arbues Inquisitore di Siviglia.*" Melodyi jest tam podostatkiem, są nawet chwile wcale oryginalnéj nowości, zanadto tylko niekiedy przypominające Verdego. Zamyślony chodziłem tedy jak mówię po *Strada Nuova* a jeszcze mi brzmiała w uszach śliczna arya tenora

Treme il cuore la mente geme
Al pensier dell' infelice...

kiedy z nienacka marzenia moje przerwane zostały słowami: „Pan w Genui!" Obróciwszy się spostrzegłem śliczną Lady N. moją dawną znajomą. Po kilku słowach dowiedziałem się że jedzie tego samego wieczora do Livorno parowcem piemonckim „Eden" na spotkanie męża wracającego z Indyj Wschodnich, i z niemałém podziwieniem usłyszałem także, że jéj towarzyszyć muszę, bowiem będąc sama ze służącą i nie umiejąc słowa po włosku, nie może się obejść bez pomocy znajomego mężczyzny.

Angielki są albo zupełnie piękne, albo całkowicie brzydkie. W rasie anglosaskiéj nie znajdziesz tego *mezzo-termine* jaki co chwila daje się spotykać we Francyi, gdzie kobieta nie mając nic estetycznie pięknego, bywa częstokroć nader powabną. Angielka jest albo ideałem urody, którego słodki wyraz przypomina Madonny Corregia, albo straszydłem mającém w sobie coś końskiego. To ostatnie porównanie jest zapewne niezbyt wykwintne, ale przyznaj sam szanowny czytelniku, czyli ci się nie zdarzyło spotkać w twoich wędrówkach po świecie téj wychudłéj istoty o długich

nogach i zębach, którąbyś z pewnością wziął za wyścigowego konia, żeby nie miała w ustach wiecznego wykrzykniku *oh!* Owóż moja piękna lady należała do pierwszéj kategoryi. Nie będę tu wyliczał wszystkich jéj powabów, wspomnę tylko że przeźroczysta jéj płeć i lazurowe oczy jak najszczęśliwiéj odbijały pod włoskiém niebem, którego zdały się być odcieniem, i dodam nadto, choćbym miał nawet ściągnąć na siebie wszystkie pioruny *Przeglądu Poznańskiego*, że takich drugich ust jak żyję nie widziałem, i że nie pojmuję męża, który mógł się z niemi rozdzielać o całą przestrzeń z Londynu do Kalkuty. Nie porównam tych ust do róż i do korali, bobym wpadł tym sposobem w oklepane metafory wytarte piórem wszystkich poetów i pisarzy jak suknie długiém noszeniem, przyznam się nawet, żem wielce zakłopotany wynalezieniem stósownego p.równania dla tego arcydzieła natury, świeżego jak kwiatek, rumianego jak rozpękły pod słonecznym promieniem granat, a zmiennego i kapryśnego w swoim wyrazie jak kalejdoskop w swoich wzorach... By nie pomnażać porównań, dołożę, iż lady N. przypominała nasze rodaczki niesłychaną liczbą kufrów z któremi się wybrała; miała ich bowiem czternaście, a jeden z nich naśladował swoją objętością największe nasze drogiéj pamięci tłomoki. Genua będąc fortecą, po ósméj godzinie z wieczora zamyka bramy swego portu i zostawia otwartą dla podróżnych jedną tylko małą furtkę, przez którą nasz wielki kufer z trudnością się przecisnął. Po wielu kłótniach z fakinami i patetycznych dialogach, bez których niepodobna się obejść podróżując po Włoszech, stanęliśmy nareszcie u parowca „Eden,“ czyli raju ziemskiego. Jeżeli rzeczony statek miał jakiekolwiek podobieństwo do raju ziemskiego zamieszkałego przez pierwszych rodziców naszych, to pojmuję łatwo ich pośpiech w kosztowaniu zakazanego owocu dla wydobycia się z tak szczupłego mieszkania. Własnym oczom dowierzać nie chciałem, ażeby można tak drobną nawą puszczać się na niestałe i kapryśne fale morza, zwłaszcza, iż bez żadnéj przesady nasz okręt nie wiele był większym od tych, które płyną z Warszawy do Gdańska. Dla lady N. i jéj służącéj, wyznaczono jedyną kabinę, która była na pokładzie, mnie zaś z góry

oświadczono, że już wszystkie łóżka zajęte, i że mi wolno będzie spędzić noc na pomoście. Szczęściem, że pogoda zupełnie nam sprzyjała, a morze było spokojne jak zwierciadlana powierzchnia, w któréj błękicie odbijała się jasność księżyca i milionów gwiazd. Trudno znaleść chwilę bardziéj uroczą od téj, w jaką opuszczaliśmy dawną dożów siedzibę. W miarę jakeśmy się od niéj oddalali i jak nam powoli z ócz znikała w pomroce nocnéj, wzrastał cały amfiteatr gór, których szczyty pobielone śniegiem ginęły w obłokach. Lady N. była zachwyconą tym widokiem i tą czystością powietrza, ona, która urodzona i wychowana wśród kurzawy i mgły angielskiéj stolicy, nie przypuszczała nigdy tak jasnéj nocy. Po kilko-godzinnéj rozmowie, podczas któréj dowiedziałem się, że lord N. bawił w Indyach dla spieniężenia swoich tam posiadłości skompromitowanych przez Nana-Saiba, którego postępowanie uważał za *shocking*; towarzyszka moja udała się na spoczynek do swojéj kabiny. Chodziłem więc sam po pokładzie i marzyłem o moich osobistych wrażeniach, o morzu, o gwiazdach, o poezyi, podczas gdy urocze widoki przysłonięte błękitnemi mgłami i posrebrzone światłem księżyca, przesuwały się przedemną jak w olbrzymiéj panoramie. Każdy brzeg miał swoją piękność, każda zatoka swoją nocną tajemnicę, każdy wierzchołek swoją pamiątkę. Nad odnogą Spezii, na stromym i skalistym szczycie, piętrzącym się nad dzikiém łożyskiém Magry, rysowała się w sinym nocy światłocieniu czarna sylwetka zwalisk klasztoru *del Corvo*. Tam to niegdyś w XIV wieku, za krwawych zatargów Gwelfów z Gibelinami, które zamieniły były ogród Europy w pokrwawione i spustoszone pobojowisko, bracia zakonni spieszący na nieszpory, ujrzeli razu jednego ponurego i milczącego pielgrzyma, który się błąkał po klasztornym dziedzińcu. Głębokie i przedwczesne zmarszczki, ślad srogiéj niedoli i ognistych namiętności, zorały mu czoło, na którém błyszczał nieśmiertelny promień myśli i królewskie jeniuszu znamie. Nieznajomy przechadzał się nierównym krokiem po klasztornych portykach, nagle się niekiedy zatrzymując i wytężając oko ku poczerniałym ścianom i zakraconym oknom, a gdy przeor zdziwiony tą milczącą przechadzką i uważnėm śledzeniem, zatrzymał go

i zapytał czego szuka? wędrowiec gdyby przebudzony ze snu głębokiego, odrzekł mu stłumionym głosem: *la pace!* pokoju!... Był to Dante Alighieri!

Koło drugiéj godziny w nocy otworzyła się kabina, i ukazała się moim oczom lady N. cała w bieli z rozpuszczonemi włosami — istna Ofelia.

— Czy pan możesz mi oddać małą usługę? — zapytała.

— Czy mogę! — pomyślałem sobie, (a w téj chwili byłem gotów okręt podpalić).

— Czy pan może — mówiła daléj, — wystarać mi się o świecę, bo się moja skończyła?

O nielitościwa prozo!

Nie widząc nikogo czuwającego na całym statku, udałem się do sternika pytając go:

— Czy kapitan śpi?

— *Già.* (tak jest).

— A oficerowie czy śpią?

— *Già.*

— I służba także?

— *Già.*

— Jak to, więc nikt nad nami nie czuwa?

— *Già.*

Mnie się zdaje, że gdybym się go był zapytał czy sam śpi, byłby odpowiedział: *già.*

Oto masz szanowny czytelniku obraz statków parowych włoskich. Sam tedy dopiero wyszukałem kawałek świecy dla zaspokojenia mojéj pięknéj lady, która spać nie umiała bez światła.

Z pierwszym blaskiem poranku stanęliśmy w Livorno, gdzie nastąpiło nasze rozstanie się. Lady N. została tam przy mężu, który już był wylądował, a ja pospieszyłem koleją żelazną do Florencyi.

Ze wszystkich miast włoskich, Florencya jest pewno miejscem, gdzie podróżnik najmiléj i najweseléj swój czas spędza. Za każdym razem co wjeżdżam do stolicy Toskanii, przejmuje mię jakaś radość — zdaje mi się, żem o dziesięć lat młodszy. Wszystko tu przemawia do serca i do zmysłów — poezya, malarstwo, rzeźba. Gdzie się tylko obrócisz, uderzają cię takie nazwiska jak Dante, Boccacio, Galileusz, Machiavel, Michał-Anioł, Donatello, Amerigo Vespucci. Do tego życie nadzwy-

czaj łatwe; zdaje ci się, że stąpasz ustawicznie i codziennie po drodze okrytéj różami, a porównanie to nie jest przesadzoném, bo w żadném mieście na świecie nie masz tyle kwiatów co we Florencyi. Taniość niesłychana, dobra muzyka, gościnność dla cudzoziemców i czułe serca pięknych kobiet. Tu nie potrzebujesz wzdychać przez całe lata u stóp okrutnéj kochanki, bo jak mówiła mi słusznie ś. p. pani Strzyżewska: „w tym kraju romanse tém się zaczynają, czém się gdzieindziéj kończą.“

Nie mogąc zostać we Florencyi dłużéj nad kilka dni, pobiegłem co śpieszniéj do galeryi Pitti, gdzie się spotkałem z Józefem Doncet, z tym uczonym, dowcipnym i wesołym autorem, którego teraz listy możecie często czytać w czasopismie *Le Monde Illustré*. On także spieszył do Rzymu, a zatém razem obiegliśmy główne ciekawości miasta, zatrzymując się najdłużéj w sławnéj sali *la Tribuna*, w galeryi *degli Uffizi*, przed owém arcydziełem greckiego dłóta co ją Wenerą Medycejską zowią — tudzież w kaplicy Medyceuszów przed cudownym Myślicielem, *Il Pensieroso*, Michała-Anioła, przed freskami Masaccia w kościele *del Carmine* kolebką nowożytnego malarstwa, przed strzelistą białą i wysmukłą jak dziewica wieżą Giotta. Po całym dniu najpoetyczniejszych i najserdeczniejszych wzruszeń, poszliśmy ku wieczorowi do *Café Doney*, gdzie nie potrzebując już usługi mego *servitore di piazza*, odprawiałem go, gdy ten się zbliżył i zapytał, czyśmy już widzieli „*Burasco e Pietro?*“ Obaj spojrzeliśmy najprzód na niego, potém na siebie i rzekli razem:

— Co to za Burasco i Pietro?

Nasz *cicerone* rozśmiał się i wychodząc rzekł:

— Panowie żartują i lepiéj wiedzą jak ja kto oni są.

Ta odpowiedź nie zaspokoiła naszéj ciekawości; zawołaliśmy więc *cameriera* powtarzając to samo pytanie, lecz i ten zdawał się niedowierzać naszéj niewiadomości i dopiero gdyśmy mu wytłumaczyli, że jako cudzoziemcy jesteśmy ludźmi bez żadnego wychowania i nauki, a pokazaliśmy mu przytem srebrną dwufrankówkę, ten z poważną miną tak do nas przemówił:

— Burasco i Pietro są to dwa psy, pierwszy jest panem, drugi jego służącym albo jak inni twierdzą *segretario* (sekretarzem) pierwszego. Nikt dotąd nie wie zkąd się one wzięły, nie należą bowiem do nikogo, albo raczéj należą do wszystkich. Łączy ich największa przyjaźń, są oni Kastorem i Polluksem psiéj rasy. Burasco jako pan, gdy mu kto rzuci sztukę mięsa zje najprzód połowę a drugą zostawi zawsze wiernemu swemu słudze. Pietro choćby najgłodniejszy nie pozwoli sobie nigdy skosztować czego bądź bez pozwolenia mistrza. Na ulicy, Burasco idzie naprzód, sługa za nim. Bronią się nawzajem od psów patrzących z zazdrością na tę długoletnią przyjaźń. Chodzą w dzień między piątą a szóstą na obiad *alla Luna*, tutaj zaś na kawę o siódméj, a na kolacyą do restauracyi *à la ville de Paris.* Raz tylko od czasu jak ich Florencya zapamięta, pokazali sobie zęby i to z przyczyny białéj jak śnieg charcicy. Oba mniemali posiadać jéj względy, ale gdy się spostrzegli że to była kokietka tak jak wszystkie charcice, pogodzili się i większa niż przedtem połączyła ich przyjaźń. Bywalcy kawiarni Doney złożyli się na 30 lirów rocznie i płacą podatek za nich.

Gdy *cameriere* kończył swe zajmujące opowiadanie, weszły do kawiarni psy, o których była mowa. Burasco jest koloru zwyczajnych naszych ogarów, tylko że ma długi i jak jedwab mięki włos. Pietro zaś jest całkiem czarny, ma włos krótki i postać wcale nie arystokratyczną. Gdyby zaś który z was szanowni czytelnicy zamyślał pojechać umyślnie do Florencyi dla sprawdzenia tego co piszę, to niech pospiesza, bo już Pietro zaczyna się starzeć i pierwsze białe włosy pokazały mu się koło ucha.

Że zaś starożytni moraliści zwykli byli zawsze umieszczać sens moralny przy końcu apologu, korciłoby nas prawie powiedzieć, iż przekonaliśmy się z tego przykładu, że uczucie hierarchii istnieje nawet między zwierzętami...

Wiedeń w lutym.

Upłynął z tym miesiącem czas poświęcony głównie modą panującą w całej Europie, zabawom, balom, wieczorom tak nazwanym *tańcującym*. Karnawał skończył się między wrzawą rozhukanego wesołością świata i pobożnym dźwiękiem dzwonów wołających do porannej modlitwy. Sprzeczność uczuć, wzruszeń, popędów, myśli i objawień woli, jest w naturze ludzkiéj. Dramat życia indywiduów i narodów na niej się głównie opiera. Co dla widzów jest nauką, dla aktorów jest nieraz niepowetowaną klęską. Korzyść stanowcza i pewna pozostaje tylko dla ludzkości.

Karnawał teraźniejszy w Wiedniu w porównaniu z przeszłemi, miał minę dość nudną, prawie smutną, a przedewszystkiem ubogą. W salonach arystokratycznych panowała albo żałoba albo samotność. Wiele rodzin nie wróciło zupełnie na zimę do stolicy. Inne żyły w niej na ustroniu. Trzy tylko były wielkie bale: u księcia Schwarzenberga, u księcia Auersperga i u hr. Bouquoi. Panowała w nich wprawdzie ta sama co dawniej świetność przyboru, ale w strojach a więcej jeszcze w twarzach można było dostrzedz wielką zmianę. Skargi na trudne czasy słyszeć się dawały często i tłumaczyły dostatecznie przyczynę tej zmiany. Arystokracya finansowa dotknięta może jeszcze boleśniej w swych dochodach przez stan giełdy w roku ostatnim, chełpiła się tą razą otwarcie, że ze szlachtą na równi stanąć mogła. Prócz dwóch lub trzech balów, między któremi dany przez bar. Sina był najwspanialszym, ograniczyli się bankierowie i bogaci kupcy na wzór książąt, hrabiów i baronów do małych wieczorków, kończących się na tańcu przy fortepianie i lodach lub herbacie. Reszta czasu schodziła dla obu tych klass, w teatrach lub domowem zaciszu.

Co do balów publicznych, tych było jak powiadają 1200, licząc w ten poczet wszystkie pohulanki płatne, po wszystkich zakątkach miasta i przedmieść. Lecz prawdziwie wielkich i świetnych było mało, i jeżeli gdzie, to w tych właśnie widzieć było można, w jakich oszczędność zamykać się musiała granicach. Trzy czy cztery

tak nazwane bale szlacheckie lub pikniki w sali redutowéj, odznaczały się co do ubiorów dam, niepamiętną skromnością. Bal składkowy Greków, błyszczał wprawdzie perłami i brylantami, ale jak mówiono, przeniesionemi po prostu na ten tylko wieczór ze sklepów. Na balach uczniów prawa, medycyny i szkoły technicznéj, spotkać przynajmniej można było kilka pięknych i świeżych twarzyczek. Tańczono wszędzie, jak się tańczy w Wiedniu, do upadłego. Wątpię jednak, żeby kto się spostrzegł, iżby czas już było obmyśleć inne miejsce dla jadła i postarać się o lepszą kuchnię. Dotychczasowe urządzenie tej części balowych zabaw, wystawia wszystkie zmysły ludzkie na trudne do opsiania próby.

W Reducie mieliśmy jak zwykle, trzy tak nazwane maskowe bale. Dwa ostatnie w tym miesiącu. Sądząc z nazwiska i z tego co się widziało w téj mierze w innych stolicach, możnaby mniemać, że na balach tych większość przynajmniej jest pod maską; że maska jest panią domu, że ona prowadzi rozmowę, bawi towarzystwo i panuje w tańcu. W Wiedniu rzecz się ma całkiem inaczej. Na balach maskowych trzeba szukać maski ze świecą; znalezione, są najczęściej brudne, a prawie zawsze nudne. Dowcipu się niedopytasz i rozmowy wyjąwszy o teatrze lub kuchni, nie znajdziesz. Taniec wśród natłoku fraków i niezamaskowych kobiet, niepodobny. Zabawa więc cała ogranicza się do siedzenia lub stania na jednem miejscu, gdyż są chwile, w których chudemu nawet przecisnąć się po sali byłoby niebezpiecznem a przynajmniej nie łatwem. Muzyka na takich balach trwa zwykle do 12téj. W parę godzin po północy, widzieć już można tylko tu i owdzie kilku śpiących inwalidów. Swiat ubawiony albo przynajmniej doskonale zmęczony, zemknął pierwszy, i tak tłumnie i skoro, jak przybył.

Teatra są ożywione obecnością artystów zagranicznych. Towarzystwo francuskie dało szereg pięknych i wesołych przedstawień. Publiczność odpłacała się oklaskami. Lepiéj byłoby gdyby rzuciła w tę stronę trochę więcéj pieniędzy. Lecz oszczędność z jednéj, a nieznajomość języka z drugiéj strony, mogą służyć za wymówkę. Wszakże na przedstawieniu „*Syna naturalnego*“ trudno było znaleść miejsce. Arystokracya zajmowała wszystkie

loże. Uwielbiano artystów; sztuka zaś nie zadowolniła. Znaleziono że za rozciągła, że dyalogi lubo dobrze napisane, nie odpowiednie rozmiarom akcyi, że nareszcie ta sama akcya ma nie wiele interesu dramatycznego, i że cel moralny żaden albo fałszywy. Ze zdaniem tém publiczności zgodziły się dzienniki. Podług mnie jest to mówiąc krótko, najsłabszy utwór Dumasa. Towarzystwo francuskie da jeszcze dwa lub trzy wieczory, i uda się potém do Drezna, zostawiając po sobie w Wiedniu dobre wspomnienie i życzenie prędkiego powrotu.

Pani Ristori rozpoczęła swe przedstawienia w Carltheater. Ma 1,000 złr. za każde, z kasy dyrektora p. Nestroy, który zatrzymuje sobie resztę lub dopłaca ze swojéj kieszeni. Dotąd spekulacya dla niego nie najlepsza. Może ceny są nazbyt wysokie; może język włoski jest w Wiedniu więcéj jeszcze obcym niż francuski; może nareszcie, że i tu oszczędność ma głos swój przeważny. Co do wartości artystycznéj tych przedstawień, któż o niéj wątpić może? Pani Ristori była wielką artystką obok Racheli. Jest teraz jedyną. W „Deborze“ i w „Camma“ podniosła entuzyazm publiczności do fanatyzmu. Gra jéj pełna życia, ognia, rozumu i wprawy artystycznéj. Mojém zdaniem brakuje jéj jednakże tego estetycznego, świętego, czystego namaszczenia, które cechowało Rachelę. Ristori jest niezrównaną w dramatach nowożytnych lub tragedyach zbliżonych do tego kroju — Rachel była duszą i uosobieniem tragedyi, prawdziwéj, wielkiéj tragedyi klasycznéj.

W Operze nic nowego, chyba że weźmiemy za nowość operę Halevego, daną przed piętnastu laty w Paryżu „Królowa Cypru.“ Muzyka w stylu hucznym: są sceny w których grają trzy orkiestry razem. Melodyi prawie żadnéj. Wystawa wspaniała. Szkoda kosztów, gdyż publiczność już na trzeciém przedstawieniu zatykała uszy i czekała z upragnieniem końca. Balet winien pannie Legrain cały wpływ, który wywiera na tę samą publiczność w przeciwnym duchu. Oklaski które zbiera co wieczór ta niezaprzeczonego talentu artystka, są szczere i zasłużone. Panna Ricci zajmuje przy niéj drugie, ale chlubne miejsce.

GAZETKA LITERACKA

Kraków. Rzadko pojawiają się u nas utwory belletrystyki, mianowicie w rodzaju romansów; rodzaj ten bowiem przed ukazaniem się nie wysyłany bywa za granicę gdzie jak mówią ekonomicy *popyt* na niego wielki. Niewiemy czy od lat kilku pokazało się co romansów drukowanych w Krakowie, prócz tych co wychodzą w tłumaczeniach *Czytelni Domowéj*, dla tego zjawisko w tym rodzaju należy do prawdziwych nowości i niespodzianek. — Zjawiskiem tem jest *Jedynaczka* powieść w jednym tomie napisana przez Walerego Wielogłowskiego, który *Obrazkami obyczajowymi* dał poznać swój wyborny talent malowania każdego spółeczeństwa czy wiejskiego czy wyższego, a malowania podług natury i z wielką znajomością jéj drobnych tajemnic. Sceneryą *Jedynaczki* są nasze góry, a mianowicie obwód Sądecki. — W poważnéj historyczno archeologicznéj treści mamy już zapowiedziane dzieło X. Biskupa Łętowskiego pod tytułem: *Historya i opisanie Kościoła Katedralnego w Krakowie.* W pracy téj opartéj na nietkniętych dotąd źródłach wizyt biskupich, czeka nas niejedna nowość tak w szczegółach obchodzących historyą, jak zabytki starożytne, trzeba bowiem wiedzieć, że dawne wizyty biskupie obejmowały najdokładniejszy opis tak aparatów jak malowideł, ołtarzów, sreber, bibliotek itd. kościelnych. Mamy przeto nadzieję, że dostojny autor wskrzesi nam całą przeszłość téj królewskiéj świątyni, szczególniéj od 15go wieku od którego mają się przechowywać księgi wizyt kościelnych. Wydanie tego dzieła ma być monumentalne, w formacie arkuszowym, ozdobne chromolitografowanemi widokami wnętrza świątyni we wszystkich jéj przecięciach i częściach. — Robota tablic chromolitografowa-

nych powierzoną będzie najznakomitszemu litografowi w kraju p. M. Fajansowi, który wykonaniem wielu dzieł, mianowicie do wzorów sztuki średniowiecznéj, dowiódł że sztuka ta tak dobrze może kwitnąć u nas, jak kwitnie w Paryżu, Monachium, Berlinie itd. Wielką także pomocą przy wydaniu tego dzieła będzie ta okoliczność, że p. Fajans przyjął Dyrekcyę zakładu litografii założonéj przy *Czasie*, która zaopatrzona dziś w najdoskonalsze aparaty i machiny, może bardzo prędko pod tak biegłym artystą zrównać się z najlepszemi zakładami litograficznemi zagranicy. My, cośmy dotąd przywykli, a raczéj zmuszeni byli każdą lepszą robotę dawać obcym litografom; cośmy żywili się samymi produkcyami litografij zagranicznych, możemy teraz mieć je u siebie i nietylko przez to pomagać do kształcenia się smaku narodowego, ale nadto niemałe summy oszczędzić krajowi wydawane rok rocznie na zakupno takich np. obrazków świętych, lub litografij służących do ozdoby salonów.— Ruch w téj gałęzi zrobiony będzie oraz dobrym przykładem jak i w innych gałęziach gospodarstwa krajowego, możnaby ograniczyć się na własnych siłach, byle temi siłami umieć zakierować umiejętnie i praktycznie.

Biblioteka polska wydawana przez p. Turowskiego także postępuje w wyborze pism ogłaszanych w tym zbiorze. — Ostatniemi czasy zawdzięczamy mu ogłoszenie niepospolitéj wagi dziełka, należącego do wielkich bibliograficznych rzadkości, są to *Pisma polityczne X. Józefa Wereszczyńskiego* Biskupa Kijowskiego: z dokładną wiadomością o jego życiu i pismach.

— W drukarni Karola Budweisera i spółki wyszedł Szematyzm duchowieństwa téj części dyecezyi krakowskiéj, która pod panowaniem ces. austryackiém zostaje na r. 1858 *Elenchus cleri partis dioecesis cracoviensis sub dominio caesareo-austriaco sitae, anno salutis 1858*) w 8ce str. 66. Podług tegoż spisu znajduje się w Krakowie wraz z okręgiem kościołów parafialnych i klasztorów 72, cerkiew grecko-katolicka, kościół filialny 1, kaplic większych 4, kleru świeckiego 119, zakonników 157, zakonnic 207. W samym Krakowie liczą kościołów 36; w okręgu zaś podzielonym na trzy dekanaty (czernichowski, nowogórski i bolechowicki) parafij 32 i 4 klasztory. Żałować tylko wypada, iż przy pojedynczych kościołach nie widzimy podanych dat erekcyjnych podług wzoru innych szematyzmów dyecezalnych mianowicie tarnowskiego i przemyskiego. —

Zagrzeb. Towarzystwo archeologiczne zagrzebskie wydało już czwarty tom zbiorowego pisma: *„Archiw do historyi południowo-słowiańskiéj,“* w narzeczu illirskiém. Tom ten znacznéj objętości przez p. Jana Kukuljewicza Sakcińskiego, starannie zredagowany, zawiera pomiędzy innemi: Żywot Stefana Deczańskiego cara serbskiego przez Grzegorza hegumena monasteru deczańskiego w XV wieku napisany — Krótkie latopisy horwackie przez Szymona Klimentowicza, Szymona Glawicza i popa Andrzeja Istryjanina w XVI wieku spisane. — Słowo presbitera Kosmy o heretyckiéj sekcie Bogomiłów (pomnik z XVI wieku). Uwagi nad dwoma legendami o apostołach słowiańskich przez Fr. Raczkiego. — O literaturze

glagolickiéj przez J. S. Srezniewskiego. — Żywot Fryderyka Benkowicza Rzeźbiarza słowiańskiego. — Listy oryginalne historyka Jana Lucia — Opis starożytności w Bośnii przez M. Nediczą. — Opis starożytności Macedońskich przez Stefana Berkowicza. — Niektóre ciekawości z Syrmii przez M. Stojanowicza. — Historyczne szkice z Syrmii przez E. Okrugicza itd.

W Zagrzebiu ogłosił także p. J. Kukuljewicz Sakciński w drukarni D. Liudewita Gaja ważną swą pracę pod tytułem: Sprawozdanie z podróży odbytéj po Dalmacyi do Neapolu i Rzymu z wyłącznym poglądem na słowiańską literaturę, sztuki i dzieje (*Izviestje o putovanju kroz Dalmaciju u Napulj i Rim z osobitom Obzirom na slavensku književnost, umietnost i starine*) w 8ce str. 88.

Wiedeń. Z Nowym Rokiem zaczęto w téj okolicy wydawać z polecenia Ministerium Spraw wewnętrznych, dziennik bibliograficzny, pod tytułem *Bibliographisches Centralorgan* obejmujący spis wszystkich dzieł jakie w ciągu roku wychodzą w Monarchii Austryjackiéj. — Redaktorem tego pisma jest znany w literaturze Dr. Wurzbach. Bardzo to jest potrzebne pismo, tylko w tém niedogodne, że utrudnia rozpatrzenie się w massie tytułów bo niema podziału na narodowości, a zatem — chcąc znaleść jaką polską książkę, trzeba szukać między Węgierskiemi, Włoskiemi, Kroackiemi i tak daléj tytułami.

Praga. Nakładem księgarza Józefa Szalek wyszedł właśnie *Zbiór słowackich podań i powieści gminnych* przez p. Bożenę Niemcową ułożony. Spisywaniem tychto powieści z ust ludu słowackiego w Węgrzech zajmowali się pp. Rimawski i S. Reus. — Tenże księgarz wydał także z końcem roku zeszłego: *Zbiór powieści gminnych czeskich*, przez K. z Radostowa w 8 zeszytach, oraz przekłady powieści polskich *Korzeniowskiego: Spekulant, Tadeusz Bezimienny i Rzewuskiego Zamek Krakowski*. Dla okazania niezwykłéj taniości książek czeskich, dodajemy tutaj, iż w tłomaczeniu czeskiém Tadeusz Bezimienny 4 złp. Spekulant 2 złp, a Zamek krakowski (*Samuel Zborovsky*) 6 złp. tylko kosztują.

Poznań. Nakładem Żupańskiego niebawem wyjdą poezye młodego poety *Salvatora Henricolo* (pseudonym oczywisty) pod tytułem: *Lutnia*. Mają to być kwiateczki dość świeże i wonne, pisane w sposobie Heinego. — Xiądz Dydyński drukuje nader zajmującą pod względem dziejowym nawet, *Kronikę miasta Kłecka* z ksiąg miejskich i kościelnych zebraną. Takich zaiste potrzeba nam jest najwięcéj bo każdy najdrobniejszy fakt historyczny, każda drobna przeszłości pamiątka są drogim skarbem.

Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznéj wyszła: *Wskazówka dyetetyczna dla pacyentów przybywających do Franzensbad przez Dra Fryderyka Boschan, przetłumaczona na język polski*, w 8ce str. 55. W dziełku tém mieści się także rozbiór chemiczny sławnych zdrojów mineralnych francensbadzkich.

Prusy wschodnie. W Prusach książęcych gdzie jeszcze około 80 gmin wyznania luterskiego mówi językiem polskim, wydano nowszemi czasy kilka dzieł polskich dla tychże, a mianowicie w Królewcu ogłosił Czygan pastor willenbergski nową edycyją Kazań świątecznych Dą-

browskiego, i M. Gregor pastor królewski, poprawne wydanie Augsburgskiego Wyznania wiary przekładu Herbiniusza pastora wileńskiego w wieku XVII. Drukarnia A. Gąsiorowskiego w Johannisburgu która się przed dwoma laty *Krótkim opisem królestwa pruskiego* w języku polskim przysłużyła, wydała piąty rocznik kalendarza na r. 1858 pod tytułem: *Prawdziwy Prusak* zawierającego między innemi artykuły prozą i wierszem. W tejże drukarni wychodzi także nowy przekład Tomasza a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa podług niemieckiego tłumaczenia lipskiego pastora Krehla dokonany. Program królewskiego gimnazyum w Rastenburgu na r. 1858 zawiera rozprawę o kancyonałach polskich i przekładach pieśni niemieckich kościelnych. Wyliczone są tutaj między innemi prace w téj mierze Reja Turnowskiego, Krzesichleba, Trzecieskiego, Gesnera, Tyszki i innych.

Paryż. Nakładem Biblioteki polskiéj wyszły tutaj właśnie: *Juliana Ursyna Niemcewicza Podróże historyczne po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828 odbyte. Paryż w drukarni L. Martinet 1858* w 8ce, st. XI i 528. Ważne to dzieło z którego zajmujące ustępy znane są już poprzednio czytelnikom Czasu, obejmuje: Podróż w Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie w r. 1816, do Prus polskich i książęcych w roku 1817, po Wołyniu, Podolu aż do Odessy w r. 1818, do Litwy w r. 1819 i do Galicyi w r. 1828.

Uczony jezuita Martinof wydał tutaj opisanie rękopisów sławiańskich biblioteki cesarskiéj w Paryżu (*Les manuscrits slaves de la bibliotheque imperiale de Paris*) o którém to dziele czytelnikom naszym wkrótce dokładniejszą podamy wiadomość.

Warszawa. W Bibliotece Warszawskiej na miesiąc luty mieszczą się następujące artykuły:

Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku przez T. Xcia I. Zaczątki piśmiennictwa polskiego przez Dominika Szulca. Kupiec Wenecki, Dramat Szekspira przekład Józefa Paszkowskiego.

Staropolska miłość Urywka pamiętnika spisany przez J. I. Kraszewskiego.

Kronika paryzka literacka naukowa i artystyczna. Mojżesz Rossini'ego. Karnawał Wenecki przez Ambroise Thomas. — Uwertura ze Struenzy Meyerbeera — Teatr Włoski — Don Bruschino farsa Rossini'ego w Bouffes Parisiennes. — Le rocher de Sisyphe dramat w pięciu aktach, przez p. Didier. — Przemysł sztuka i rolnictwo u Arabów przez p. Franchis. — Wiadomości literackie.

Wiadomości o Kassuli dawnéj miarze polskiej przez Aleksandra Wejnrsta.

Poezye. Poezye z Longfellowa. I Wędrowne ptastwo. II Strzała i pieśń III. Śpiewacy przez M. Ilnicką. Kronika literacka. I Włościanie z okolic Krakowa skreślił J. Mączyński. — Kraków 1858. II Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego przez W. Wielogłowskiego. Kraków 1856 — III Obrazki z obyczajów domownictwą wiejskiego przez W. Wielogłowskiego, Kraków 1857. — IV Obrazek oderwany, przez W. Wielogłowskiego Kraków 1857 — V Obrazek wiejskich roskoszy Kraków 1857. przez K. Kalinkę. Kilka filologicznych uwag nad dziełem Teodora Narbutta. Dzieje narodu litewskiego przez S. Mi-

kuckiego 443 — O kilku nowszych zbiorach poezyi Kwiaty i Kolce przez Felicyana, Warszawa 1856. Kartki życia przez J. Laskarysa Wilno 1856—Han Akmet Janczar przez C. Macherzyńskiego.—Z podań ludu i z obcéj mowy p. J. Prusinowskiego. Warszawa 1858. Przez Bolesława Wiktora 449 — Ułas sielanka bojowa przez Wł. Syrokomlę. Wilno 1858. Przez Wł. — Historya prawodawstw. słowiańskich przez W. A. Maciejowskiego. Tom II Warszawa 1858.

Rozmaitości. Klechdy podlaskie przez Stan. Miłkowskiego.

Korespondencye: Dwunaste i trzynaste posiedzenie wileńskiej archeologicznej Kommisyi. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Ferdynanda Nowakowskiego.

Taż Biblioteka w doniesieniach literackich podaje między innemi następujące wiadomości:

Z publikacyj z początkiem Nowego Roku wydanych, kładziemy na czele poezyi Teofila Lenartowicza w dwóch częściach, nakładem księgarza Alex. Nowoleckiego. Część pierwsza obejmuje świeższe utwory tego poety; część druga wybór z dawniejszych, kiedy był współpracownikiem różnych pism czasowych. Żałujemy, że wydawca nie położył daty pod każdym, tym sposobem widzielibyśmy, jak ten wieszcz ulubiony rozwijał się z latami i wzrastał. Dziękujemy wydawcy za ten zbiorek, są to bowiem jedne z najpiękniejszych kwiatów naszéj dzisiejszych czasów poezyj, pełne wdzięku, formy i prawdziwego namaszczenia.

— Nie możemy pominąć wydanego nakładem S. Orgelbranda pocztu drugiego: „Improwizacyj i poezyi Deotymy“ które równocześnie wyszły, Mieszczą się tu utwory tego wzniosłego talentu od r. 1853 do 1857 w części tylko znane.

— Nakładem G. Sennewalda księgarza wyszła: Stenografia Polska; z rękopismu ś. p. K. Krupskiego b. redaktora Gazety Codziennéj. Jestto pierwsza w tym rodzaju praca w naszym języku; upowszechnienie zasad stenografii i jej znajomość, niemałe może przynieść korzyści. Wydanie staranne objaśnione XXVI tablicami litografowanemi.

— Ogłoszonym został prospekt na Album widoków instytutu Alexandryjskiego ogrodu i okolic Nowéj Alexandryi (pałacu) rysowane z natury przez panią Czernof, litografowane przez A. Cassagne w Paryżu. Wydanie z całym przepychem na welinowym i kolorowym papierze obejmuje 24 widoków różnego rodzaju rysunków, jakoto: sztychów i akwarelli. Wyjdzie w sześciu zeszytach, każdy złożony ze 4 rycin. Cena prenumeraty 100 franków czyli 25 rsr.

— Wizerunków z galeryi łowickiéj arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów, objaśnionych textem historycznym przez J. Bartoszewicza, zeszyt trzeci wyszedł i obejmuje portrety: 1) Piotra Leszczyca A. G. 2) Marcina Zabawy. A G. 3) Jakóba Zninusa. 4) Piotra Srzeniawity. Text do tych wizerunków jest bardzo szczupły, bo nasz badacz nie miał pola do rozwinięcia takowego, choć wyczerpał wszelkie dostępne nam źródła: o tych też postaciach z XI i XII wieku, nikt nic więcéj nam nie wypowie. Spodziewamy się w dalszych zeszytach, gdy przyjdą wizerunki z późniejszych wieków naszych arcybiskupów, obszerniejszych i bogatszych życiorysów, dwadzieścia dwa bowiem zeszytów stanowić będą całość téj publikacyi. Jak poprze-

dnie wizerunki wyszły nakładem litografii A. Pecq'a, tak mamy z tejże litografii wydany w porządku 9 zeszyt królów polskich, z obszernym textem J. Bartoszewicza. Zeszyt ten obejmuje wizerunki królów: Kazimierza Jagiellończyka: Jana Alberta z facsimilem podpisu i Alexandra (z facsimilem) Jagiellończyków, wedle rysunków Alexandra Lessera. Wszystkie odznaczają się tak pięknością rysunku, i odbicia, jakoteż autentycznością swoją.

— Pism Adama Mickiewicza, nakładem S. H. Merzbacha wyszedł z pod prasy tom drugi i obejmuje: Konrada Wallenroda, Grażynę; Powieści historyczne poema Dziady część 2 i 4 oraz nowe poezye, a między temi Farysa. Tom trzeci już jest pod prasą: w nim mamy sześć pierwszych ksiąg Pana Tadeusza: w tomie 4tym sześć następnych, stanowiących całość powieści. Wydawca z całą sumienną starannością przystąpił do druku Pana Tadeusza. Myłki druku w ostatniem wydaniu poprawione przez autora, jako też pozostawione dodatki w różnych ustępach; pierwsze zostały poprawione, drugiemi text ubogacony. Dla wskazania zaś czytelnikom tych dodatków własnoręcznie przez ś. p. Mickiewicza skreślonych: każdy oznaczonym został gwiazdkami, wśród pierwotnego tekstu. Tak na pierwszy rzut oka czytelnik będzie mógł ocenić, o ile to wydanie wzbogaconem zostało temi autora dodatkami. Nadto w końcu każdego tomu dodane zostaną waryanty różnych ustępów, z rękopismów pozostałych Adama Mickiewicza. Zapowiedziane ryciny przez wydawcę do droższego wydania (8 tomów złp. 100) już Aleksander Lesser i Gerson zaczęli. Przy *prelekcyach* dodanem zostanie popiersie wieszcza naszego w młodszych latach, wedle rysunku Wańkowicza.

— Wojciech Szymanowski b. artysta dramatyczny, znany z wielu prac literackich użytecznych, wydał teraz: „Wielką grę towarzyską z tablicą 63 portretów". Na oddzielnéj tablicy są portrety królów polskich od Mieczysława I poczynając, oraz znakomitych rodaków z numerem bieżącym pod każdym. Odpowiednio tym numerom, w oddzielnéj książeczce są życiorysy; po każdem rzuceniu kostką obowiązany jest rzucający głośno przeczytać z niéj właściwy ustęp: tym sposobem zabawa połączona jest z wielce użyteczną dla dziatwy naszéj nauką. Gra ta powinna znaleźć miłe i gościnne przyjęcie w każdéj rodzinie. Wydawca, przygotowywa podobną grę jeografii polskiéj.

— Księgarz i typograf S. Orgelbrand w r. b. wyda następne nakłady swoje: Boska komedya Dantego, przekład Juliana Korsaka, z popiersiem tłumacza i drzeworytami do textu Dantego; Dzieje księztwa mazowieckiego, Kozłowskiego, 2 tomy; Gigantomachią Kordeckiego, przekładu J. Łepkowskiego; Powiastki mazurskie K. Wł. Wójcickiego. W tejże drukarni kończy się druk tłumaczenia W. Szekspira tom 2gi przez Komierowskiego, i rozpoczęło się drukowanie dzieła hr. Uruskiego w 4 tomach Kwestyi włościańskiéj, które nakładem swoim S. Orgelbrand wydaje, równie jak: „Dzieje narodów słowiańskich wraz z obrazem ich rozwoju umysłowego i literatury, skreślone podług dzieł najcelniejszych, oraz najnowszych badań i poszukiwań." Wypracował je Leon Rogalski, tłumacz histo-

ryi powszechnéj Cezara Cantu.

— Eustachy Marylski zajmuje się obecnie przygotowaniem do druku Opisu cmentarzy drezdeńskich, gdzie tyle zasłużonych naszych rodaków spoczywa. Format tego opisu ma być ten sam w 4ce jak opis cmen arza Powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wójcickiego, stanowić ma niejako jeden ciąg, a zarazem i całość w sobie. W tym roku ma się druk pomienionego dzieła rozpocząć.

— Znany sztycharz Jan Minheymer nadesłał do redakcyi Bibliot. Warsz. odezwę swoję, którą w całości podajemy:

„Istotna potrzeba zakładu drzeworytniczego coraz wyraźniéj u nas czuć się dawała. Rozwój literaty wymaga koniecznego postępu w drukarstwie, litografii i drzeworytnictwie, a na tem ostatniem zupełnie prawie nam zbywało. Chcąc ten brak zapełnić, połączyłem mój dawno istniejący zakład sztycharski z kompletnym zakładem drzeworytniczym, i tak dalece już w tém postąpiłem, że jestem w stanie najobszerniejsze wykonać obstalunki, i to po cenach takich samych, jakie się za granicą płacą.“ Rzeczywiście dotkliwy brak tego rodzaju zakładu dawał się u nas uczuwać od dawna. Wskrzesił drzeworyty u nas w Warszawie znany artysta Wincenty Smokowski, ale sam je ręcznie wyrabiając, nie mógł podołać żądaniom, bo zakładu nie miał. P. Minheymer w zawodzie sztycharskim nie małe złożył dowody i znajomości sztuki, i sumiennéj staranności. Mamy niepłonną nadzieję, że zakład jego drzeworytniczy do znakomitego dojdzie rozwoju.

— Tomasz Olizarowski, znany wieszcz nasz, który utworami prawdziwie poetycznéj wartości przed dwudziestu przeszło laty dał się już poznać, w cichości pracując, ma teraz ogłosić drukiem trzy poematą dramatyczne: Aurora, Wulpolup, i Marjan Mazowicz. Na ukończeniu zaś ma mieć w obszernych rozmiarach trylogią historyczną p. n. Wincenty z Pomorza (z Szamotuł).

— Rozpoczęte dzieło K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą,“ którego pierwszy zeszyt wyszedł w roku 1855, już ukończone w zupełności zostało. Stósownie do prospektu, prenumeratorowie otrzymują 12 zeszytów z 48 rycinami, a dwa tomy. Gdy jednakże obfitość materyałów, jako też i potrzeba opisu innych cmentarzy warszawskich, nie dozwoliła autorowi pomimo dodatku kilkunastu arkuszy textu, objąć je w 2 tomach: w trzecim tomie więc objął, (który dorazu w całości wydał) tak uzupełnienie opisu cmentarza Powązkowskiego, jako zarazem i innych cmentarzy chrześciańskich. Tom trzeci obejmuje 40 arkuszy ścisłego druku i zawiera: 1. Cmentarz Święto-Krzyski (z ryciną). 2. Cmentarz w Warszawie przy Ulicy Leszno Ewan. (z ryciną). 3. Cmentarz w Wilanowie pod Warszawą (z 2 rycinami). 4. Cmentarz we wsi Czerniakowie pod Warszawą. 5. Dopełnienie opisu Cmentarza Powązkowskiego. 6. Literatura cmentarna: kartki pogrzebowe. 7. Cmentarz katolicki na przedmieściu Praga (z ryciną). 8. Cmentarz na Bielanach: grób Stanisława Staszica (z ryciną). 9. Cmentarz we wsi Wawrzyszew. 10. Cmentarz parafii wyznania Ewangelicko-Augsburskiego (z 4 rycinami). 11. Cmentarz parafii wyznania Ewangelicko reformowanego (z ryciną). 12. Wieś Wola pod Warszawą i cmentarz (z ryciną). 13. Raszyn. Obszerne dodatki i

przypisy kończą ten tom, który zamyka całość tego obszernych rozmiarów dzieła.

Z Wilna piszą do Bibl. War.: „Zakład księgarni Teofila Glücksberga ma honor zawiadomić szanowną publiczność, że po kilku latach przerwy, przystępuje do dalszego ciągu publikacyi Dziejów literatury Władysława Syrokomli. Zwłoka pochodząca z przyczyn, po większéj części niezależnych ani od autora, ani od wydawcy, nie została bez korzyści dla samego dzieła. W tym przeciągu czasu, autor zasięgnął o swéj pracy zdania światłéj krytyki i uzbierał nowe materyały tak, iż dzięki okolicznościom przyjaźniejszym dzisiaj dla historycznego sądu będzie mógł nietylko dokończyć swe opowiadanie o literaturze czasów przeszłych, lecz skupić w jednę całość rozpierzchłe gałęzie naszego nowożytnego piśmiennictwa, tak z rozmaitych prowincyj dawnéj Polski, jako i z miast obcych, gdzie się drukują polskie książki. Zeszyt I tomu III już się znajduje pod prasą, a reszta dzieła w ciągu 1858 roku ukaże się na widok publiczny.“

Kijów. Drukiem Józefa Zawadzkiego w Kijowie wyszła: *Szlachecka kucharka, przytem zbiór najpotrzebniejszych wiadomości gospodarskich przez Maryę z Krzywkowskich Marciszewską* w 8ce, str. 306 i k. 4. Praca zaiste pożyteczniejsza i właściwsza aniżeli badania filozoficzne, którym się niektóre nasze damy poświęcają.

Moskwa. A. Majkow wydał temi czasy ważne dla literatury słowiańskiéj dzieło w języku rosyjskim pod tytułem: *Dziejopis języka serbskiego.*

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. Ant. Czapliński Prowizor drukarni.